



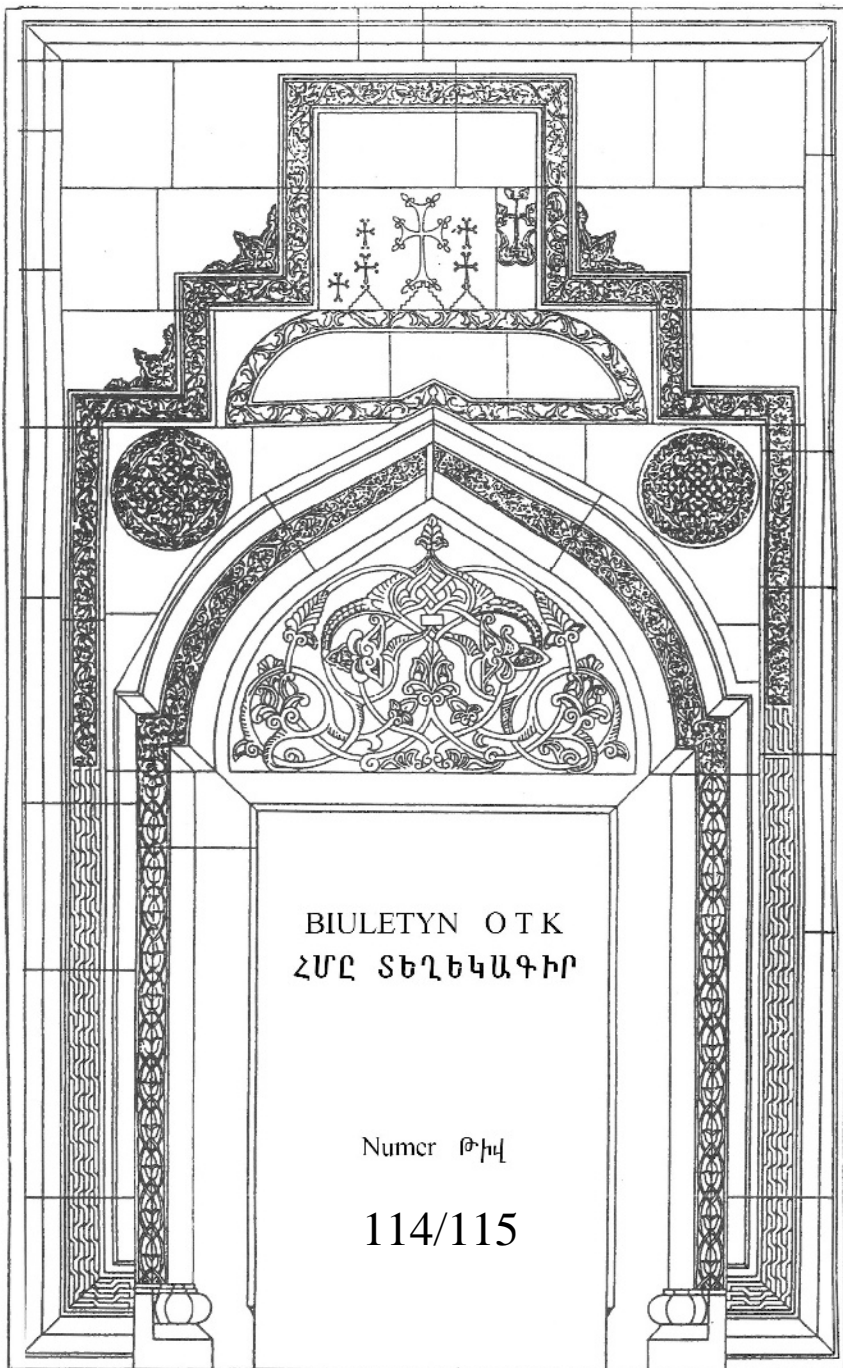
BIULETYN
ORMIAŃSKIEGO
TOWARZYSTWA
KULTURALNEGO

ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅԻՆ
ԸՆԿԵՐՈՒԹՅԱՆ
ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

ISSN 1233-8605

WYDANIE SPECJALNE 114/115 ԹԻՎ

KRAKÓW 2023 ԿՐԱԿՈՎ



BIULETYN OTK
ՀԱՐԸ ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

Numer ԹԻԿ

114/115

BIULETYN ORMIAŃSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURALNEGO ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅԻՆ ԸՆԿԵՐՈՒԹՅԱՆ ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

W Biuletynie są publikowane relacje, wspomnienia, opinie, opracowania naukowe i inne utwory dowolnej formy, których tematyka jest związana z historią, kulturą i współczesnymi problemami Ormian i Armenii.

Copyright by Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne – Kraków 2023

Materiałów zamieszczonych w Biuletynie OTK nie można w żadnej formie reprodukcować bez pisemnej zgody Wydawcy.

Kolegium Redakcyjne Anna Olszańska (przewodnicząca)
prof. dr hab. Krzysztof Stopka
prof. dr hab. Andrzej Pisowicz
Małgorzata Malkiewicz
Anzhela Kayumova
Kamil Gleń

Redakcja armenistyczna prof. dr hab. Andrzej Pisowicz

Adres Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne
ul. Studencka 2, lokal 3a
31–116 Kraków
www.otk.org.pl
otk@otk.org.pl

Konto bankowe Alior Bank 63 2490 0005 0000 4500 5287 9182

Projekt okładki Monika Sutryk

Szata graficzna Monika Sutryk

Skład Jacek Kumański

Druk Elpil Jarosław Pilich
Druk i oprawa książek
Artyleryjska 11, 08-110 Siedlce

ISSN 1233-8605 nakład: 300 egz.

Zrealizowano dzięki dotacji Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Publikacja wyraża jedynie poglądy autorów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Wst p

Karty niniejszego numeru biuletynu przeznaczamy na publikacj pierwszych cz ci dzienników¹, które oddał w nasze r ce artysta malarz kolorysta, poeta, Tadeusz Łukasiewicz „Tigran”.

Ormianin polski, syn przedwojennego polskiego dyplomaty, urodził si w 1938 roku w Pradze, gdzie jego ojciec pracował w polskim konsulacie. Na całym jego yciu zawa ło aresztowanie rodziców bezpo rednio po wybuchu II wojny wiatowej na granicy z Rumuni . Ojciec zgin ł w sowieckim wi zieniu. Matka, skazana na 10 lat łagru, została zwolniona po pi ciu latach. Tote przemo ny wpływ na wychowanie, cudem uratowanego, male kiego Tadzia miała jego ciotka i inni krewni, którzy si nim zaopiekowali.

Zanim podj ł studia na wymarzonym kierunku artystycznym, za namow mamy uko czył Wy sz Szkoł Po arnictwa w Warszawie. Studia na krakowskiej Akademii Sztuk Pi knych odbył w latach 1960-67 (wydział Architektury Wn trz i Form Przemysłowych).

Obdarzony wielk wra liwo ci , skromny i pracowity, a przede wszystkim pracuj cy nad sob - *miles Christi* (ołnierz Chrystusa). Zapiski, (cho nie tak systematyczne jak by sam tego chciał), ukazuj jak ewoluuje i doskonali si jego j zyk, jak ewoluuj przekonania, zmienia si perspektywa postrzegania osób i spraw. Jak pracuje nad samym sob . Jakie si w nim samym dokonuj przemiany. Dopuszcza nas do swego wiata niczego nie ukrywaj c. Nie yczy sobie cenzury, wygładzania tekstu², łagodzenia opinii o osobach obecnych na kartach dziennika. „To s smaczki oryginalnego tekstu, tak wtedy my łałem, niczego nie zakłamujemy”.

Fakt, e zgadza si na publikacj to nie ekshibicjonizm lecz wewn trzna potrzeba, by komu słu y do wiadczeniem: „Skoro to napisałem, mo e to komu pomo e. Ale gdy pisz , nie my l o czytelniku - nie byłoby w tym prawdy”.

Czyni to zatem, jak przekonaj si sami czytelnicy, z miło ci do ludzi, do bli nich, bo jak sam mówi: „Po to eby kocha yjemy”.

Anna Olsza ska

¹W numerze 110/111 Biuletynu OTK z roku 2022, na stronach 18-61 zamie cili my Tadeusza Łukasiewicza „Tigrana” – Wiersze nowe – „Naszego losu cz stka gł binna”, na stronach 62-67 wybrane prace Tadeusza Łukasiewicza – „Tigrana” z cyklu „Jazz”. W przyszło ci OTK zamierza, za zgod i dzi ki uprzejmo ci Autora, wydrukowa kolejne cz ci „Dzienników” i inne utwory.

²Dlatego redakcja starała si zachowa nie tylko oryginaln składni , cz pisowni, ale i interpunkcj lub czasem jej brak, zachowujemy te wszelkie zapiski, nawet te dotycz ce „patentów na leczenie chorób”.

TADEUSZ
ŁUKASIEWICZ TIGRAN
[KRAKÓW]

ZBIÓR WIERSZY
I ZAPISKI ROZPROSZONE
Z LAT 1965-1985

**Wiersze, które są moją inspiracją i motywacją
by zacząć pisać dzienniki**

Borys Pasternak (1890-1962)

„Sen”

W półświecie szyb jesień mi się przyśniła,
Ty i koledzy w gromadzie błazeńskiej.
Jak sokół, który z nieba krwi dobywa,
Siadało serce moje na twojej ręce.

Ale czas szedł, starzał się i upływał,
I szronem posrebrzając okien ramy,
Zorza z ogrodu płakała na szybach
Późnego września krwawiącymi łzami.

Czas szedł i starzał się. I jak lód nikły
Trzeszczał i tajał kruchy jedwab krzesel.
Wtem się zacięłaś, usta twe zamilkły
I sen jak odgłos dzwonu, zamilkł i przeszedł.

Zbudziłem się. Po jesiennemu przyćmione
Było świtanie, wiatr, uchodząc pędem,
Niósł jak biegnący za wozem deszcz słomek
Po niebie brzóz umykających grzędę.

„Wiosna”

Ileż pączków, lepkich stopionych ogarków
Obsiadło gałązki! Już ciepły
Jest kwiecień. Już bardzo zmężniałeś mój parku,
I repliki lasu okrzepli.

Ścisnęło las pętlą gardzieli skrzydlatych
Jak szyję bawołu arkanem.
I jęczy dziś w sieciach, jak jęczy w sonatach
Stalowy gladiator organów.

Poezjo! Grecka gąbko bądź o stu ssawkach,
Bym w lepkiej zieleni ochłodzie
Na desce zroszonej położył cię ławki,
Co moknie, zielona w ogrodzie.

Cała w pyszne brykle obrastaj i bryże,
Znajdź w chmurach i dołach dość żeru,
A ja ciebie nocą, poezjo wycisnę
Na zdrowie chciwego papieru.

„Zerwanie”

I

Zakłamanym aniele, gdybyż tak od razu -
I ja bym Ciebie żalem najczystszym upoił!
Ale tak nie śmiem, a tak – to ząb za ząb!

O rozpaczy kłamliva od pierwszych dni swoich!
O smutku, smutku z trądu zarazą!

Zakłamany aniele – śmierć nie pokonała
Cierpienia, i cóż serce, serce w egzegezie!
Ale czemu obdarzasz chorobami ciała
Duszę na pożegnanie? Czemuś całowała
I całujesz bez celu, jak czas, jak deszcz ziemię?

Zabijasz śmiejąc się za wszystkich przed wszystkimi!

II

O wstydzie, ciężysz mi! Sumienie – w tym
zerwaniu tylu marzeń przedwczesnym wciąż natrętnych
gonitw!

Gdybym ja, - człowiek – był układem bezbolesnym
Skroni i warg, i oczu, policzków, ramion, dłoni!
Tobym na wierszy świst, na głos ich i na znak ich,
Na siłę mej tęsknoty, jej młodość – do boju
Przyzwolił iść wszystkim, powiódł do ataku,
Tobym szturmował ciebie, o ty, hańbo moja!

III

Wszystkie myśli od ciebie oderwę -
Jak nie w gościach, nie przy winie, to w przestworzach.
U sąsiadów, obok, dzwonek się odezwie
I drzwi komuś kiedyś tam otworzą.

Wyrwę się tam, gdy zabrzęczy grudzień.
Tylko drzwi – i jestem! Przez korytarz.
„Pani stamtąd? Co tam mówią ludzie?
Jakie plotki w mieście? Co tam słyszać?”

Czy też myli się tęsknota jeszcze?
Szepce potem: „Jakby wykapaną”?
Skony w dal okrzykiem: „Czy to pani”?

Czy choć palce okażą mi litość?
Pani nie zna tej tęsknoty i przekleństwa,
Gdy ulica setki razy chwyta
Co dzień w tłumie pani podobieństwo!

IV

Tylko przeszkodź mi, spróbuj.
O przyjdź i usiłuj zagasić
Przypływ smutku, co dziś, w Toricella
grzmiąc próżni, jak rtęć coraz wyżej się piętrzy.
Zabroń mi, o obłędzie – o pokus się, przyjdźże i ty!

Przeszkodź krzyczeć o tobie,
jesteśmy bez świadków – rzuć wstyd
zagaś, zagaśże, coraz gorętszy!

VI

Rozczarowałaś się? Myślałaś, że się rozstaniemy
Przy requiem łabędzim, w cudownej harmonii?
Licząc na żal – oczami we łzach rozszerzonymi
Próbowowałaś, czy jeszcze są niezwyknięte?

Na mszy freski by posypały się ze stropu nawy,
Na wargach Sebastiana grą wstrząśnięte ciemną.
Lecz od dzisiejszej nocy wszędzie ma nienawiść
Widzi zwlekanie, żal, że bata nie ma.

Ślepo, opamiętawszy się nagle, bez zwłoki,
Bez namysłu – stwierdziłaś, że wszystko przeorze,
Że czas. Że samobójstwa tutaj być nie może.
Że nawet to – byłoby żółwym krokiem.

VIII

Mój stół nie tak szeroki, dla piersi
krawędź za wąska, i łokieć nie sięga
Za brzeg tęsknoty, za ten wąski przesmyk
Przez tyle wiorst przekopanego – żegnaj!

(Teraz tam noc). Za włosów twych woń duszną.
(I poszli spać). Pod ramion twych królestwo.
(Zgasili już). Ja bym je oddał z jutrznią -
Ganek gałązką by je musnął bezszelestną.

Nie śniegiem! Uderz rękami! - Dosięgną!
O, dziesięć palców ręki, w bruzdach za woalami
Gwiazd wigilijnych – jak światła pociągów
Spóźnionych, gdy na północ idą w zamieć!

IX

Fortepian drżący pianę z wargi zliże,
Uniesie, ugnie ciebie ta maligna.
Ty powiesz: - Miły! - Nie, i nie! - zakrzyknę.
Przy muzyce?! Lecz czyżby można bliżej

Niż w mroku być, rzucając w głąb kominka
Akordy, jak pamiętnik z kart szelestem?
O przypomnienie dziwne, przyzwól tylko,
O, pozwól, a zdumiejesz – wolna jesteś.

Nie trzymam ciebie. Idź, uprawiaj miłosierdzie,
Do innych idź. Z Werterem już skończyłem.
A dziś powietrze nawet pachnie śmiercią:
Otworzyć okno – to otworzyć żyły.

1918 r.

Konstanty Ildefons Gałczyński

„W leśniczówce”

Tu, gdzie się gwiazdy zbiegły
w taką kapelę dużą,
domek z czerwonej cegły
rumieni się na wzgórzu:
to leśniczówka Pranie,
nasze jesienne mieszkanie.

Chmiel na rogach jelenich
usechł już i się sypie;
w szybach tyle jesieni,
w jesieni tyle skrzypiec,
a w skrzydłach, byle tknięte,
lament gada z lamentem.

Za oknem las i pole
las – rozmowa sosnowa;
minął dzień i na stole
stoi lampa naftowa,
gadatliwa, promienna
jak ze stołu Szopena.

W nocy tu tyle nuceń
i śpiewań, aż do rana.
Księżyc w srebrnej peruce
gra jak Bach na organach

i płynie koncert wielki
przez dęby i przez świerki
to leśniczówka Panie:
nocne koncertowanie.

Chodzi wiatr nad jeziorem
trąca dęby i graby;
i znów wieczór, wieczorem
znów zaświecamy lampy,
o, leśniczówko Pranie:
lamp lśnienie, migotanie,
księżyc na każdej ścianie
nocne muzykowanie.

Sunie dorożka nocy
w skos, dziecinnym rysunkiem;
dorożkarz zamknął oczy,
konik stąpa z frasunkiem,
cień od ściany do ściany:
wehikuł posrebrzany;
o, leśniczówko Pranie,
nocne podróżowanie.

Gwiazdy jak śnieg się sypią,
do leśniczówki wchodzi
każdą okienną szybą,
każdą wrześniową nocą;
w twoim małym lusterku

noc świeci gwiazdą wielką.

4 I 1965 r.

Miałem dość czasu żeby się wylegiwać do godziny 11.00. Wprawdzie to poniedziałek i powinienem był wcześniej wstać by załatwić formalności związane z wpłatą pieniędzy za sylwester w Francuskim, zaniedbałem tą czynność i wziąłem się do czytania Salingera. Opowiadanie „Teddy”. Niezbyt zrozumiałem głębszą treść tej rzeczy, ale podobało mi się przez sposób narracji i nastroj. Zwłaszcza pierwsza część tego opowiadania.

Gdy wychodziłem z akademika po dłuższym sprzątaniu, bo bałagan jaki zrobiłem w ciągu kilku dni, gdy byłem zajęty robotą uniemożliwiał mi mieszkać – musiałem się chyba bardzo ucieszyć, że świat jest taki biały. Napadało znów dużo śniegu. Niestety ulice są pełne kałuż wody. Po obiedzie wstąpiłem do Domu Turysty. Zastałem tam przypadkowo Jerzego i Józka (koszykarzy). Józek palił „giewonta”. Kupiłem papierosy. Siedzieli z jakąś nieciekawą kobitą w średnim wieku. Wybierali się do jej pokoju. Obiecują sobie po niej wiele erotycznych wrażeń. „Naucz mnie nowych pozycji”. Nie widziałem się z nią. Zwalilem to na nich, bo mnie nie przedstawili. Poszedłem zobaczyć się z Elenai. Nie było jej. Matka otworzyła mi drzwi.

Elenai niedawno wyszła? Będzie dopiero koło godziny siódmej. Jest na gwiazdkach dla dzieci. Mam ochotę ściągnąć ją do akademika mimo poprzednich nieporozumień między nami. Potrzebuję jej ciała. Chciałbym dotykać jej piersi. Myślę o Niej. Ale stale z gniewem i pożądaniem. „Nie pójdę do niej”, tak sobie obiecuję, równocześnie chciałbym żeby przyszła.

Chciałbym ją upokorzyć, albo zdobyć. Łatwiej mi przychodzi to pierwsze.

Zabieram się dziś do pisania. Czuję się tak jakbym miał rozpocząć podróż na drugi koniec świata i nie mam najniezbędniejszych rzeczy żeby się to mogło udać. Równocześnie lepiej nie mówić ile mi to zabiera czasu, myślenie o tym, co wiąże się z tą twórczością. Mam pomysł na opowiadanie. To jest rzecz którą już dawno przeżyłem i co raz jak echo do mnie takie sprawy wracają. Trochę wytrąca mnie to z równowagi, że zbyt odległe wydają mi się te chwile, bym mógł jeśli mi na tym tak zależy, żeby opisać to co zamierzam, choć zabraknąć może mi nici, którą chcę pleść to opowiadanie. Chodzi mi o to, żeby wróciły te chwile i myśli i spostrzeżenia i cała siła psychologiczna do tego opowiadania. Pomysł jest mocny. Co dalej, zobaczymy, żeby móc pisać muszę prowadzić dziennik i notować w nim wszystko, co zauważyłem jako ważne i mniej ważne. Moje myśli, myśli innych, zdarzenia, gesty. „Powietrze, wodę, ogień”.

5 I 1965 r.

Jeszcze trochę o wczorajszym dniu! Przyjechał po świątecznym urlopie Mietek George! Pierwsza weszła do pokoju jego siostra – Wanda. Pamiętam ją jeszcze z odległych już czasów mojego pobytu w Tarnowie. Widywałem ją tam w liceum plastycznym. Wiem, że mi się podobała. Wyróżniała się urodą i sylwetką z grona swych koleżanek. Może byłem nawet trochę o nią zazdrosny, gdy bawiła się na zabawie maskowej ze swymi kolegami. Nie miałem odwagi starać się o jej względy. Teraz to już dorosła dziewczyna – trzeba przyznać że bardzo ładna, lecz i to mi nie daje większej odwagi. Czuję podświadomie, że wiele dzieli nas w sensie

intelektualnym. Gdyby dorównywała swojemu bratu moglibyśmy się dogadać. Co zresztą ma to za sens, skoro musiałbym to traktować lekko, a na to ani nie przystaję, bo to już nie te czasy i przede wszystkim odległość.

Wieczorem zjawił się Maciek. Był trochę podchmielony. Zalecał się w bezczelny ale dowcipny sposób do niej, wykorzystując swoją „uprzywilejowaną” sytuację człowieka pod gazem. Wygodnie i przyjemnie się chyba skryć pod taką maską. Daje wiele prerogatyw bez uszczerbku tego, co się w dziecinny sposób każdy stara zachować dla siebie – ukazanie w sposób zupełnie otwarty swych uczuć i myśli. Trudno uwierzyć ile w człowieku jest zakłamania i to wobec samego siebie. Musi udawać, że go obiekt nie interesuje, że jest pochłonięty tym lub owym i dopiero ulega wpływom, naleganiom. Jednym słowem robi ustępstwo ze swojego świata na rzecz na pewno błahą. W gruncie rzeczy jest wiele i wielu którzy oddaliby to w każdej chwili za uśmiech zainteresowania i sympatii.

Maciek w towarzystwie „Fiodora”. Dobrana paczka. Elokwentni, weseli, wszystko to, co nam pokazują to puste i głupie w gruncie rzeczy. Ale znam Maćka, że jest zdolny odczuwać prawdziwie i niemiły na banał. Wszystko to zaprawione dużą dozą sarkazmu i politowania. Jego sądy są karkołomne, ale wdzięczne jak on sam. Mnie nie lubi, a może nie tyle nie lubi, bo w jego oczach i na to nie zasługuję, co traktuje mnie „per noga”, z ironiczną grzecznością, której nie tai. Jest grubiański, ale urokliwie grubiański.

Dziś pożyczyłem Irce 500 złotych. Do lutego. Potrzebne są jej pieniądze na jakieś duperele, które może kupić jej Michał w Berlinie. Jedzie tam w czwartek. Zwierzał mi się, że liczy na to, że wyjedzie może w maju do Francji. Brana jest pod uwagę na ten wyjazd

rzeczywista ekipa studentów z AZS-u. Pół optymistyczna dyskusja w Jaszczurach na temat wyjazdu i perspektyw Paryż i „prowincja” - ona dostarczyła tematów do kilku słabych dowcipów w rodzaju, zestawienia Saint Tropez – prowincja.

Mam kłopoty z załatwieniem formalności wypłacenia nam pieniędzy za francuski. Po długich i cierpliwych wyliczeniach kierownika w PSP (Pracowni Sztuk Plastycznych), wyszło, że możemy z Baśką Z. wziąć według wykonanej pracy, według cennika około 2100 zł. Dają nam natomiast 2500. Każdy grosz mi się liczy. Nie chciałbym i tych kilku stracić. Teraz jak zrobiłem tę robotę, myślę gdzie rozglądać się za następną. Już niewiele czasu zostało do końca semestru, a ja w chałturach niewiele zrobiłem. Zresztą nie mam takiej natury, żeby odkładać forszę na czas kiedy nie będę mógł zarabiać.

Wieczorem (wczoraj) dyskutowałem z Kimi i Kamilą nad sprawą choroby matki i mojego wyjazdu do Bytomia, gdzie prawdopodobnie leży chora po operacji. Ciotka Janka i Zygmunt, według kartki, która nadeszła do Mimi, doglądają jej i pomagają wrócić do normy psychicznej. Matka wraca do zdrowia. Według innych źródeł (przez znajomego Zygmunta) matka jest ciężko chora, ma przerzuty. Jej choroba i stan ma być w ścisłej tajemnicy trzymany przede mną i ciotką K. Wygląda to na tajemnicę poliszynela. W czasie dyskusji padły słowa, które matkę bardzo mogły obciążyć. Dużo mówiłem ja. Niezbyt mądrze, ale donośnie i z egzaltacją. Staram się mówić spokojnie, w każdym razie pozuję na zimnego kalkulatora, ale po kilku minutach trochę zapominam o przyjętym stylu i zaczynam się egzaltować. Fakt że mnie to ciągle piecze.

Do tych spraw jeszcze wrócę. Ciekaw jestem co będzie z moim opowiadaniem. Wczoraj siedziałem nad nim, lecz czuję się bezsilny i pusty gdy mam zacząć. Nie podołam chyba temu, chyba żeby się stał jakiś mały cud. Rzecz jest tak trudna, tym bardziej że jej wyznaczyłem już rangę artystyczną i styl równy dobrym opowiadaniom. Zupełny nonsens, ale może to ta ambicja, mnie i dopinguje i równocześnie odbiera siły. To co piszę teraz traktuję jako roboczą, szarą, niewdzięczną czynność, która ma mi pomóc w rozpisaniu się. Taka gimnastyka. Program jest, przymierzając go do dziedziny sportowej, nauczyć się jeździć na łyżwach na poziomie europejskim. A ja przypinam łyżwy i postąpić kroku nie potrafię. Powtarzam, liczę na cud, cud w który ja ciągle wierzę, zaślepiiony trochę karierami, trochę dopingowany bezkrytycznością własną. Choć to co piszę, tu jest najzupełniej uczciwe, staram się dać tym zapiskom jeszcze więcej z tego o co mi chodzi. Ale powoli.

9 I 1965 r.

Przez te kilka dni nie pisałem, może oderwały mnie od tego pamiętnika niepowodzenia w „literaturze”. Tam rzeczywiście idzie mi nietęgo. Czuję, że nie podołam temu co chcę wyrazić. Zresztą sam nie mam zupełnie wyraźnego obrazu tego jak mają takie rzeczy wyglądać. Dobra lektura mnie upaja i równocześnie bardzo przygnębia. Czytałem wczoraj na głos Pasternaka i Babla. Obaj w słowie są nieco u mnie podobni. W nocy, we śnie, miałem różne zwidzenia i może mamrotałem te słowa, które wczoraj miałem na ustach. One bardzo ciężko zapadają w serce. Dziś chyba również nie wezmę się za to co zamierzam zrobić.

Wiele o tym myślę, ale stale w konsekwencji czuję to, że to są dopiero bardzo słabo grane gamy, a do zagrania utworu, przynajmniej jedną ręką, jeszcze bardzo daleka droga. W tej chwili jest tak, że słowo jeszcze bardzo rządzi mną. Wciska się siłą w wyobraźnię, jest niepodzielne i nieustępliwe, nie umiem więc dokonać selekcji. Z czym tu można pisarza porównać, najlepiej to chyba z szachistą, u którego jeden wariant jest rozpatrywany w następnych 25 ruchach. Może więcej napiszę popołudniu. Czuję się mocno senny. Głośnik bardzo pitoli – wprawdzie Chopin, ale też niestrawny w takiej chwili i w takim wykonaniu.

Przedwczoraj byłem u Małgosi. Nie widziałem jej od dawna. Byłem u niej wieczorem, nie zastałem jej. Matka była grzeczna i nawet raczyła przyjść do pokoju zobaczyć za książką, którą podałem jako przyczynę wizyty. Małgosia zrewanżowała mi się wizytą wczoraj, gdy spałem. Zastała mnie zaspanego, tak po domowemu. Nie wiem dlaczego, ale lubię przyjmować dziewczę to zaspany. Głupota, obłęd, nic nie rozumiem na czym to polega. Może na tym (przypomniałem sobie), że po obudzeniu się, zauważyłem że mam bardzo wyraziste i błyszczące oczy, jednym słowem wyglądam korzystniej. W śnie mężczyzny jest jakby cząstka dziecka. Ten który się budzi, nie czuje tego.

18 I 1965 r.

Już dawno nie notowałem. Dziś w poniedziałek zbudziłem się dość wcześnie jak na moje warunki. Poczulem w sobie wigor i zapał do pracy. Kropnąłem list. Popracowałem trochę nad biletami na koncert, który urządza ciotka w SPANI-e. W nocy miałem sen, który zapamiętałem mocno. „Śnił mi się Żurdzi, miałem z nim jakieś

porachunki". Wiedziałem że ma nade mną przygniatającą przewagę fizyczną. Musiałem się chwycić jakiegoś narzędzia, aby tę różnicę zmniejszyć. Chwyciłem za kamień. Od tej chwili poczułem, że jestem skazany na zgubę. Przypomniało mi się przysłowie: kto mieczem wojuje ten od niego ginie. Osaczony przez niego i przez jego koleżków na pagórku, z rozpaczą zauważyłem jak moje pociski nie trafiają i są lekceważone. Zostałem ukamieniowany. Już po obudzeniu się przyszły mi refleksje jak należało walczyć i czy nie było słuszniejszym politykować. Dziwię się sobie, że piszę o tym, ale może kiedyś będę to czytał ze zdziwieniem.

Wczoraj byłem u Andrzeja Bohosiewicza. Spotkałem „kuzynkę” Małgorzatę. Było miłe spotkanie, nie spostrzegłem się jak zacząłem się z nią całować. Było to takie spontaniczne i naturalne, że powinienem jej za to podziękować. Chodzi mi o to, że mamy ochotę czasem wiele razy być dla kogoś miłym, serdecznym, to znaczy również, żeby kogoś przytulić i pocałować. Dziwię się w ten czas sobie, że nie można się do tego przyznać.

Chorowałem kilka dni temu. Zaczęło się dość niewinnie. Poszliśmy we wtorek do rolniczek z Mietkiem kupić bony na kolację i śniadanie. Ponieważ zaostrozono im przepisy sprzedaży, więc nasze wysiłki były dość próżne i pukaliśmy przez to do wielu pokoi. W pewnym z nich, dokąd nas skierowano, zastaliśmy libację i kilka dziw z dwoma facetami, przy butelce wódki. Serdeczne zaproszenie nieznanomych gości i zaproszenie do kieliszka. Nie pomogło wymawianie się dość pilną sprawą, ulegliśmy nie broniąc się zbyt zacięcie i wspólnie, nie znając się wcale, opróżniliśmy trochę kieliszeczki. Zdopingowani przez dziewczęta poszliśmy po rieslingi.

To mi dało w kość. Wróciłem do domu i tu, zupełnie jeszcze zdrów, wypilem szklanekę mleka. Od godziny 11 wieczór do rana rzygałem nieprzytomnie wszystkim co miałem w sobie.

Nic nie piszę, czuję, że nie dam rady temu, jeśli nie postąpię w taki sposób. Mimo słabości, a raczej beznadziejności tego co w tej chwili robię, pisać dalej. Może chwycę orła za skrzydła i odbiję się trochę od ziemi. Jak na razie z moim umysłem nędza. Ten dziennik jest również dowodem mojej nędzy intelektualnej. Poprawiłbym się trochę gdybym pracował bardziej nad sobą. Ja zaś marnuję tyle cennego czasu, że nie wiem czy kiedyś będę mógł to odrobić. Chyba nigdy, bo każda chwila bez zajęcia przepada mi bezpowrotnie. Muszę zmusić się do systematyczności i dokładności. Tych cech, jeśli innym nie brakuje to mnie one są zupełnie niezbędne, a nie mam ich nawet za grosz. Mógłbym się dużo więcej uczyć. Dziś mam sporo roboty. Chyba trochę porysuję. Wezmę się za malarstwo. Mam kilka pomysłów, które dokuczają mi swoim niesprecyzowaniem.

Chyba wkrótce pojedę do Bytomia zobaczyć się z Mamą. Mówiła mi krótko K., że ktoś przyjezdny ze Śląska słyszał jak podawano przez radio, że dla ciężko chorej poszukuje się leku. Tą chorą była Mama. Pojadę tam z mojego obowiązku. Myślałem, że operacja poprawi jej stan zdrowia.

Dostałem kartkę od Barbary. Mój list, który napisałem przed świętami do niej, nie został jeszcze wysłany. Chyba był głupi, więc strata niewielka. Dziś jest ciepło jak w marcu. Siedzę przy oknie, piszę. Dochodzi godzina 12 w południe. Jestem zadowolony. Dlatego, że jestem czymś zajęty. Wkrótce wyjdę załatwić z Mściwojem sprawę forsy z francuskiego. Zaniedbałem to na cały tydzień. To fakt, że chorowałem, ale można to było zrobić trochę wcześniej.

Baśka jest na pewno na mnie zła i obrażona. Nie wyczuwam tego, jak się spotykamy jest nadal jak dawniej, ale czuję że nie zadowolili jej ten podział pieniędzy. Ja robiłem projekty i zorganizowałem pracę. Ja wziąłem do spółki pieniądze, wzięliśmy równo do podziału fifty–fifty, z 200 zł które zostały, moje 100, zapłacono strażaków, ona zapłaciła Teresę 250 zł. B. jest cholernie łakoma na forszę. Dobrze się z nią robi pracę, ale przy rozliczaniu nie jest to przyjemne. Trzeba będzie szukać nowej chałtury. Mam teraz dość ciekawą pracę za 750 zł. Mam dla Mayera zrobić głowę Beethovena. Zobaczę jak ja się potrafię z tego zadania wywiązać. Rzeźba nawet u Kolfasa zawsze mnie ciekawiła. Wypożyczyłem z biblioteki PWN zdjęcia z podobiznami Beethovena. Od Taranczewskiego Pawła może uda mi się pożyczyć maskę pośmiertną Jego Beethovena. Będzie to wizerunek z jego późniejszych lat, z siłą w oczach i dynamicznie rozwianymi włosami. Czuję w jakim powinienem zrobić to charakterze. Może coś wyjdzie.

Majka zamieszkał z nami jako trzeci. Jak dotąd bardzo poprawne stosunki. Mało go widać w pokoju. Dziś skarżył się, że źle spał, może to wina temperatury i ciśnienia (halny w Tatrach).

Byłem wczoraj w muzeum. Widziałem film (koniec) z Matissem i drugi o Ameryce. Było przyjemnie i barwnie. Byłem z Bożeną, którą niedawno poznałem u nas w klubie „Pod ręką”. Jest studentką na I roku fizyki. Uroda dziewczyny jak z amerykańskiego pisma dla kobiet i dziewcząt. Okulary, kręcone jasne włosy, czoło nieco wypukłe, trochę wystające zęby i do tego ten przedziwnie śmieszny głos jak z filmów Disney'a. Lubię ją bardzo, jest zwykła, bezpretensjonalna, zgrabna i miękka.

Czytam na wrywki pamiętnik Makowskiego. Choć nie mam potrzeby, czynię czasem pewne bardzo, bardzo ogólne porównanie i dopiero zdaję sobie sprawę z ubóstwa moich wrażeń. „Może gdybym był w Paryżu i był Makowskim, napisałbym podobny pamiętnik”. Czytałem w gazecie, że w medycynie kosmicznej jest problem jak dostarczyć wystarczających wrażeń kosmonautom. Ich brak, przez zupełną izolację, powoduje wyjałowienie duchowe, psychiczne i fizyczne. Myślę, że nie trzeba być kosmonautą, aby odczuwać podobne zjawisko, stojąc mocno nogami na ziemi.

21 I 1965 r.

Niedobrze dla każdego zamierzenia, gdy wykonuję je między innymi czynnościami. Drażni mnie to bardzo, że nie mam sposobnej chwili do tego żeby w dużym skupieniu i ciszy zasiąść do pisania dziennika. Tę chwilę wyrwałem między innymi czynnościami. Co prawda przed półgodziną straciłem sporo czasu na gawędę i czytanie na głos Borysa Pasternaka. To nie jest zupełnie logiczne określenie „straciłem”, bowiem rozmowa jest mi tak bardzo potrzebna jak książka i marzenia. Bez ludzi z którymi mógłbym porozmawiać nie mógłbym żyć. Znam takie chwile wielkiej melancholii, gdy jestem zupełnie sam i kipi we mnie od myśli, którymi nie mam się z kim podzielić. Myślałem dziś o współśrodkach porozumienia. Są tak cudownie proste i łatwe w użyciu. Np. telefon. Tubka, którą wystarczy wziąć do ręki i nakręcić jakiś numer, aby odezwał się głos, który jest ci potrzebny. Musimy się porozumiewać, nie można żyć bez świadomości tego, że „się nie można ogłosić”. Cudowny wynalazek, którego nie czuje się. Jest tak w naszym życiu z wieloma sprawami. Możemy sobie pozwolić na luksus

niedostrzegania rzeczy pożytecznych do tej chwili, do której stoją one nam do dyspozycji. Gdy się ich pozbędziemy, rozumiemy stratę.

Byłem dziś u lekarza w sprawie badania żołądka. Nic nie załatwiłem. Straciłem w ten sposób pół dnia. Tracę tak wiele dni. Bardzo wiele dni zostało przeze mnie zmarnowane. Jestem niezmiernie niegospodarny w gospodarowaniu czasem. Muszę malować, muszę pracować, bo tylko wówczas czuję się szczęśliwy i zadowolony. To uparte przełamywanie swojej bezwładności, ignorancji umysłowej, odkrywanie tego, co przeczuwam w sobie i czego oczekuję od siebie, jest wielką frajdą – chciałbym bardzo żeby stało się to moją pasją. Ten dziennik piszę dla siebie. Nie chciałbym aby dotarł on w cudze ręce. Mogę być w nim zupełnie szczery, choć wiem na co się w ten sposób narażam. Jeśli tak rozumiem te zapiski, są one teraz dla mnie droższe, bo w nich zaczynam bardziej siebie rozumieć i poznawać. To, co do tej pory tu zapisałem jest niewielkim bagażem intelektualnym. Dręczy mnie to, że moje myśli są takie nie dość sprecyzowane, nabierają kształtów gdy muszę je zanotować i skorygować. Można powiedzieć, że na wszystkim ciąży ciężar przypadku i inercji.

Zazdrosny jestem o myśli, które ciągle obracają się wokół tego samego tematu. Wokół domu, w którym miałbym spokój i warunki na pracę. Wprost nie wyobrażam sobie jak można urządzić się w ten sposób, aby coś takiego od życia otrzymać. Poświęcił bym w tej chwili wiele, aby móc posiadać to co wydaje mi się niezbędne do pracy, która jest radością, a nie udręką. Po to by mogła ona przynieść utrzymanie mnie, ale może też jeszcze komuś? Po to by się dzielić z innymi.

Wczoraj zapisałem się do klubu filmowego. Widziałem „Błękitnego Motyla”¹ z Marleną. Wzruszył mnie ten film. Raczej rozrzewnił. Przypomniałem sobie go gdy akcja zaczęła się rozwijać, że treść tego filmu znałem, ze wzruszającego opowiadania mojej matki. Tamten obraz był mocniejszy. Do filmu może powrócę.

Napiszę dlaczego i co skłoniło mnie do zapisania się do klubu dopiero teraz. Interesuję się bardzo kinematografią. Znam wiele filmów i ich twórców, ale nie przyciąga mnie bardzo tego rodzaju impreza jak projekcja w klubie. Może jeszcze w tym zasmakuję. Zobaczymy. Na razie podam główny powód. Przed kilkoma miesiącami umówiłem się z Inką do Piwnicy, tuż po jej otwarciu pod Baranami, starałem się tam dostać par force, nawet przez okno. Jest to sposób „mile” widziany wśród młodzieży zwłaszcza takiej jak ja. W każdym razie cicho i bez rozgłosu mogłem wejść do środka, niestety przeszkodziła temu woźna. Ten epizod został mi na długo w pamięci, bo w okolicy znajdowała się dziewczyna, która stała się od razu bliska moim myślom. Zdobyła się nawet na to (jak gdybym jej czymś zaimponował), że gratulowała mi energii, a raczej odwagi. To śmieszne, ale wiedziałem o co chodzi. I nie o gratulacje. Spotkałem ją później przelotnie w Jaszczurach. Ukłoniłem się, lecz mnie nie poznała, dopiero po chwili zlokalizowała mnie w czasie i przestrzeni. Była bardzo serdeczna w tym geście przypomnienia. Odegrałem rolę zaafowanego, śpieszącego się cymbała, który zawsze pamięta tych których poznał i wita ich pierwszy lecz na dystans. Wczoraj ją spotkałem po raz trzeci lub czwarty. Krótka, niezręczna rozmowa. Była ze starym gościem,

¹ Chodzi o „Błękitnego anioła”.

dobrze na pewno ładowanym. Ciekaw jestem co z tej mąki będzie. Trochę na jej tle przecież wariuję.

28 I 1965 r.

Ponieważ przeczytałem ostatnie zdanie moich poprzednich zapisków, kontynuuję ten temat. Byłem wczoraj w kinie dyskusyjnym. Widziałem się z nią. Za każdym razem nie omieszkała podejść do mnie z serdecznym uśmiechem na ustach.

Wczoraj potrzebowała do tego pewnego pretekstu; była bowiem ze „starym panem”. Rozmieniła u mnie 100 zł. Zdarzył mi się przy tym dość śmieszny incydent. Wydałem jej 90 zł w przekonaniu, że wydałem za dużo, tzn., że „Ona” jest mi winna 10 zł. Oddasz mi to przy okazji powiadam do niej. Przypadkowo mam znów pretekst do tego aby spotkać się z nią i porozmawiać przez kilka chwil. Prawdopodobnie będę bardziej spokojny, dzięki temu może uda mi się mądrzej mówić.

Od kilku dni przygotowuję się do malowania. Przechowywaną w sercu długo myśl będę mógł zrealizować. Nie jestem zbyt zadowolony ze szkiców. Jeden wybrałem jako najbliższy temu zamysłowi. Zostałem w ten sposób „ukrzestłowiony”². Biorę się teraz do szkiców innego rodzaju. Realistycznych rysunków, kompozycji abstrakcyjnych. Uczyniłem postanowienie pracy na szerokim froncie. Zauważam, że łatwo tracę obiektywny stosunek do swoich prac. Dość łatwo podchodzę do nich w sposób uczuciowy. Powinienem się tego strzec. Może mi w tym pomóc ten rodzaj pracy.

² Ukrzesłowanie – pojęcie zaczerpnięte od Andrzeja Wróblewskiego. Tu „ukrzestowanie” ma znaczenie egzystencjalne, ma wyrażać samotność przedstawioną w obrazie za pomocą dwóch stojących naprzeciw siebie, pustych krzesel.

Pracy różnorodnej, wymagającej pełnej inicjatywy.

Mieszkam wspaniale. Odczuwam to w takich momentach, w których jestem sam w pokoju lub z bliskimi. Urządziłem go sobie do spółki z Mietkiem. On włożył w to wiele wysiłku fizycznego i znajomości rzemiosła, moja jest koncepcja, słuszna, bo zdała egzamin.

Brakuje nam tu wykończenia w detalach takich jakie zamierzyliśmy tu wprowadzić – bardzo dużo zieleni. Jak na razie mamy jeden biedny kaktusik, który z uporem walczy o swoje zielone życie, oraz dorosłą paproć – prawdopodobnie (to jest moja teoria) nie znoszącą czerwieni i dlatego z jednej strony usychającą.

Sprawa mojej literatury prawdopodobnie znów upadła. To jest żmudna praca do której nie jestem przyzwyczajony. Dlatego chyba nigdy nie będę pisał. To co piszę teraz w dzienniku przeraża mnie swoją beznadziejnością sformułowań i treści, ale chyba na to nie ma rady. Musiałbym pisać dużo i pilnie codziennie. Dla mnie wobec tego pisanie staje się warunkiem, w którym przeszkodą staje się brak stałego ćwiczenia. Zauważyłem, że przemoc się, to może przynieść dodatnie wyniki. Pisałem zawsze bardzo niewiele, ale czasem pisałem lepiej.

29 I 1965 r.

W pokoju już od godziny trwa ironiczna, ale zacięta dyskusja między Krzyśkiem a jego żoną Ireną. Cały dowcip polega na tym, że ona głądzi, a on traktuje to pobłażliwie, traktując równie pobłażliwie swoje błędy. To jest jasne, że kocha siebie i nawet gdy mu się to wytyka w różny sposób, jest dość cyniczny by się do tego w ironiczny sposób przyznać.

Dziś pracowałem chwilę nad głową Beethovena. Nie jestem pewien żebym zrobił coś co można pokazać. Nie przyzwyczajony jestem pracować bez modelu. Do tego dość długą przerwę czuję na swoją niekorzyść.

Chętnie prosiłbym Michała o pozowanie mi. Niestety jest zupełnie unieruchomiony. Może później będzie mógł mi kilka razy służyć pomocą.

Nie mogę pisać, uwagę rozpraszają mi moi współmieszkańcy, głośnik, stałe ogłoszenia. Rozpacz. Jestem zdenerwowany tym stanem. Brak tu spokoju.

3 II 1965 r.

Za trzy dni moje urodziny. W minionych latach była to chwila uroczysta, na którą czekałem niecierpliwie, licząc w naiwności, że od tej daty zacznę żyć lepiej i szczęśliwiej. Mogło mnie wiele rzeczy rozczarować, ale ta nadzieja dodawała zawsze otuchy.

Później nadszedł okres, w którym przyjmowałem z obojętnością datę mnożenia się lat, lecz obecnie znów jest mi ta sprawa nieobojętna. Wolałbym zatrzymać ten szybki marsz ku ziemi. Sprawa się wikła, bo pozory każą nam wierzyć, że cały mechanizm jest ten sam i w bardzo dobrym stanie (po przejechaniu 100 tys. kilometrów), że jestem silny, dostatecznie sprawny aby z tej sprawności móc w pełni korzystać. Któregoś dnia cały ten mit zawali się jak stara rudera. To będzie koniec, czysta śmierć, nie starczy sił i myśli na pracę. Łatwiej będzie o ciepły koc niż o daleką drogę w mroźną noc.

Ten miesiąc zacząłem chyba dobrze. Jestem z wielu powodów częściowo zadowolony, że mi się wiedzie. Za mało pracuję. W lekkomyślny sposób potrafię stracić wiele cennych chwil na dość błahe rozmowy i tym podobne rzeczy. Głowa jest niewiele lepsza od pierwszego szkicu. Wczoraj poprawiałem to, co zepsułem przez zbytne polewanie przedwczoraj. Rozpadła się pod wpływem wilgoci. Częściowo, cały tył, czyli potraktowana fryzura, legła na podstawie. Pracowałem poza tym bez okularów, więc byłem zajęty rzeźbieniem zaledwie krótki czas, bardzo dobrze. Rezultaty mogły być straszne. Wczoraj ciotka, za rzekomo zarobione pieniądze 100 zł, zaprowadziła mnie do zielarki. Taki projekt już dość dawno powstał, było jednak kwestią czy warto poświęcać trochę tego grosza zdrowemu organizmowi i w związku z ostatnimi wypadkami mojej choroby, ugiąłem się pod perswazją i zadzwoniłem do przeciętnego mieszkania przy ul. Karmelickiej. Kobieta o rysach i stroju męskich przyjęła mnie po dłuższym czekaniu. Spojrzenie lupą w oko. Niewiele wysiłku w badaniu. Jest jasne, że to badanie przez źrenicę nie ma większego sensu, bo przedtem sam jej powiedziałem co mi dolega. Chodzi tu o wiedzę zielarską. Jeśli takową ma, to może mi ta kuracja pomoże na nerwy i żołądek. Orzeczenie: ostry niezżyt żołądka, silna nerwica, coś z żółcią. Co jest ciekawe w tym wszystkim, że miałem szczególnego rodzaju satysfakcję opowiadając wczoraj o mojej wizycie. Podałem kilka przykładów „osobiście mi znanych”, w których zdołała ona uleczyć w sposób zadowalający wypadki skrajnie trudne. Że rozpoznała moje choroby z dna oka w mistrzowski sposób. Błaga.

Człowiek ma ochotę blagować. Lubi opowiadać sensacje, które brzmią jak najwiarygodniej, dlatego często powołują się na autorytety, lub na cyfry, które wypowiedane szybko mogą być uznane za świadectwo prawdy.

Wczoraj byłem u Hanki. Jest studentką II roku Filologii Polskiej. Jest zgrabna, nie ładna, dość miła, ciekawi ją sztuka. Jest bez piersi. Jej koleżanka z którą mieszka, z mody i sposobu bycia bardzo mnie intrygująca, jeszcze tydzień temu była wolna.

Mamy szóstego wyjechać do Rytra na wycieczkę. Dziewczęta się bardzo cieszą. Ja też trochę. Trochę to jest nieposkładane, ale zobaczymy. Wyprawa jest dość droga, ok. 300 zł. Na ulicach i w parkach przepięknie. Napadało dużo śniegu. Trochę mokro bo ciepło. Świeci trochę słońce. Jutro a raczej dziś idę na film. Oddam 10 zł. Może uda mi się ją bliżej poznać?

18 II 1965 r.

Dużo czasu upłynęło od ostatniej notatki w tym zeszycie, tak, że będę miał trudności streścić ich przebieg i ważniejsze wydarzenia.

Moje urodziny, które poprzedzały wyjazd do Rytra wypadły bardzo blado. Pod presją moralną kupiłem butelkę dobrego wina, którego całą zawartość pozostawiłem Michałowi Olszewskiemu. Rozmawialiśmy trochę przy tym winie, rozmowa się nie kleiła, miałem duże trudności ze znalezieniem wewnętrznego spokoju. Coś mnie w środku tarosiło. Olszewski robił również wrażenie przygnębionego. Trudno uwierzyć człowiekowi, który ma piękną i dobrą dziewczynę i może ją kochać, że ma chwile natrętnej nostalgii i przygnębienia. Jak się temu bliżej przyjrzeć – nie ma rzeczy w której nie istniałyby ostre konflikty. Wszystko co jest z zewnątrz jest takie.

Przerwano mi przy sporządzaniu tej notatki. Przyszła Małgorzata (kuzynka). Byłem rad z jej odwiedzin.

14 III 1965 r.

Starałem się być miły. Robię wrażenie osoby, która już wiele w życiu widziała i takie sytuacje jej nie bawią. Ten błąd często sam odczytywałem w taki sposób. Milczenie, niewielkie zainteresowanie sytuacją i kształtuje się we mnie kompleks niższości. Wszelkie próby wywarcia wrażenia, zainteresowania, sprowadzenia rozmowy na ciekawe tematy kończą się fiaskiem. Wydaje się wówczas, że się jest zlekceważonym.

Wszystko co poprzednio napisałem to stek bzdur. Nie potrafię krótko i jasno streścić sytuacji, myśli. Może uda mi się to jeszcze raz. Pisałem o wyjeździe do Rytra. Byłem tam. Mieszkałem u Marcowej. Było przeciętnie. Sportowo, z mojej strony najmniejszych objawów gorętszego uczucia. Dziewczyna jest bardzo miła, dobrze się czuję w jej towarzystwie, jest wyśmienitym kompanem na wielkie wycieczki. Cechuje ją olbrzymią wytrzymałość psychiczna i fizyczna. Jeśli chodzi o stronę seksualną nie interesuje może zupełnie, choć jest dziewczyną z dużym urokiem. Ma naturalnie gęste, rude (ciemne) włosy. Jest zgrabna. Dużo wesołych piegów na twarzy.

Wycieczka jaką razem odbyliśmy na Prehybę, przejdzie w mojej historii sportowej do książki wyczynów. Historia jej jest następująca (tej wycieczki). Wybrałem się któregoś dnia rano o 10.00, po kilkudniowej zaprawie, na pieszą wycieczkę na Prehybę, świadom ciężkich warunków turystycznych. Trudno nazwać je ciężkimi, były straszne. Momentami zapadaliśmy się w śniegu po pas. Przez cały czas kroczyliśmy szlakiem, który był zupełnie nieprzetarty.

Pogoda dopisywała. Dzięki ostremu podejściu zdołaliśmy zejść na Prehybę do schroniska na godzinę 3.00 po południu. Czuję się wyśmienicie. Bez skrępowania zmieniłem tam dolną bieliznę, skarpetki na suche, wyjęte z plecaka. Zjedliśmy smaczny obiad z własnej zupy i z drugiego dania zakupionego w schronisku. Schronisko wydało się nam miejscem ze snu, który śni się w lipcowe popołudnie. Ciepło, czysto, cicho, sennie, leniwie, dobrze, dostatnio, wszystko pod delikatne akordy muzyki z radia. Doprawdy przepięknie, plus okolica i pogoda. Zeszliśmy z perypetiami. Poblądziliśmy pod koniec na drogach leśnych, którymi zwożą drzewo i zaszliśmy za daleko. Wracaliśmy przy księżycu. Nasz marsz trwał 9 godzin. Przeszliśmy około 26 kilometrów. Jeśli nie więcej. Szliśmy przez Triangul, jest to podobno dłuższa droga i prowadzi przez Radziejową.

Jestem zupełnie bez forsy.

Miałem zarobić trochę pieniędzy przy tej głowie, lecz nic mi nie wychodzi. Zdenerwowałem się i rzuciłem robotę w ką. Glina schnie i mój autorytet z każdym dniem również cierpi. Pożyczyłem przecież maskę Beethovena do pracy i musiałem ją oddać już bardzo dawno. Źle ze mną. Czytam teraz trochę na temat sztuki. Wróciłem do teorii widzenia Strzemińskiego. Jest napisana za rozwlekle i zbyt upolityczniona. To bardzo przeszkadza w czytaniu. Wiele sądów jest niejasnych. Jeśli chodzi o sens przejściowego momentu średniowiecza, renesansu, baroku (światłocię). Dalsze rozdziały ciekawe. Popularnonaukową Osęki przeczytałem szybko i z przyjemnością. Napisana ze swadą i zrozumieniem. Maluję trochę.

Namalowałem krzesła i cienie. Częściowo jestem zadowolony. Wolę nie poprawiać aby nie zmarnować tego płótna. Pracuję nad pejzażem. Wspomnienie z Rytra. Staram się nadać temu płótnu pewien szczególny charakter. Dbam o to by było oddaniem pewnego krótkiego stanu duszy, oka, chwili. Chodzi mi o nastrój, o przygodę jaka mi się przydarzyła, gdy wyszedłem do zamrożonego sadu w nocy. Chodzi mi o ukazanie obrazu w widzeniu migawkowym, rozproszonym a konkretnym. Woal wokół obrazu to nie formalne zagranie, lecz sytuacja optyczna, nieco bardziej podkreślona. Mam kilka dalszych płócien w głowie. Będę w nich szukał mojego rozwiązania dla zmysłowego odbioru konkretnych wrażeń, które w momencie uogólnienia nabierają wartości znacznie szerszych, poetyckich, subtelnie dydaktycznych, dramatycznych. Ruch... ten cholerny ruch.

Dziś jest niedziela. Piękna, ciepła, dobra niedziela. Dużo słońca, błota na ulicach, dużo muzyki i zapachów. Ludzie miarowo wystukują nowymi butami rytm święta. Rytm do i z kościoła. Nowe szpilki, tup, tup, tup od samego rana do godziny pierwszej, drugiej, trzeciej. Potem robi się ciszej na ulicach. Każdy idzie na niedzielny posiłek – kotlet schabowy, stosunek z żoną późnym wieczorem i oto już po niedzieli.

Oglądałem przed chwilą mecz, Czechosłowacja – Szwecja. Wygrali Czesi (nasi pobratymcy zza Olzy) 3:2. Szwedzi w ostatniej tercji ostro atakowali, nie udało im się jednak wyrównać. Mało kto z widzów telewizyjnych życzył im zwycięstwa: tzn. Czechom.

Za chwilę zabiorę się do pisania listów. Mam napisać do Krystyny.

Obchodziła wczoraj imieniny. Dawno do niej nie pisałem. Januszowi również należy się list. Chcę za chwilę zatelefonować, wobec czego będę musiał na jakiś czas odłożyć te straszne bazgroły i bzdury.

1985 r. kwiecień – Notatki malarskie

11 IV 1985 r.

Dość chłodno – zieleń w pączkach czeka na słońce. Lekkie przejaśnienia w ogrodzie, kobieta zbiera liście by je po wysuszeniu spalić. Byłby z nich dobry kompost.

Przyjechałem z Wrocławia ze świąt. Pierwszy dzień w domu. Radość z pracy, z spokoju, z zastanowienia.

Wysłuchałem audycji o Antonionim. Wielki artysta, tak mi bliski. Czuję Go. Jeśli nie wszystko w tych jego filmach rozumiałem to czuję jego filmy na pewno. Antonioni upomina się o nowe spojrzenie ze strony twórcy, a także ze strony widza. Uważa, że ważne jest by widz jego filmy odbierał poprzez przeżycie. Antonioniego obrazy to obrazy duszy człowieka, jego egzystencji wewnętrznej. Trzeba będzie prześledzić w czytelni jego twórczość.

Kolor w filmach Antonioniego. Kolor ten jest psychologiczny, gra rolę dramatyczną. Kolor odwołuje się do światła przedmiotu.

Przez dłuższy czas rysowałem moje podwórko, tak jak mi moja intuicja proponowała. W czasie rysowania zrozumiałem, że są trzy postawy artystyczne w malarstwie:

Artyści mówią o Naturze.

Artyści mówią o sobie przez Naturę.

Artyści mówią o sobie bez Natury.

Powiedzieć o sobie jest najtrudniej. Jesteśmy jak głębokie jezioro.

Powierzchnia i to co z nią sąsiaduje to nasze myśli.

Warstwa głębsza to wyobraźnia. Lub wrażenia.

Następnie nasze przeżycia (tęsknoty, niepokoje).

Następnie nasze uczucia.

Najgłębiej tkwi podświadomość.

Jesteśmy dla siebie istotami nieznanymi.

Długa rozmowa z Marysią w której na koniec pada takie zdanie:

„Bo to jest TAK!” Człowiek jest....

Wpierw wydaje mu się, że umie, potrafi skonstatować kim jest.

Zaczyna i po chwili stwierdza, że nie umie stwierdzić.

Zanotowane wcześniej:

Ruch

Światło

Życie

Poezja – Rzeczywistość – Nastrój

Trzeba zadać sobie pytanie czym jest moja sztuka. Jest konieczną

czynnością. Jest potrzebą kontaktowania się z samym sobą. I jak się

okazuje przez sztukę TAKŻE nie umiem się kontaktować.

Dotrzeć do rzeczywistości, tzn. dotrzeć do obrazu tej rzeczywistości

we mnie nie umiem. Umiem zarejestrować pojedyncze wrażenia.

Głębsze struktury są nieprzeniknione.

Dylemat mojego stosunku do sztuki polega na tym, że zbyt wiele

form, wypowiedzi potrafię realizować nie umiając wybrać pośród nich.

Wydaje mi się, że cała moja twórczość rodzi się z postrzeganej

rzeczywistości, z przeżytej rzeczywistości, tak jak np. teraz. Patrząc przez okno i widzę powoli zapadający zmierzch. Ten zmierzch, a nie ten konkretny widok jest może dostatecznym materiałem twórczym. Tytuł zmierzch, od niego zacząć obraz. Naturą sobie pomagać. Nie! Inaczej!

Wyrazić zmierzch, ten który widzę. Tak go namalować by był zmierzchem.

Moje malarstwo jest moim rezonansem na obrazy świata.

Spostrzeżenie: zmierzch zapadał, było coraz ciemniej. Logicznym jest, że im bardziej on staje się zmierzchem, tym powinno być ciemniej. Tymczasem jest tak, że w pewnym momencie pojaśniało. To kontrast pomiędzy niebem i domami w miarę ciemnienia wzrósł do tego stopnia, że w stosunku do poprzedniego wrażenia obecnym wydaje się być jaśniejsze!

Tadeusz Zaleski – Isakowicz. Napadnięty, odurzony i wypalone na piersi V.

12 IV 1985 r.

Jestem zupełnie zdezorientowany. Nie potrafię podjąć jakiegokolwiek twórczej inicjatywy, bo jest zaraz zakwestionowana przez następną ideę.

14 IV 1985 r.

Niedziela – piękne słońce – silny wiatr, chłodny jeszcze wiatr. Wizyta u p. Kwiatkowskiej. Wczoraj u Grażyny spotkanie towarzyskie z okazji magisterium. Poznałem ks. Kłoczowskiego. Zrobił na mnie dobre wrażenie. Będę się starał podtrzymywać tę znajomość.

Rano usiadłem do rysunku z pobudek sprawdzenia jak zwykle pewnej koncepcji. Okazuje się być tą, której poszukiwałem, a którą jak pamiętam, zgubiłem. Metoda ta w opisie brzmi następująco: jestem czujnym obserwatorem natury. Pewne obrazy z natury działają na mnie w sposób szczególny, np. dzisiaj zobaczyłem silne światło słoneczne i jego blask chciałbym oddać, a raczej wyrazić w obrazie. Prowadzona w ten sposób praca pozwala mi na twórczy stosunek do rzeczywistości. W definicji działania brzmiałoby to w ten sposób: „Zobaczyć” naturę. „Zobaczyć” jej jakąś szczególną cechę i starać się (można różnymi środkami) o wyrażenie tego, co zobaczyłem. Definicję zapisałem by pomóc sobie w pracy.

16 IV 1985 r. - wtorek rano

Wczorajszy dzień – ogromne osłabienie. Popołudniu drżenie rąk i stóp. Kawy, cardinol. Bez rezultatów. W nocy dzisiaj trzy razy się budziłem. Napięcie. Osłabienie.

Wczoraj wykonałem rysunek, który ponownie stawia pod znakiem zapytania poprzednie ustalenia. Zwariuję. Ale jednak nie tracę nadziei. Rysunek poddam analizie.

20 IV 1985 r. - sobota

Kilka dni w podobnym samopoczuciu. Sypiam długo, do 10.00. Ciężko mi się wyguzdrać rano. Napięcie nerwowe nie maleje. Teraz jednak jest znacznie lepiej. Wróciłem z zajęć. Pracuję już z zupełnie nowym programem. Opracowałem go po dokładnej analizie rysunku, który zachwiał moimi poprzednimi wskazaniem. Otóż nie tyle unicestwił poprzednie ustalenia co je w pewien sposób zmodyfikował. /Dzisiejszy dzień – ciepło i piękne słońce – prawdziwa wiosna/.

Ja zapragnąłem natomiast malować obrazy w których dominantą będzie błękit. Wykonałem już dwa rysunki.

Metoda pracy jest wspaniała. Pracuje mi się znakomicie. Coraz nowsze pomysły i sposoby realizacji przychodzą do głowy. Oto właśnie chodzi. Rozszerza mi się krąg inspiracyjny i poszerzam zakres możliwości interpretacyjnych.

Czuję, że moje zainteresowania KOLOREM powinienem oprzeć szczególnie na jego oddziaływaniu emocjonalnym. Powiązać też działanie koloru z działaniem muzycznym – (bardzo ważne!).

Wykonując kilka rysunków i rozważając także ich działanie, dochodzę do wniosku, że aby „pokazać kolor”, tzn. przeznaczyć mu rolę magiczno – poetycko – emocjonalną kreatora obrazu, trzeba decydować się na prawie jeden kolor. Np. Obraz Fioletowy fioletami malowany. Obraz Zielony zieleniami, itd. Trzeba próbować tej drogi, oraz przemyśleć konsekwencje takiego podejścia.

24 IV 1985 r. - wtorek

Kasztan za oknem już w zielonej sukience. Coraz bardziej zielono. Czeremchy pachną cudownie. Namalowałem obraz – jaki piękny. Tak czekałem latami na ten dar pracy świadomej i celowej. Dostałem od Boga tak jak wiele innych rzeczy – więc cóż, dlaczego nie jestem szczęśliwy? Dlaczego jestem smutny? Zrozumiałem to w jednej chwili. Teraz! Dopiero teraz... Moje życie zamyka się w obrębie mojej egzystencji z której próbuję się uwolnić szukając pociechy w Bogu. To jest ucieczka od życia. Skąd się bierze niechęć do życia, abominacja do siebie? Z braku Miłości. Nie Kocham bo się boję kochać, bo nie umiem kochać. To straszne żyć dla siebie. Za chwilę idę do p. Hoffmanowej. Mogę zanieść jej smutek

lub radość. Mogę wybrać. Jeśli chcę żyć muszę wybrać Życie. A Życie to Miłość. Idź i kochaj... Proś Jezusa o ten dar łaski. Na pewno otrzymasz.

W niedzielę byłem z Wojtkiem i Lidką Pogodą w dolince Bolechowickiej. Upał straszny. Dość nieprawe i gnuśne spędzanie czasu. Żyć trzeba wchodząc w głębokie kontakty z otoczeniem. Przyroda to źródło sił potrzebnych do życia. Tak bardzo potrzebuję środowiska w którym ukoił bym swą duszę.

26 IV 1985 r. - piątek /raczej już sobota godz. 00.30/

Można na pewno się uśmieć z moich odkryć „duchowych”. Robię to zastrzeżenie jakby nie na własny użytek. Pisząc dziennik zawsze mamy świadomość jego dyskretnej dostępności co nie jest bez znaczenia dla prawdy zapisków.

Byłem u ks. Życińskiego od którego otrzymałem bardzo miły list polecający dla ojców kapucynów. Zamierzam u nich spędzić krótki okres na rekolekcjach i twórczej pracy, jeśli mi pozwolą.

Wizyta u p. Hoffmanowej pomyślna. Wystawa staje się już być bliska urzeczywistnienia. Pracuje mi się znakomicie. To już na konto zupełnie nowej ewentualnej wystawy. Zamierzam namalować kilka małych obrazów pod nazwą „Okna” – każde w innym kolorze i z innym problemem. Mam już jedno z żółtym oknem, dobrze zaczęte.

W rysunku ciągle waham się co do formy.

Uczę się medytacji!!! Może to powiązać z malarstwem?

Czytam Grifisa (fon.) „Złotą nić”³. Ciekawe. Fragmenty pasjonujące.
Może urządzać wieczory medytacyjne?
Przyroda i pogoda jak w kwietniu – zielono i... śnieg!

Doprawdy dopiero zaczynam malować! Wszystko to o czym myślę, co czuję i co widzę zaczyna mi się układać w obrazy o zaskakująco prostej formie. Tak można byłoby jeszcze trochę pożyć. Kolor to na pewno także trochę poezja i muzyka, to także: przeszłość (wspomnienia), teraźniejszość (unaoczniony świat), przyszłość (marzenia, wybór). Pomyśleć, że to wszystko może za pomocą koloru znaleźć się w jednym obrazie, w każdym razie nie jest to wykluczone.

1 V 1985 r.

Zimno, śnieg, deszcz. Wczoraj pierwsza „wiosenna” burza: w śniegu niespodzianie niebo nagle rozerwała oślepiająca błyskawica, a grom od którego zatrzęsły się wszystkie szyby. Pomimo niewesołej aury w moim sercu wielka radość. Czuję w sobie Boską opiekę i Miłość. Codziennie rano staram się być na mszy i przyjmować sakrament komunii. Czerpię z tego całą moją siłę i wewnętrzny spokój. Pan ma mnie w swej opiece. Od kilku dni maluję olejne obrazy. Nigdy do tej pory nie pracowało mi się tak dobrze i wydajnie. Każdy nowy obraz podsuwa nowe pomysły i domaga się realizacji ich. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że na taką pomyślną sytuację czekałem całe dotychczasowe artystyczne życie. To ważne również, że czuję się jak u początku wspaniałej ogromnie unikatowej drogi. Tyle jest tematów do namalowania. Mam namalowane już trzy

³ Chodzi o Bede Griffithsa.

obrazy. Wszystkie trzy martwe natury, ale każda inna: w czerwieniach i fioletach podłużna na preszpanie martwa natura z garnkami i butelką. Druga: błękitne butelki, kompozycja pionowa – obraz bardzo udany pod względem zrytmizowania i zindywidualizowania postaci butelek. Kolor też trafny. Moim zdaniem brak tam jeszcze jakiegoś wyjątkowo drobnego szczegółu (jakiejś plamki), czy czegoś w tym rodzaju – który by tę kompozycję ożywił. Ale pozostawiam obraz tak jak jest. Mógłbym nierozważnym działaniem go zepsuć.

Trzeci obraz zakończyłem dzisiaj. Przedstawia duży piec (plama brązu), a na nim dwa naczynia jasno cynobrowe – do parzenia czarnej kawy i żółty garnuszek na mleko. Obraz mógłby się nazywać: „Codzienna kawa z mlekiem”.

Wczoraj byłem na koncercie. W programie Czajkowski, suita do baletu „Romeo i Julia”. Wariacje rococo grał Iwan Monighetti – wspaniale. I czwarta symfonia – utwór wspaniały. Słuchając koncertu pomyślałem, że warto namalować cykl obrazów poświęconych pewnej muzyce. Dwa sposoby realizacji. Analityczny, opisowy. Poszczególne fragmenty koncertu ilustrowane pracami powstałymi w bezpośredniej inspiracji muzyką, lub sposób drugi: każdy utwór przeżyty i zrealizowany w czasie jego trwania i po jego zakończeniu zostaje zobrazowany jednym, syntetycznym dziełem. Tytuł do takiego cyklu: „Tematy muzyczne”. Analiza treści muzyki poprzez kolor, akordy barwne, podstawowe formy kompozycji, kształt, plany linii, itd. Bardzo atrakcyjne zadanie!

Pomyślałem o namalowaniu cyklu obrazów poświęconych różnym drzewom – ich charakter, ich życie. Chodzi o gatunki drzew.

2 V 1985 r.

Oslabienie skrajne. Zmiana pogody. Na wykresie maksimum sił fizycznych.

Zainteresowanie kolorem. Fascynująca przygoda! Sięgnąłem ponownie do lektury M. Rzepińskiej o Kandinskim.

Według Kandinsky'ego dwa podziały.

Plansza nr 1:

Jasne Bielą na bieli
rozjaśnianie
Ciepłe ocieplanie TON schładzanie Zimne
zaciemnianie
Ciemne Na czerni Czernią

Plansza nr 2:

jasne
jasne/ciepłe jasne/zimne
ciemne/ciepłe ciemne/zimne

Kontrast cieplny dynamiczny.

Kontrast jasności statyczny: łatwiejszy do ustalenia

Każdy kolor najbardziej nasycony podlega dwóm wielkim kontrastom.

Kontrastowi temperaturowemu, gdy kolor zbliża się do błękitu (chłód)

lub żółcieni (ocieplenie). Kolor nasycy się materialnością (ocieplenie barwy), lub schłodzeniem (niematerialnością).

Kontrast jasności. Ruch do widza i w głąb płaszczyzny. Wynika z tego ruch płaszczyzn kolorystycznych do widza (ciepłe) lub oddalania się koloru (chłodne). Kolory ciemne i jasne podlegają również prawu tego ruchu (nie wyjaśnia zasady).

Rozważam problem, czy nie najistotniejszy dla mojego malarstwa. Czym w swej najgłębszej istocie jest moja sztuka? Jest ona reakcją mojego psychizmu. Jest to wkładanie ręki do ciemnego worka swej psyche i wydobywanie na światło dzienne tego co Nieznane, Ukryte tam w Głębi – Nieznane jest stale aktywne, reaguje na bodźce, słowa, sceny, muzykę, wspomnienia. Żyje.

Tworzyć tzn. odczuwać potrzebę przyjrzenia się sobie. To „coś” wewnętrzne nie może być w gruncie rzeczy nigdy zobaczone. Ono gdy staje się sztuką przybiera postać zastępczą. W tym sensie Sztuka jest dawaniem upustu wewnętrznemu ciśnieniu. Dlatego dla mnie jest terapeutyczna. Zauważyłem to bez jakichkolwiek wątpliwości. Dobry obraz rozładowuje napięcie. Zły jeszcze bardziej to napięcie wzmacnia.

Można przyjąć, że moje napięcia psychiczne są moim niezbędnym mi Imperatywem. Nakazem Wewnętrznym. Bez Imperatywu Wewnętrznego w mojej sztuce nie ma mojego ja.

Obraz to uporządkowany zespół znaków, w których moje Psyche w jakimś stopniu się odnajduje; które ją wyrażają. Malować to może wobec tego dobierać na drodze intuicji, prób i błędów substancji materialnych – farb – i tak nimi dysponować, że w wyniku ich przetworzenia powstaje obraz, którego materia jest tak ukształtowana, że jego ogląd wywołuje rezonans z tym co jest w Głębi.

Ten „Rezonans” wywołuje rozładowanie napięcia i uczucie zadowolenia, znalezienia związku z samym sobą.

Wielokrotnie stwierdziłem, że malować to wielokrotnie stwarzać sytuacje szczęśliwych przypadków.

Im bardziej poddaję się procesowi malowania (działaniu intuicji i szczęśliwego przypadku) tym lepiej pracuję. Prosta recepta: „Pozwalaj całkowicie sobą kierować”. Jest jakieś światło, które może jest we mnie lub mnie przenika. Problem jest „tylko” w tym by mu pozwolić działać. Nie stwarzać przeszkód! Nie zasłaniać go swoim rzekomym „ja”, wylęglym z myśli, z nerwic.

Obraz powinien być „muzyczny”, powinien mieć TON GŁÓWNY, kolor który w decydujący sposób określa stan emocjonalny obrazu (każdy kolor zabarwiony jest innym uczuciem).

Ton Główny, to plama malarska, z którą intuicyjnie identyfikujemy wymowę całego obrazu. Gdy brak takiej płaszczyzny ogólnego tonu p r o m i e n i u j ą c e g o z obrazu, staje się zbyt wielowątkowy a nawet „gadatliwy”. Ton główny to niekoniecznie ta plama którą pierwszą w obrazie zauważamy. Ton główny ma ścisły związek z treścią obrazu, z tematem który przedstawia.

Ton główny może i powinien być tak rozbudowany polifonicznie aby działał wielogłosowością. Tonowi głównemu inne barwy są towarzyszące, spełniają rolę służebną.

Druga zasada kompozycji barwnej to będzie akord kolorystyczny. Akord kolorystyczny to budzenie rezonansu psychicznego poprzez zdecydowany kontrast kolorystyczny. Brzmienie akordu kolorystycznego nie jest mi jeszcze dość znane. Pozostawiam to do przyszłego opracowania.

Spostrzeżenie:

BRAZY. Brązy to ściemnione czerwienie – jak pokazuje praktyka. To żółć, której zabrano światło /nie ściemniono ale zabrano!/

Cytat z M. Rzepińskiej „Historia koloru”, s. 101, tom II.

Cytat J. Starzyńskiego o Delacroix: „Prawowitymi dziedzicami Delacroix są ci wszyscy dla których kolor doprowadzony do maksymalnej ekspresji staje się instrumentem pełnego wypowiedzenia emocji i myśli ludzkich”.

Op. cit. 113.

„Kolor – u impresjonistów związany ściśle ze światłem, porą roku, dnia, rodzajem pogody (przyjął się nawet termin „estetyka meteorologiczna”) - stopniowo zaczął się wyzwalać od wszystkich tych zależności, zmierzał do coraz śmielszego komunikowania własnych immanentnych właściwości i wartości”.

6 VI 1985 r. - Boże Ciało

Drogi, kochany dzień. Cudowny w swym pięknie i dobroci. Białe, zielone, niebieskie. Nie byłem na procesji. Namalowałem obrazek wieczorem po letniej burzy.

Drzewa, duże, zielone drzewa na tle wieczornego nieba, obraz przestrzeni i tajemnicy światła wieczornego. Jak dobrze mi się pracowało pod natchnieniem chwili szczęśliwej – było w tym jakieś oblicze prawdziwego szczęścia i miłości. Wieczór przynosi wiele wspaniałych chwil i nastrojów. Bardzo lubię nieba wszelkie odcienie, nieba wieczorem.

Zbudziłem się o godzinie 1.30 i, wstając z łóżka po pigułkę, uzmysłowiłem sobie, że byłem dzisiaj bliski widzenia w głąb świata. Tworząc pod wpływem przeżycia, które powstaje z bezpośredniej podniety natury, staję się bliski najbardziej twórczej napędowej sile tkwiącej we mnie.

Poddać się, dać się pochłonać działaniom nastroju, stać się przeźroczystym dla siły, która tkwi w nas i w przyrodzie, a tworząc być nie kreatorem, lecz instrumentem, który jest kierowany przez coś lub kogoś; instrumentem coraz bardziej subtelnym.

Obraz to ekran na który pada światło filtrujące Naturę i Artystę.

4 VII 1985 r.

Dużo czasu i dużo zdarzeń.

Widziałem Królika. Nadzwyczajnie piękne spotkanie. Uczucie samotności narasta – może dlatego napisałem dzisiaj do niego.

Dzisiaj także rozmawiałem telefonicznie z Bożeną B. Cóż, o miłości dwojga serc nie była to niestety rozmowa – a szkoda.

Dostałem kartkę – odpowiedź od K. Była tej treści, że komunikat o ciężkiej chorobie nie sprawiłby takiej przykrości. Na końcu było dużo życzeń, słońca, wesela, etc. Tylko korzystać!

Wystawa bardzo udana – podobno (mnie się podoba).

8 VII 1985 r.

Już dni krótsze niestety. Siódmy miesiąc roku. Powinienem się cieszyć wakacjami i słońcem i ostatecznie także rezultatami mojej pracy, ale cóż z tego, skoro smutek jak zły towarzysz nie opuszcza mnie ani na chwilę. Jestem w sercu zupełnie sam i jest to bardzo smutne uczucie.

Zadzwońłem dzisiaj do Ali. Chciałem do niej pojechać, zobaczyć się z nią, posiedzieć z kimś bliskim, podzielić się z kimś kawałkiem swojego smutku, ale odmówiła mi swojego towarzystwa. Sama także jest w bardzo złej sytuacji psychicznej. Jesteśmy bezradni wobec swoich losów. Szukam ratunku. Będę błagał Boga by mi zechciał pomóc.

Jutro o 6.40 pociągiem do Wrocławia.

Miałem jechać do Kalisza z B., potem zrezygnowałem. Postanowiłem pojechać na plener do Myśliborza, z czego zrezygnowałem, następnie chciałem jechać do Ali, dostałem kosza. Tak to jest. Trochę głupio – to na pewno. I bardzo smutno.

Wielce Szanowny Panie,

Pragnąłem zatytułować ten list bardziej serdecznie, lecz słowo „Drogi” może zabrzmiałoby zbyt prywatnie, a nie chciałbym Pana urazić.

Zdradzę Panu, że należę do tej kategorii ludzi, którzy nie lubią pisać listów, a zwłaszcza do osób sobie nieznanym, tak że list do Polskiego Radia zdarza mi się napisać po raz pierwszy. Widocznie okoliczności w jakich się znajduję, nowe i niespokojne życie naszej Ojczyzny i Wasza audycja o etyce dziennikarza w której Pan uczestniczył, a także Pańska osoba, którą darzę wielką sympatią i szacunkiem – sprawiły, że porzuciłem swoje przyzwyczajenia i zdecydowałem się napisać do Pana.

Pragnę wyrazić swój szacunek i podziękowanie Panu i tym Pańskim kolegom dziennikarzom, którzy nie bacząc na skutki byli zawsze wierni swojemu sumieniu, i starali się jak mogli w istniejących warunkach spełniać swoją pracę (a poniekąd służbę społeczną) w jak najuczciwszy sposób. Chylę czoła przed Wami i dziękuję Wam słowem, które uważam za najcenniejsze „Bóg Wam zapłać”.

Szanowny Panie Bogdanie – jestem przekonany i wierzę w to głęboko, że wszyscy ludzie; podkreślam wszyscy, mogą być sobie bliscy, jeśli: kierują się uczciwością, sercem i rozumem.

Jeśli dziennikarze tego samego pragną jest to dla nas jasna nadzieja; nadzieja, że nie będziemy już nigdy tak strasznie poniewierani nieuczciwym słowem. Niestety to, że wielu z Was musiało zamilknąć to także wielka nasza wina, wina całego społeczeństwa, które trwało w wielkiej i wydawało się strasznej obojętności. Wszyscy musimy wpływać na to żeby ten upadający okres się nie powtórzył.

Może złe siły zechcą nas zniszczyć (i to niestety może się zdarzyć), ale nie mogą – jeśli będziemy wierni temu co w życiu Polaka najcenniejsze – odebrać nam naszej ludzkiej godności.

Proszę jeszcze o jedno – byście pamiętali: Pan i Pańscy – Ci uczciwi – koledzy dziennikarze, że nie jesteście sami, że bez mała całe społeczeństwo, to, które do tej pory milczało, jest Waszym sprzymierzeńcem i że dla niego, a nie dla nikogo innego pracujecie. Powtarzajcie to także tym młodym adeptom sztuki dziennikarskiej, którzy się w swoim postępowaniu zagubili, którzy w pseudonaukowych pozach próbują zakłamać sumienie własne i społeczeństwa.

Życzę Panu i Pańskim kolegom warunków, w których prawda (niezależnie od jakiej litery pisana) będzie zawsze i tylko prawdą, a nie tytułem pewnej znanej gazety.

Przesyłam Panu serdeczne pozdrowienia i głębokie ukłony oraz życzenia dużo jeszcze lat pracy – miejmy nadzieję w lepszych warunkach.

Z poważaniem,
Tadeusz Łukasiewicz

Kraków 30-049
ul. Konarskiego 13/5

Kraków, 21 XII 1978 r.

Droga Pani Tereso!

Nie napisałem do Pani na imieniny, chociaż miałem ochotę, ale zdawkowych słówek nie lubię, a do pisania ciężko mnie namówić. Dawno się widzieliśmy i sądziła Pani na pewno, że dotrzymam słowa, gdy obiecywałem, że zrobię jakąś wystawę, itd. Ogarnęły mnie jednak wątpliwości czy to warto, itd. (na pewno znane to wszystko jest także Pani) i jakoś moja inicjatywa znalazła inne oddalone cele. Trudno rozstrzygnąć jak jest słuszniej postępować. Konkludując: maluję teraz myśląc, że to co robię obecnie „to jest to o co chodzi”. Prawdopodobnie zawsze tak będzie. Trochę to głupie i śmieszne, widzieć siebie w perspektywie właściwie jeszcze niedokonanego dzieła.

Wspominała Pani, że jesteśmy z tej samej „branży”. Gdzie Pani pracuje? Ja przestałem zajmować się projektowaniem. Zbyt to oschła dla mnie dziedzina. Jeśli coś z tego fachu to tylko w powiązaniu ze sztuką. Związki rzemiosła, projektowania między-industrialnego i sztuki to to, co uważam za przyszłość, a nie suche i wyjąłowane z wyobraźni, „obiektywne”, niemalże komputerowe projektowanie. Ten wyidealizowany raj Funkcji okazał się nihilistycznym pustkowiem dla głębszych uczuć człowieka.

Czy zauważyła Pani, że mimo tak dotkliwych braków w wypełnieniu wszystkich podstawowych potrzeb czysto praktycznych, ludzie czują podświadomie, a wielu świadomie, że to nie tędy droga.

Co Pani czyta? Polecam Potworowskiego album malarstwa i „Sztuka i percepcja wzrokowa”. Doskonała!

Z okazji Świąt życzę Pani szczęścia i myślę, że to jest wszystko co każdy człowiek potrzebuje i co każdy może znaleźć w sobie (jeśli zechce tam go szukać).

Serdecznie pozdrawiam,
może odpisze mi Pani na moje kartki?

Tadeusz Łukasiewicz

Kochani Wujostwo!

Jesteście ogromnie mili i serdeczni jeśli pamiętacie o mnie, o moich imieninach; jak mogę Wam podziękować za tyle serca i okazać swoją wdzięczność.

Jak widzicie pisanie przychodzi mi z trudem, skoro odpisuję na Wasz bardzo miły list z dużym opóźnieniem. Wybaczcie! Należę już do pokolenia, które prawie w ogóle przestało pisać; to co czynię jest więc „nie modne”. Przed samymi świętami zawiąłem się i zacząłem pisać listy – napisałem ich dziewięć. „Wyczerpany takim wysiłkiem” (cóż to znaczy wobec dawnej epistolografii) zrobiłem sobie przerwę do Nowego Roku.

Pisałem według miejsca zamieszkania – od zachodu Polski do centrum i dalej, inaczej – według geograficznego klucza adresowego. Rozumiecie teraz dlaczego wszystko się tak ułożyło.

Kraków znalazł się w objęciach zimy; od dwóch dni jest biało i mroźno. Wiecie na pewno jak wyglądają nasze kłopoty energetyczne. Może i Wam także wyłączają prąd. Dom zamienia się wtedy w jakąś przepastną jaskinię.

Miasto straszy tunelami czarnych ścian, domów, jest wtedy straszno, chłodno i głodno. W moim domu okna zupełnie pozamarzały. Nie widać zupełnie świata. Dobrze że jest opał w piwnicy, i z tym ludzie mają poważne kłopoty. Dzisiaj kupiliśmy świeczki w kiosku – wielki sukces. I tak w Nowym Roku przechodzimy od sukcesu do sukcesu. Za nami same zwycięstwa.

Po przyjeździe w październiku z Grecji dużo czasu poświęciłem na to

aby zarobić trochę grosza. Byłem bardzo zadłużony. Jestem w tej chwili przy forsie, więc mogę się ruszyć trochę w świat. Pamiętam o Waszym zaproszeniu i niezmiernie się z niego cieszę. Jeśli mógłbym przyjechać do Was to może w lutym – jeśli to Wam z niczym nie koliduje. Bardzo bym się cieszył z rozmów na temat tkanin artystycznych.

Próba opisanie rysunku – obrazu:

Rysunek jest kwadratowy. Dzieli się na dwie części (górną i dolną). W obrębie każdego podziału są jeszcze małe różnice kolorystyczne. W rysunku wyodrębnia się wyraźnie sylweta (dolna część) i tło (górną część). Na tle dużej sylwety widzimy dwie mniejsze sylwety, ale w stopniu znacznie mniej zróżnicowanym. Cały obrazek jest oparty na akordzie kolorystycznym (a nie walorowym). Wydaje mi się, że żeby obraz stał się ekspresyjny to musi być oparty na tym pierwszym prawie. Prawie kontrastu i harmonii.

Kontrasty – gorące niebo – jaśniejsze

zimna architektura – ciemne

Harmonia. Czerwień – światło, przeniesiona jest refleksami na tło.

Akord kolorystyczny kontrastowy a nie walorowy.

Każda z płaszczyzn indywidualnie promieniuje własnym światłem.

Cały obrazek sprawia wrażenie jednolitości, tzn. pewnego nastroju jaki tworzy się przez emanację jednego koloru. Kolor ten tworzy dominantę kolorystyczną i on tworzy zasadniczy nastrój.

Ilość kolorów ograniczona do trzech.

Wnioski:

Obraz zbudowany jest na dominacji koloru: przez zawężenie skali, np. do prawie jednego koloru (zróżnicowanie tylko walorowe), przez kontrastowy akord kolorystyczny, w którym jeden kolor podporządkowany jest drugiemu, przez gamę barwną z której wynika pewien wspólny nastrój kolorystyczny.

Obraz musi emanować kolorem, który zarazem jest światłem.

Oraz szczególnie ważne: dominujący kolor w obrazie musi tworzyć jakiś szczególny nastrój emocjonalny. Związany z psychologicznym, emocjonalnym działaniem barw.

Barwa obrazu powinna tworzyć pewne poetyckie tło nastroju, który da się także zdefiniować w takich określeniach jak: poważny, smutny, melancholijny, nostalgiczny, tragiczny oraz wesoły, pogodny i np. lekki, jasny, delikatny i ciężki, ciemny, twardy.

Witold Poprzęcki „Moje ziołolecznictwo”.

Kuchnia medycyną

(700 leków)

Złe trawienie – tranzyt ważne!

Wzdęcia – sygnał (kapusta).

Monotonne wyżywienie – dewitaminoza organizmu.

Test WHO – 60 % artykułów spożywczych w tym 1/2 surowych.

Przemiana materii

Reumatyzm – czarnuszką posypać chleb.

Surowe: seler, pietruszka, kalafior, pieczarka, chrzan, gorczyca,

kasza jaglana.

Angina – profilaktycznie: żółtko, anyż, cebula i czosnek surowe.

Doraźnie – wełna ostra na gołe ciało.

Maliny. Cebula ugotowana z miodem, zażywać w niewielkiej ilości.

Śluzówka wyjałowiona – potrzebna witamina A, prowitamina A.

Białaczka – sok z marchwi.

Nerwy – witaminy z rodziny B, naturalne drożdże surowe.

Cukrzyca – powód – brak przypraw trawiennych.

Pieprz, pietruszka, papryka – środki trawienne, podstawa zapobiegania. 54 przyprawy.

Żółtko, drożdże, cebula gotowana, czarne jagody, czerwone jagody, seler, papryka, szpinak. Surowe.

Oliwa utrudnia przyswajanie z surówek.

Astma: śliwki, cebula, czosnek, surowa słonina paprykowana (siemię 3 łyżki + 1 łyżka cukru zmielone) zażywać na surowo 1 łyżkę dziennie.

Propolis: kit pszczeli + spirytus.

172 choroby awitaminowe. 5 dkg kitu, 1/ 2 spirytusu.

15 – 20 kropli dziennie, do herbaty przechowywać w ciemnym szkle.

Hemoroidy: okłady ugotowanej cebuli na odbytu, na noc powtarzać.

Zaparcia: suszone śliwki.

Wrzody, źle gojące się rany – gotowana cebula.

Stan przedcukrzycowy.

Grypa, przeziębienia: środki uodpornienia: anyż, cebula w obu formach. Katar: sok malinowy, maliny.

Kamica moczowa: odwar z obierek ziemniaczanych, dobry, odżywczy środek.

Nadkwasota: nie wolno stosować sody. Nie żałować kwasów oct.

Sok z surowego ziemniaka, wycisnąć, wypić.

Opalenizna, oparzenia: olej lniany. Zmoczyć na puder mąkę ziemniaczaną lub posmarować żółtkiem, poczekać aż zaschnie.

Rektoterapia (?): tam gdzie jest awitaminoza. Krochmal w kąpieli ½ godziny przy grzybicach, łuszczycach.

Nerki: seler, pietruszka, kalafior, czarne jagody, czarna pietruszka, czarny jałowiec.

Nadciśnienie: żółta skórka z cytryny, czosnek.

Wrzody żołądka i dwunastnicy: przyprawy: kminek, majeranek, pieprz, papryka – do fiolki ze sobą.

Kaszel: czosnek, cebula, anyż, koper.

Piegi: smaruje się sokiem z pietruszki na noc, rano spłukać wodą chrzanową (w ciemnym miejscu chrzan + trzy łyżki wody).

Robaczyce: pestki z dyni wyluskanych, pestek ¼ + środek przeczyszczający. Dwa dni powtarzać.

Owsiaki: lewatywa z czosnku 1 główka, ½ godziny wytrzymać. Po dwóch dniach powtórzyć i znów dwa powtórzenia. Po owsiakach może być szkorbut.

Kąpiele z drożdży przy awitaminozie. ¼ proszku mlekowego na wannę. Torebka mięty. Chrzan i gorczyca działanie promieniujące.

Kuracja odchudzająca: skrupulatna przemiana materii. Tuczy skrobia – mączne i ziemniaczane. Otręby: wysoko witaminowy środek.

Groch i fasola wysoko witaminowe środki.

Aloes: wycisnąć kawałek – pielęgnacja cery. Wino gronowe. Miód – aloes w ciemności 1/3 – 1/3 – 1/3 – aż zawiruje (w ciemności).

Obrzęki – gorący okład + seler jeśli przewlekłe.

Włosy – zadbać o wątrobę. Woda – gotować dwukrotnie.

Żylaki: ADE moczyć w selerach. Będzie pomagać w gojeniu.

Środki promieniujące: artretyzm, reumatyzm, zapalenie wirusowe, bolesne okresy.

Ćwikła z chrzanem – sok, bardzo dobry środek na wątrobę.

Całe ziele leczy – wbrew Paracelsusowi. Nie wyodrębniać.

Serwatka na kamienie żółciowe. Litrami⁴.

10 VII 1985 r.

Dzień zacząłem „typowo”, po przebudzeniu około 8.30 senny, bez wigoru – jedyną praktyczną czynność którą wykonałem było oddanie moczu – uznałem, że lepiej będzie jeszcze usnąć. Niejako naładować snem jeszcze niesprawny akumulator energii życiowej. Rzeczywiście zbudziłem się po raz drugi z lepszym samopoczuciem i trochę silniejszy. Wypiłem kawę i sięgnąłem po poranną lekturę (rodzaj wewnętrznego dojrzewania do wstania z łóżka). Wydaje mi się, że każdorazowe budzenie się ze snu jest naznaczone jakimś zmaganiem się moim pomiędzy chęcią śnienia (niebytu) a jaźnią (Bytem). Ten moment progowy – wyboru – jest bardzo trudny i wewnętrznie konfliktowy. Pragnę spać – zasypiam jednak z poczuciem moralnego grzechu, wstaję z poczuciem niechęci. Dodatkowym konfliktem jest niespełnianie w ten sposób mojego postanowienia, codziennego, rannego uczestniczenia w mszy świętej i przyjmowania sakramentu komunii. Odkładam to postanowienie co rano na następny dzień. Wieczór przychodzi zaś za wcześnie, bez oznak senności. Bez większej ochoty kładę się spać późno około 1.00 w nocy i zrozumiałe, że mam ponownie trudności z rannym wstawaniem.

⁴ Powyższe zapiski dotyczące ziołolecznictwa nie mogą być traktowane jako porady lekarskie.

Sięgnąłem po lekturę – Mandragorę – pismo redagowane przez studentów we Wrocławiu dotyczące poszukiwania nowej formuły życia. Już to braliśmy, mówię sobie czytając fragmenty tego pisma. Znalazłem jednak w nim wewnętrzny impuls do tego, że sięgnąłem po długopis by opisać swoje zachowanie i zastanowić się nad własnymi przeżyciami.

Wpierw spróbuję opisać stan swojego ducha. Czy jestem spokojny? Nie. Nie jestem. Z wielu powodów. Nie odczuwam zagrożenia zewnętrznego, a jednak budzę się ze snu często zmęczony, bardzo napięty mięśniowo jakbym całym ciałem staczał jakieś boje. I tak w istocie we śnie się dzieje. Czasem też towarzyszą temu jakieś niejasne sny erotyczne, ale ukazujące jakiś smutny świat mojej samotności.

Niedziela

Byłem u spowiedzi.

Pojechałem na wycieczkę. Narysowałem udany rysunek „O świecie – wiatr”. Po jego analizie – zalecam sobie – próbuj być poetą. Łatwo napisać, ale „być poetą”, to trochę na wyrost apelowanie do swoich uzdolnień. Rzecz polega właściwie na tym by znaleźć metodę pracy, która by w sposób pełny, głęboki rozwijała moje uzdolnienia.

Środa

Między niedzielą i środą – dni stracone. Nic nie zrobiłem do tej pory. Wczoraj i dzisiaj bardzo silne osłabienie fizyczne. Trudno zgadnąć, gdzie jest granica między moim ciałem, które jest mi mało posłuszne a moim psyche, które też się rozłązi. Jedno zauważyłem, gdy ciało jest silne dusza także jest zdrowa. I przeciwnie. Jest to jeden organizm, ustrój, zdaje mi się, że nierozdzielny. Jestem w drodze

do Kamedułów. Zatrzymałem się w barze na Woli Justowskiej. Czuję w sobie powiew wolności. Żeby jeszcze tylko trochę tych sił fizycznych. Pocę się teraz szczególnie. I drżenie nóg wskazuje na ogólne osłabienie organizmu.

Piątek

Ogólne osłabienie i bardzo złe samopoczucie.

Jestem u braci Kamedułów. Szkoda, że zdrowie nie dopisuje. Staram się przezwyciężyć moją apatię i osamotnienie, ale nie znajduję tej energii do życia. Nie chce mi się także rysować, co potwierdza moje złe samopoczucie. Z klasztoru nie wskazane jest wychodzić, sądziłem, że znajdę tu jakąś pracę fizyczną, ale nie stosuje się tu takich zwyczajów, pójść nie ma gdzie bo wszędzie ograniczenia. Trochę to sobie inaczej wyobrażałem. Ogólnie mówiąc, zastanawiam się nad tym, dlaczego nie ma na tym świecie kąta w którym czułbym się dobrze. Czy śmierć byłaby dla mnie wybawieniem – czy też skazaniem na jeszcze większe cierpienie?

Czy Bóg rzeczywiście każe cierpieć człowiekowi by został zbawiony? „Weź krzyż swój i idź za Mną”. Boże! Jak trudno mi się do tego nakłonić. Ciągłe mi się wydaje, że sam przez swoje złe postępowanie i niewłaściwe myśli stwarzam sobie problemy. Jeśli tak, to czy to też jest krzyż? Boże, miej litość nade mną.

Często myślę o Króliku, o naszym spotkaniu. Tak bardzo mi żal zmarnowanej szansy. Bóg mi dał bardzo dobrego człowieka, a ja co uczyniłem? Więc sam jestem winien swoich cierpień.

21 VIII 1985 r. - niedziela

Wczorajszy dzień zupełnie wyjątkowy. Słońce – granatowe niebo. Upał. Wyjechałem rano od Kamedułów. W Lesie poczułem się szczęśliwy. Z radością oglądałem wszystkie cuda, którymi Stwórca obdarza człowieka. Piękny był ten cichy, słoneczny, spokojny ranek. Dzisiaj od rana pada deszcz, to mi jednak zupełnie nie przeszkadza. Przeciwnie, cieszę się z tej odmiany i patrząc na ten świat czuję jakiś spokój płynący z modlitwy i szczęście ładu Bożego. Mam ochotę na pracę, znów wracają mi siły.

23 VIII 1985 r. - wtorek

Lato w pełni. Wczoraj dzień słoneczny. Dzisiaj padało, później słońce. Rano i po południu rysowałem pastelami. Udana – moim zdaniem – kompozycja „Noc w górach”, sugeruje zdarzenie na sposób poetycki. Jest tam nastrój uzyskany światłem, przestrzenią, wyłaniającymi się znakami rzeczywistości (góry, zbocza, ściany lasu, księżyc, oświetlenie nocy, odbicia światła, chatka). Rysowałem także las gotycki, ale bardzo źle mi się pracuje na gładkim papierze, który przywiozłem z muzeum. Mam tego trzydzieści arkuszy! Co ja z tym zrobię? Bardzo źle znoszę swoją samotność. Jest mi bardzo smutno. Jeździłem sam po parku, tak jakbym chciał uciec od samego siebie.

W małżeństwie byłem też tragicznie sam, ale dlaczego trzymałem się Marii. Była tu przynajmniej fizycznie. Wypełniała sobą przestrzeń, której ja – sam – niczym nie potrafię wypełnić. Tak bardzo pragnąłem aby Bóg był tą siłą, tym orężem, ale jestem zbyt słaby by oprzeć się tylko na Bogu. Cóż za paradoks! Dawniej myślałem, że Bóg jest potrzebny ludziom słabym, by stworzyć im „protezę” pomagającą

znieść ciężar życia; a dzisiaj okazuje się to trochę w innym wymiarze. Przedmioty zastąpiły mi człowieka. Rowerem pochłaniam przestrzeń, a stale grające radio zagłusza moją samotną ciszę! Okrutne to jest.

1 VIII 1985 r.

Nie próbuję opisać swojego stanu ducha. Powiem krótko – czuję narastający, jeszcze silniejszy kryzys u podłoża którego tkwi moja straszna samotność. Boże! Tylko Ty wiesz jak cierpię. W takim czasie czuję całą moją przeszłość jako jeden wielki koszmar życia w samotności, niemożliwości podzielenia się uczuciem swego przerażenia, cierpienia. Dlaczego tak jest, że Bóg skazuje nas na takie cierpienia? W czym zawiniło mu to małe, bezbronne dziecko, które tak bardzo cierpiało i nadal tak samo cierpi, choć potrafi się poskarżyć i jest już posiwiałe nad wiek.

W czwartek przyjechała Marysia Królik. Była do soboty. Zaczynałem wracać do zdrowia.

2 VIII 1985 r.

Lało jak z cebra od rana, wieczorem nawet słońce. Rysowałem „Okno” – dwie wersje. Rysunek na nowym papierze wychodzi bardzo dobrze.

Umówiony byłem z Grażyną i nie poszedłem.

Czytam biografie Hemingwaya i myślę nad sobą. Spostrzegam, że od bardzo dawna żyję zupełnie w defensywie i to mnie zabija. Nie to jest chorobą, że ponoszę klęskę, lecz to, że nie staję do walki, że boję się walczyć. I ta myśl, tak prosta, ma znaczenie na miarę „być albo nie być”. Trzeba mi walczyć – choćby dla samej walki. Tak bardzo boję się porażki, że zacząłem pracować nad przygoto-

wywaniem filozofii pacyfizmu, która miała występować w aureoli miłości. Od jutra walcz o jutro. Dzisiaj walcz o jutro. Po prostu walcz, nie stój.

5 VIII 1985 r.

Kilka słów przed snem. Postanowienie zacząłem realizować, są pierwsze pozytywne rezultaty. Rozmowa z Bogusią Androsiak nad pomysłem wspólnego działania seansów, psychodramy, itp. na pewno pomoże. Trzeba będzie to robić. Jutro wyjazd do Tucholi z Wojtkiem i Lidką. Już się nie smucę, że nie mam dziewczyny do pary. Dam sobie radę. Bóg mi pomoże!

7 VIII 1985 r.

Od dwóch dni jestem w Borach Tucholskich. Leśniczówka jak ze snu. Tylko że leje jak z cebra. Będziemy budować arkę.

8 VIII 1985 r.

Pojechałem do Tucholi. Pogoda pod psem. Obiad w knajpie. Kartki do znajomych. Zakupy. Powrót i spotkanie przy gorzałce z gospodarzami. Młodzi na dorobku. On, leśnik po technikum w Tucholi. Ona tutejsza, energiczna – mają dwoje dzieci.

9 VIII 1985 r.

Leje i lało całą noc. Poszliśmy na spacer, który zamienił się w zbieranie grzybów. Młodzi nazbierali pełne wiaderko. Popołudniu propozycja artystyczna może zmienić nasz pobyt w plener artystyczny. Jak tu pięknie pomimo braku pogody.

11 VIII 1985 r. - niedziela

Lało całą noc. Deszcz i wiatr targał drzewami. Nieustanny szum, który słyszałem, wzbudzał wspomnienia dalekich, przeżytych chwil i tęsknoty do kogoś bliskiego. Przeżywam tu piękne chwile. Las jest miejscem, gdzie udaje mi się uporządkować trochę swoje przeżycia. Kocham las i drzewa. Dzisiaj pierwszy dzień słoneczny. Byłem po południu na mszy. Poznaję miejscowych ludzi.

12 VIII 1985 r. - poniedziałek

Wspaniałe słońce od rana i cudowny, ciepły zmierzch. Malowałem pastelami fragment stawku zarośniętego rzęsą. Jest to fragment starego koryta rzeki. Po południu poszedłem nad skarpe. Kąpałem się pierwszy raz w tym roku. Woda trochę zimna. Później czytałem. Opowiadania Fitzgeralda. Zacząłem malować akwarelę. Czekam jeszcze aby wyschła. Trzeba malować jak jest słońce i wiatr. Wypoczynek w pierwszy dzień słoneczny jest wspaniały. Dawno tak dobrze się nie czułem. Przyroda – cisza – słońce i woda, podstawa mojej psychicznej równowagi.

13 VIII 1985 r.

Wyjazd do Chojnic. Godz. 12.00 zwiedzanie Muzeum Regionu i Sztuki Współczesnej w Kurzej Stopce nie przysporzyło mi wielu wrażeń. W Galerii Sztuki pełny zestaw krakowskich „gienierałów” i kilku pomniejszych. Oczywiście Hajdeczki. Trzebiatowski i inni z dawnej szajki. Muzeum robi dlatego przykre wrażenie, że jest to zestaw prac oraz artystów najzupełniej przypadkowy jedynie z klucza wynikającego z działalności albo związkowej albo pewnego nazwiska. W Chojnicach właściwie nie ma co

zwiedzać. Kościół ściegca Jana Chrzcziciela, bryła ładna, w 6rodku pusty. Ładny rynecek i zaniedbane kamieniczki na obrzeżu. Wracamy okazjami. Staramy się łapać co6 do Gołębka. Tkwimy siedząc na krawężniku w Tucholi juź dobre pół godziny, bez rezultatu, a tu juź 19.30 i cięźki plecak jak cholera. Nic dzisiaj jeszcze nie narysowałem. Brak notatki w Przekroju. Wysłałem kartki.

14 VIII 1985 r.

Jest za kwadrans ósma – zaraz zajdzie słońce. Notatkę piszę na spacerze do Upał straszliwy. Gzy nie dają żyć. Kapałem się dzisiaj długo. Płynąłem rzeką kilkaset metrów. Przepiękne widoki. Wycieczki rowerowe, kajakowe, wymarszowe. Malowałem, ale nie miałem prawdę powiedziawszy wielkiego zapału. Upał obezwładniał. Swoją drogą, stale na mej drodze mam jakie6 przeszkody. Wojtek i Lidka nazbierali mnóstwo grzybów, mnie jako6 nie ciągnie do tego.

Manufaktura grzybowa w mieszkaniu. Pałą w piecu – w taki upał. Stosy grzybów czekają na nawlekanie. Nie ma się gdzie podziać. Wracając ze spaceru na nieużywanych stawach usłyszałem „koncert”, który z powodzeniem można porównać do kilkudziesięciu silników pracujących w oddali.

15 VIII 1985 r. - czwartek

Wróciłem znad jeziora. W domu radosna wiadomość – list do pana. Ekspres poznaję, literki Królika. Kochany, mały Królik. Jak mi się zrobiło dobrze, gdy przeczytałem ten kochany, dobry list. Przeczytam go później jeszcze raz.

Cały dzień spędziłem nad jeziorem, pływałem. Przepląnąłem spory dystans. Ćwiczyłem spokój i odwagę zwracając się stale w chwilach lęku do Chrystusa.

20 VIII 1985 r. - wtorek

Od soboty jestem w Chełmnie.

22 VIII 1985 r. - czwartek

Postanowiłem przyjechać do Chełmna, odwiedzić znajomych, zobaczyć miasto i odebrać obrazy. Zatrzymałem się u państwa Soborskich. Przyjęli mnie nadzwyczaj życzliwie. Mieszkałem u nich kilka dni, następnie przeniósłem się do mieszkania służbowego w Sądzie, dzięki znajomości z panem Deronim, młodym sędzią i prezesem sądu. Odnowiłem znajomość z p. Kałdowskim, pełnym pasji i inicjatywy tutejszym działaczem kulturalnym. Prosił mnie o pamiątkowe prace na temat Chełmna. Postanowiłem spełnić jego prośbę i zostać kilka dni żeby zrobić trochę rysunków poświęconych miastu. Temat jest piękny. Architektura gotycka, stare domki, pruskie mury, spichrze, tworzą wspólnie wspaniałe motywy malarskie. Słabo pracuję. Malarski plon wystawy na razie żaden.

Dzisiaj pracowałem nad rysunkiem. Odkryłem możliwość posługiwania się linią. Wykonałem rysunek holenderskiej martwej natury, w którym udało mi się zawrzeć zarazem dyscyplinę i swobodę kolorystyczną, kolor lokalny i kolor stworzony przez światło. W sobotę jadę z Deroniami do Kowalskich Błot czyli w okolicę Ieśniczówki. Jutro zabieram na miasto notatki i rysuję, dużo rysuję. Boże pomóż.

ps. Od Anny Soborskiej dostałem taki oto list – enigma, świadczący o twórczych aspiracjach młodej archeolożki.

Dzisiaj było ciepło i słonecznie, ale cały dzień spędziłem w mieszkaniu na rysowaniu. Bezpośrednich wyników mało, ale może robię jakieś postępy. Wczoraj rysowałem razem z Małgosią Deroniówną, córeczką moich miłych gospodarzy. Urocze i mądre dziecko. Mogło to budzić zdziwienie, taki oto obrazek: starszy pan i mała dziewczynka wspólnie malują i rysują. Uważam to za bardzo sympatyczne zdarzenie. Za chwilę kończę notatki tego dnia i idę na film „Psy Wojny”. À propos. Listu od M. nie trzeba lekce sobie ważyć. Miłe i sympatyczne są dziewczyny w Chełmnie.

24 VIII 1985 r. - sobota

Jestem w Kowalskich Błotach, w tym samym domku i w tym samym miejscu, gdzie przed kilku laty (1981 r.) nocowałem sam w budowanym domku, w ogromnym prymitywie. Dzisiaj Soborscy zaprosili do niego kilka rodzin, przyjechałem z Deroniami. Bardzo sympatyczne i naturalne towarzystwo. Odwiedziłem leśnicówkę. Gospodarze zdziwili się bardzo moimi odwiedzinami. Poszedłem nad rzekę. Kąpałem się w jeziorze. Płynąłem z Kaziem i Moniką (18 lat – Lollobrigida), do cypla i z powrotem. Wczoraj rysowałem, wykonałem dwa rysunki realistyczne i dwa próbowałem syntetyczne.

25 VIII 1985 r. - niedziela

O ósmej rano wyszedłem nad jezioro. Spokój i cisza, od czasu do czasu jedynie plusk ryby lub kaczek, które spokojnie pływają rysując na chwilę lustro wody. Jezioro naprawdę jest piękne; w tych słowach, tak nieudolnych, ale szczerych, kryje się mój zachwyt nad darem, który dostaję od Boga, wpatrując się w dzieło jego rąk. Wyszędłem zmęczony bardziej niż wyspany z domku, zasnąłem

bowiem dopiero gdy już szarzało. Tu nad jeziorem w jego obecności naprawdę jestem na właściwym miejscu i wypoczywam. Zaraz pójde się wykąpać.

Wieczorem, godz. 21.30 w Chełmnie. Dzień spędziłem bardzo aktywnie, dwa razy pływałem. Biegałem, pracowałem. Robiliśmy zdjęcia z Kaziem. Zaprzyjaźniłem się z nim.

Jutro zabieram się do pracy, naprawdę solidnie, a rano pójde na mszę za dzisiejszy dzień. Nie udało mi się dotrzeć do Tucholi do kościoła. Właściwie związany byłem z moim towarzystwem i z tego to powodu nie pojechałem do Tucholi. Proszę Boga o łaskę. Wiem, że tylko dla Niego żyję i im bardziej sobie to uzmysławiam tym bardziej kocham życie i Jego. W Chełmnie czuję się naprawdę jak wśród swoich przyjaciół.

27 VIII 1985 r. - wtorek – Dzień po Dniu Matki Boskiej Królowej Polski

Miles Christi. Tak mogę nazwać ten dzień zapisków. Nie zapomniałem wcale mojej rozmowy z Androsiakówną. Moje rozważania nad moją dotychczasową postawą i próbą zmiany zaowocowały i czynami i przemyśleniami. Wydaje mi się, że znalazłem dla siebie odpowiednią formułę życia, która kryje się pod tą nazwą. Co jest ważne to to, że bardzo jasno widzę rodzaj zadań jakie sobie będę stawiał. Jest to praca ogromnie pociągająca. Stworzenie jedności ducha i ciała, cel działania widząc w Chrystusie. Kształtowanie cnót, wyrabianie charakteru, mobilizowanie ciała, rozwijanie umiejętności i doskonalenie umysłu. Oto zadania do pracy nad sobą. Z religijności o charakterze statycznym (nie grzeszyć), starać się będę przejść do religijności o charakterze dynamicznym.

Oto przykłady działania w tym duchu: mobilizując się do działania, do pracy, kierując się tą dewizą, staram się rozwijać moją sprawność fizyczną. Ćwiczę odwagę. Gdy pływałem samotnie na jeziorze myślałem o Bogu i Chrystusowi polecałem tę czynność jako akt kształtowania wiary, zaufania, odwagi. Mój stosunek do ludzi będę starał się podporządkować takiemu postępowaniu jakie powinno cechować Rycerza Chrystusa.

Dzisiaj rysowałem fragmenty Chełmna. Poznając je, jeszcze bardziej mi się podoba. Rysując w domu wg szkiców, staram się przedstawić światło jako najważniejszy motyw w obrazie. Zawsze bardzo trudno mi to przychodzi, a zwłaszcza po dłuższej przerwie. Nie wolno mi dopuścić do zaniedbywania się w pracy, to mój pierwszy, po Hołdzie Bogu, obowiązek. Uczciwa praca. Jak wielkim jestem marnotrawcą tej wartości Bożej.

Ofiarowałem akwarelę Soborskim. Perspektywa miasta namalowana światłem i cieniem z 1981 roku. Moim zdaniem bardzo trudna praca. Wybrali ją spośród kilku do wyboru. Rozmawiałem z Kałdowskim. Bardzo sympatyczny człowiek, osobowość. Oddam mu w depozyt moje obrazy przechowywane u Soborskich. Jutro wyjeżdżam do Torunia. Może zobaczę się z Basią.

28 VIII 1985 r.

Byłem dzisiaj u p. Kałdowskiego, dyrektora muzeum w Chełmnie, któremu pozostawiłem w depozycie dwa moje obrazy namalowane dla Galerii w Chełmnie – nie przyjęte przez ówczesną komisję (powodu mogę się domyślać). Obrazy przechowywałem u państwa Soborskich, od chwili gdy Towarzystwo przekazało je im na przechowanie. Załatwienie tej sprawy w ten sposób bez

powiadomienia mnie oficjalnie było moim zdaniem wielkim nietaktem. Kałdowski, człowiek bardzo żarliwy, całym sercem oddany Chełmnu. Rozczarowany był trochę, że nie ofiarowałem mu obrazów, tylko oddałem w depozyt. Jego obecność na stanowisku dyrektora to już tylko dwa, trzy lata. Zamierza pójść na emeryturę i zająć się porządkowaniem swojej twórczości i muzyką. Z tego też względu, że odchodzi z tego stanowiska, wolałem zostawić swoje obrazy tylko w depozycie.

Nie pojechałem do Torunia. Okazuje się, że nie ma bezpośredniej linii kolejowej do Krakowa. Dzisiaj jadę już do Krakowa. Wczoraj byłem u Deroniów. Ofiarowałem im jedną akwarelę, tytuł: „Walka dwóch żywiołów – Zamek Krzyżacki z zieleni”. Bardzo kiepsko czuję się z kręgosłupem. Boli w górnym i dolnym odcinku. Praktycznie jestem trochę unieruchomiony. Dzisiaj trochę rysowałem. Wykonałem jeden rysunek, który zapowiada pewien postęp. Ujęcie pejzażu bardziej abstrakcyjne. Obserwowałem wczoraj przerażającą a zarazem podniecającą scenę. Ogromny pająk, który od wielu dni rezyduje w oknie, zapragnął nawiązać kontakty towarzyskie ze swoim sąsiadem, malutkim pobratymcem. Trudno mi określić co było treścią tych kontaktów, ale wydaje mi się, że były to miłosne, lubieżne zbliżenia. Uff. Okropne.

Pożegnałem się z Soborskimi. Pozostawiłem im na pamiątkę rysunek – portret Andrzeja Soborskiego, który wczoraj wykonałem. Myślę, że zostawiłem im prace, które zrekompensują moją obecność u nich.

29 VIII 1985 r.

Przyjechałem o 6.00 do Krakowa. Mglisto – ciepło. Pociąg załadowany. Jechałem w Warsie, wojskowi, dziewczyny na pielgrzymkę, powracający z wakacji. Rano przyszła Ciocia. W niezłej formie. Przywiozłem kurczaka, którego jedliśmy – dar Basi Deroń. Odwieźli mnie na dworzec. W domu list od Anny Soborskiej – zaprasza do Chełmna. List do niej zostawiłem u Deroniów. Dostałem pieniądze z Domu Kultury – zupełnie nie wiem za co. Dobry początek.

Nie mam nowego listu od Królika. Czekam na niego – może nie dobrze, nie trzeba uzależniać swojej psychiki. Ale tak bardzo lubię tego człowieka. Zabieram się za remont rowerów.

31 VIII 1985 r.

Wieczór – piękny księżyc od kilku dni. W Chełmnie obserwowałem go ze szczególną radością. Wielka tarcza z jasną trójkątną poświatą wokół na tle gotyckiego miasta.

Kraków nie cieszy mnie, wręcz smuci mnie moja sytuacja. Tu czuję swoją samotność. Jestem wśród ludzi a brak mi tak naprawdę człowieka. Zwracam się myślami do Bożeny i myślę – może przyjechała. Czekam na to. Po co? Znów popadanie w złudzenie. Chciałbym się zobaczyć z Alą. Brak mi jej, ale cóż. Nie pisze do mnie. Nie chce się może ze mną widzieć.

Jutro wyjeżdżam z Wojtkiem i Lidką. Jadę z nimi, ale towarzystwo ich jest dla mnie bardzo męczące. Przed chwilą szukałem paczki z listami Ali, ale nie pamiętam gdzie je dałem. Szkoda mi, że się to tak rozeszło. Brakuje mi jej czasami bardzo. Wszystko z oddalenia wygląda lepiej, ale wiem że przeżyłem z nią dobre chwile.

Ala – przy tych czy innych brakach była tą osobą, która naprawdę chciała być ze mną. W zeszłym roku wracałem z nią z pleneru. Potem przysłała mi list z pytaniem o nasze dalsze losy, na który już właściwie nie odpisałem i to było nasze ostatnie razem. Wydaje mi się, że byłem dla niej taką poczekalnią, chwilowym oparciem by przeczekać kryzys i znaleźć sobie odpowiedniego człowieka. Nie traktowałem tej znajomości zbyt serio – tymczasem źle robiłem. Każdego człowieka trzeba traktować bardzo serio, mimo różnych wątpliwości jakie pojawiają się z tej okazji. Moja samotność wynika z mojej postawy wobec ludzi. Z postawy zbyt egoistycznej, z postawy rezerwy, podporządkowywania sobie ludzi, nadmiernego krytycyzmu, postawy nerwicowca. Chciałbym się zmienić, ale nie bardzo wiem jak to zrobić. Drugi człowiek – stosunek do niego – to probierz moralności – etyki, naszej. Co z Królikiem – nie pisze. Dlaczego? Smutno mi, gdy jestem tak jak teraz sam.

2 IX 1985 r.

W niedzielę miałem wyjechać z Wojtkiem i Lidką na maliny. Opis jak do niego nie doszło byłby zbyt nużący swoistą głupotą tych ludzi. Więcej z nimi nigdzie nie pojedę. Trudno. Szkoda, bo niedziela była wyjątkowo piękna i ciepła.

Dzisiaj też było ładnie. Mnóstwo czasu straciłem na szukaniu podstawowych rzeczy w gospodarstwie domowym, np. nafty. Nigdzie nie można jej kupić. Za sprężyną do przerzutki też latałem cały Kraków. Jadę do sanatorium. Jeśli to może być tak nazwane – do Gdańska. Kołomyja straszna. Telefonowałem do Warszawy. Dopiero wysłała skierowanie! Telefonowałem do Bożeny. Jestem umówiony na piątego, rano o godz. 9.00. W takiej godzinie jeszcze

nie przyjmowałem dziewczyn. Zabrałem się za naprawę rowerów. Nie mogę złożyć przerzutki. Trzeba szukać pomocy w instrukcji lub porady.

Samopoczucie bardzo dobre. Praca, kościół. Zimna woda.

Rysowałem portrety. Staralem się formę bardziej wiązać z płaszczyzną. Uaktywnić ją i podkreślić bardziej ekspresję formy. Jakoś to się udaje mi teraz. Trzeba jutro zasiąść do pracy. Dobranoc. Godz. 12.30.

Gdy wstajesz rano i wiesz, że masz jakąś ważną misję do spełnienia, misję z którą się utożsamiasz, jakże ten dzień zaczyna się dla Ciebie pięknie, jak czujesz smak tego dnia. Każdy dzień, który dostajemy od Boga jest właśnie takim dniem. Sztuką jest zobaczyć w nim tylko swoją misję.

3 IX 1985 r. - godz. 22.00

Dobry dzień – pracowałem przy rowerach. Naprawiłem czerwony. Dużo zachodu, bo nie znam się na tym. Szkoda że nie rysowałem, ale jutro to nadrobię. Dzisiaj był u mnie Adaś Macedoński. Rozmowa bardzo szczerą. Dobrze się rozumiemy. Otrzymałem od Niego dwa adresy do Gdyni, z listami polecającymi. Patrząc na jego twarz, w jego oczy, czułem jakieś wzruszenie. Tyle jest w niej wyrazu, tyle dobra i szczerości. Adaś wyjeżdża na zachód – chce tam zrobić swoją wystawę. Bardzo się cieszy, że pracuje. Druga bardzo emocjonująca wizyta to Wieśka Nadymusa, przygotowującego się do dyplomu z malarstwa. Będę z nim utrzymywał kontakt. Bardzo dużo serdecznych słów na temat moich rysunków. Wystawy nie widział. Obejrzał jakieś strzępki, mimo tego bardzo mu się podobało. Namawia mnie koniecznie do malowania olejnego i na dużych

formatach. Może ma rację? Cieszę się, że jadę do Gdańska. Z Nowego Targu smutna wiadomość. Tadek Marzec jest w szpitalu. Zator w mózgu – uszkodzenie mowy i jednej strony ciała. Sąsiadka Cioci, „wariatka”, uległa wypadkowi – potracił ją tramwaj. Jutro będę u niej. Ciocia jutro rano jedzie do Warszawy. Od Reni dostałem kartkę. Napisałem do niej krótki list. Także do Piotra. Doręczy ciocia.

4 IX 1985 r.

Dziewiąta godzina rano – śpię – w nocy się przebudziłem – była burza, długo nie spałem – wreszcie zacząłem czytać – Zbigniew Żakiewicz „Ludzie i krajobrazy”, więc rano zasnęłem, wtem pukanie do drzwi, zaraz chwileczkę, otwieram, w drzwiach piękna, hoża dziewczyna, Bożena. Rozespany w piżamie, nie przedstawiałem pięknego obrazu. W kuchni sterta papierów – naprawiałem rower. Spotkanie przełożyliśmy na jutro, tak jak się wcześniej umówiliśmy. Może jutro przyjdzie – choć to wszystko nie jest wiadome. Rozlatane dziewczę. Szkoda, że nie ma natury kontemplacyjnej. Lubi ruch, pośpiech. „Rano w Wenecji, wieczorem w Paryżu”. Coś strasznego takie zwiedzanie.

Wieczorem. Dostałem bardzo miły list z Chełmna. Anna Soborska zapowiada swoją podróż do Krakowa, pisze: „muszę w końcu podjąć kobiecą decyzję”. Przy okazji obejrzałabym Wawel, gdzie jeszcze nie byłam”. Co z tego wynika? I jeszcze początek wiersza, pt. „Obraz myśli”: „Dusza ma jest jak opuszczony okręt z którego zbiegła strwożona załoga”.

Nocą zapisane:

Kim jestem?

Jestem Nieobecny

Nieobecny Teraz i na siłę

Siłą czasu przenoszony

w Przyszłość

Uciekający w Przeszłość

By zrozumieć siebie

który jest Teraz.

Jestem z chaosu

I nadal powstaję

Panie – przeniknij mnie

bym już nie rzucał cienia.

Był teraz

Jestem?

Czymże jestem bez Ciebie

Bez Ciebie nie śpię nocą.

Jestem...

6 IX 1985 r.

Dzisiaj jadę do Gdańska. Turnus zaczął się wczoraj. Mogłem przyjechać już przedwczoraj, lecz z powodu bałaganu organizacyjnego otrzymałem skierowanie dopiero wczoraj. Sypialny kupiłem na dzisiaj. Wiozę ze sobą mały rower. Będę bardziej niezależny. Wczoraj jeszcze ciepły wrześnieowy dzień z charakterystyczną jesienną mgiełką, a dzisiaj już zimno, szaro i smutno. Zaczynają się już te gorsze dni. W parku już niestety jesień, a tak niedawno jeszcze byłem tam z Królikiem i Baciem. Wśród takich wysokich traw buszowaliśmy. Kocham ich, kocham ich wspomnienia. Byłem w Galerii. Podarowałem rysunek, jeden z cyklu podwórko, p. Primusowi, z dedykacją. Rozmawiałem długo z panią Bożeną Jędrzejewicz, pełną energii plastyczką. Możemy wspólnie z jej mężem planować wyjazdy, wystawy, taka inicjatywa. Może rzeczywiście udało by się załatwić takie wyjazdy do różnych miejsc, np. do Armenii.

Bożeny wczoraj rano nie było.

Wieczorem byłem na wspaniałym filmie Billy'ego Wildera „Sabrina”. Uroczy film. Romantyczny, pełen pogody i ciepła. Doskonale grany. Sabrina – Audrey Hepburn, o takim wdzięku, zniewala. Nie mogłem uwierzyć, że znałem jej filmy i tak słabo pamiętałem tę cudowną, pełną wdzięku istotę. Sztuka plastyczna staje się słaba wobec zniewalającego uroku starych, filmowych zdjęć żywego człowieka o takim uroku. Kino „Mikro” zasługuje na specjalne słowa uznania.

7 IX 1985 r. - sobota

Podróż miałem z pewnymi przygodami. Zaczęło się od tego, że przyjechałem na dworzec, na rowerku, za wcześnie. Pociąg, którym miałem jechać, odjeżdżał ponad dwie godziny później. Następnie spóźnił się o około 40 minut (już w Krakowie), następnie nie chcieli mnie przyjąć z rowerkiem, bo się okazało że nie ma bagażowego wagonu. Uff. Nareszcie położyłem się i przeleżałem jakoś do Gdańska (w nocy było bardzo chłodno). W Gdańsku nowa niespodzianka. Stegna Gdańska to nie dzielnica Gdańska, ale miejscowość oddalona autobusem o jedną godzinę, u podnóża Mierzei Wiślanej w kierunku na Krynicy Morską. Ładnie tu. Dom MORS-u, firmy produkującej urządzenia radionawigacyjne na statki. Dość przyzwoita kuchnia, bardzo wygodny pokój, trzyosobowy, na razie mieszkam sam (zasługa pięknej blondynki w recepcji – Pan małżeński pokój sobie życzy – stwierdzająca – pytając oświadczają). Kelnerka też niczego sobie dziewczuszka. Człowieku, żyć ci i nie umierać (na takiej rencie). Ważne jednak to, że do morza jest dosłownie kilkaset metrów. Na rowerku do plaży. Przecież to sobie wymarzyłem w tym roku. Bozia mi to pomogła zrealizować. Dzięki Jej za to!!! Byłem na spacerze nad morzem. Trochę spienione, bo bardzo silny wiatr (kurtka jeszcze raz udowadnia swoją przydatność). Cudownie jest spacerować gdy szumi tak morze. Zbierałem różne drobiazgi wyrzucone przez fale, rozmawiałem z dziewczętami, które zbierały bursztyny. Może to jest także trochę żyć po Bożemu. Nie być interesownym. Przyglądałem się ptakom, zauważyłem oprócz mew, które, gdy drepczą na brzegu i boczkiem podbiegają, wyglądają jak zmarznięta grupka koników pod Pewexem. Otóż, obok mew, widziałem dużego bardzo ptaka, burego

z białymi plamami i białymi skrzydłami. Trzy razy większy od mewy, widziałem mniejszego niż mewa na wysokich nóżkach i z długim dziobem, którym szukał w piasku głęboko żeru, i malutkie ptaszki, które bardzo szybko na nóżkach przebiegają (wyglądają trochę jak pliszki). Trzeba się dowiedzieć na temat gatunku tych ptaków.

Obrazek z nocy: Stacja kolejowa, szare, białawe, niebieskawe światła. Ciemne kontury wieży grzyba jakiejś konstrukcji. Szarpane wiatrem topole, skłębione niebo, światła niebieskawe na nim. Całość obca, groźna.

10 IX 1985 r. - niedziela

Wieczór – wysłuchałem wiadomości BBC. Bolesław Toborski jak zwykle bardzo ciekawie mówił o poloniach na festiwalu w Edynburgu. Dzisiaj odbyła się mała potańcówka. Trudno mi powiedzieć, że się dobrze czuję na takich imprezach. Trudno nawiązać z człowiekiem jakiś kontakt. Rano byłem w kościele, potem pojechałem na posterunek zapłacić mandat 500 zł, za jazdę o zmierzchu na rowerze bez świateł. Pojechałem następnie rowerem na długi spacer, wróciłem bardzo zmęczony i obłocony, syty jednak wrażeń. Również pięknych wrażeń dostarczył mi dzisiaj spacer wzdłuż morza. Ogromnie silny wiatr, spienione huczące fale, krople deszczu, składały się na niezwykle przeżycie. Chmury, szare, nisko płynące, gdzieś tylko jaśniejsze plamy nieba. Czarne plamy sosen rozkołysanych wiatrem. Szum i huk – całość bardziej mistyczna niż w okolicach Krakowa. Sporo jeżdżę tu na rowerze, bardzo mi się przydaje ten pojazd. Chodzę także na spacer – parasol także okazuje się być niezastąpiony. Mam tu przedmioty, które dobrze mi służą. Buty takie jakie potrzeba, tenisówki

do biegania i do odpoczynku, stara kurtka, ale znakomita na taką pogodę i wygodna, spodnie i świetny, lekki i ciepły sweter. Przywiozłem tu także aparat fotograficzny, który powinienem z sensem wykorzystać. Fotografia – tekst – rysunek – obraz, wszystko to środki do wyrażania – otóż to – czego? Tego, co zewnętrzne, czy tego co wewnętrzne? Jest czas na przemyślenie tego, by sztukę moją połączyć w jakąś jedną całość. Tak bardzo przecież chcę pisać no i także malować. A morze tak huczy, tak bardzo huczy i tak dręczone drzewa szumią.

10 IX 1985 r. - wtorek

Wczoraj byłem w Gdańsku kupić bilet powrotny. Jechałem w ogromnym deszczu, ale już w Gdańsku przejaśniało i było bardzo przyjemnie. Poszedłem pod pomnik Solidarności i do kościoła św. Brygidy. Zrobiłem kilkanaście zdjęć. Wrażenia estetyczne są małe, lecz wrażenia symboliczne olbrzymie. Wstąpiłem do biblioteki PAN-u do działu rycin. Poznałem tam p. kustosz Śnieżko. Jeśli kupię włosienną szczotkę do masażu kręgosłupa, to napiszę do niej, tak jak mnie o to prosiła.

Wczoraj i dzisiaj rano wybiegłem nad morze. Dzisiaj także wędrowałem po południu ponad dwie godziny. Robiłem ćwiczenia koncentrujące i relaksacyjne. Ćwiczyłem oddech i gimnastykowałem się. Zabiegi, które biorę, są bardzo dobre. Za masaż ręczny muszę płacić 300 zł. Może wezmę 60 takich masaży. Wieczorem jeździłem rowerkiem i potem spacerowałem jeszcze nad morzem. Zmierzch i morze to coś wspaniałego. Wieczorem wysłuchałem kabaretu Pietrzaka. Towarzycho raczej niż towarzystwo bardzo drętwo reagowało. Ciemne czy lękliwe? Uroczą blondynka,

która mi przydzieliła pokój samodzielny jest bardzo miła – miło się uśmiecha. Muszę jej w jakiś specjalny sposób podziękować. Wędrując brzegiem, patrząc na latarnię morską w oddali, rozmyślałem nad obrazem Potworowskiego „Zdarzenie w Kornwalii”. Co za doskonała sugestia morza, lądu (piasku) i światła latarni. Latarnia przedstawiona jest tam jako światło. Muszę ten obraz od tej strony przemyśleć. Potworowski przemieniał doskonale rzeczywistość w zdarzenie poetyckie. Ważny jest tu czynnik czasu, dziania się, zdarzenie.

Pracuję nad sobą z dużymi rezultatami. Wydaje mi się że mam pewien obraz całościowego przekształcania swej natury, a także pojawiają się w to możliwe do wpisania metody działania. Sposób jest znakomity. Początek zrobiłem. Potrzebny był do tego ten urlop. Wiele rzeczy tu na nim sobie uporządkuję.

11 IX 1985 r. - środa

Zaspałem i nie pobiegłem rano na gimnastykę. Całą noc padał deszcz. Jest bardzo chmurno. Smutno, ale morze będzie na pewno bardzo piękne.

Przedpołudnie – duże zmęczenie. Spałem. Biorę masaże. Duży koszt. Popołudniu wyszedłem nad morze. Zaraz zaczął padać deszcz. Ulewa. Wróciłem zmoczony. Dzisiaj reprezentacja piłkarska grała mecz z Belgami. Remis dał nam prawo gry w Meksyku na Mistrzostwach Świata. Poziom naszej reprezentacji – bardzo słaby. Może do przyszłego roku dokonane zostaną poważne zmiany. Dzień mój nie należał do udanych. Jutro na pewno będę czuł się lepiej.

12 IX 1985 r. - czwartek

Spałem do ósmej. Czuję się lepiej – mniej zmęczony, ale nieco senny. Od rana świeci słońce. W pokoju pojaśniało. Zacząłem czytać Owidiusza „Przemiany”. Wysłałem kartki. Idę pierwszy raz na gimnastykę. Intensywna gimnastyka. Lekko zasłabłem. Popołudniu dużo słońca. Ofiarowałem kwiaty mojej Beatrice z recepcji. Bardzo miło przyjęła. Pięknie ułożyła je w wazoniku.

13 IX 1985 r. - piątek

Rano gimnastyka w lesie. Dobry sen. Jadę kupić dla blondynki proszek do prania. Zaczynają się wzajemne usługi. Wczoraj trochę rysowałem. Postanowiłem mniej jeść. Muszę zbić wagę, około sześć kilo.

Ranek przejaśnienia. Popołudniu piękne słońce, opalałem się. Piechotą do Rybackich Kątów. Z powrotem półbiegiem, półmarszem. Dostałem list od Królika. Jest cudowny. Wieczorem w kościele.

14 IX 1985 r.

Miałem wieczorem być w kościele, pójść do spowiedzi. Nie poszedłem, wyraźnie jakoś nie miałem ochoty. Dzień spędziłem oprócz zabiegów w samotności... na czytaniu gazet. Był wieczorek, na który nie poszedłem. Źle znoszę samotność... wśród ludzi. Gdy jestem sam czuję smutek, ale znam przynajmniej jego źródło. Jestem smutny – to taki brzydki smutny dzień.

16 IX 1985 r. - poniedziałek

Czuję się fizycznie fatalnie, osłabienie. Cardinol i kawa nie pomagają. Pomimo tego poszedłem nad morze. Wracalem lasem, miejsca bardzo piękne, szkoda, że tak bardzo zdewastowane. Człowiek bardzo pragnie przyrody, spotkania z naturą. W każdym razie dla mnie natura jest przeniknięta pierwiastkiem najczulszym, najsubtelniejszym, najbardziej mi potrzebnym do życia. Bardzo pragnę zbliżyć się do natury, pragnąc ją przeniknąć (zobaczyć naturę w nowy sposób) z zapisków, dlatego tak boleję nad jej dewastacją. Człowiekowi nie jest łatwo zbliżyć się do natury. Utracił instynkt czucia jej. Dewastuje ją.

Przyglądając się przedmiotom wyrzuconym przez morze, zachwycam się ich pięknem, które powstało przez działanie sił natury. Szukając głębszego związku między naturą a mną, długo przyglądałem się tym przedmiotom – kontemplowałem ich formę, ich fakturę. Ich kształt jest tak doskonale naturalny, bo został ukształtowany przez naturę. W pewnym momencie wyobraziłem sobie, że to ja jestem jednym z tych przedmiotów, że to właśnie mnie natura tak głęboko i pięknie uformowała i nagle pojąłem. W mojej głowie zaświtała myśl, której długo szukałem. Szukając tego nowego, silnego, autentycznego związku z naturą, szukając nowego spojrzenia na naturę, trzeba stworzyć nową definicję tego związku pomiędzy mną i naturą. Pozostając sobą poddać się działaniom natury, tak jak te przedmioty zostały uformowane, każdy w inny sposób, bo każdy stworzony jest z innej materii, w inny sposób poddawał się tym siłom. Poddać się działaniu natury, to nowy program twórczy. Uzupełnia moje działanie nad kształtowaniem nowej, własnej osobowości, którą określiłem Miles Christi.

Morale
Religia
Kultura ciała Natura Kultura umysłu
Kontemplacja
Praca

* * *

Moralność
Kultura fizyczna Bóg Kultura duchowa
Praca

Miles Christi

* * *

17 IX 1985 r. - wtorek

Od rana opady ciągle. Bardzo duże osłabienie. Zastąpiłem w czasie gimnastyki. Samopoczucie psychiczne bardzo dobre. Popołudniu było już bez opadów. Osłabienie. Byłem w bibliotece.

18 IX 1985 r. - środa

Od rana piękna słoneczna pogoda. Wytrzymała do wieczora. Późnym wieczorem jechałem rowerem, wspaniała jazda. Spaceruje nad morzem i w lesie ze znajomymi. Byłem w Stegnej po jabłka. Był koncert operetkowych arii. Pranie i pisanie korespondencji. Samopoczucie doskonałe.

Bardzo miły list od Anki Soborskiej. Pełen zawodowych obietnic. „Pasmatrim uwidim”.

Zaraz cisza nocna. Pobyt w Stegnej mogę uznać za nadzwyczaj

udany. Las, morze, ruch, zabiegi, pełen komfort w mieszkaniu, posiłki na miejscu – czuję się tu znakomicie. Jeden mankament to, że nie bardzo chce mi się pracować. I to przezwyciężymy. Powoli osiągnę pełną równowagę. Dziękuję Bogu z całego serca za te wspaniałe dary. Taki jestem Mu wdzięczny.

19 IX 1985 r. - czwartek

Piękny dzień – w pełnym tego słowa znaczeniu. Rano słońce, ale lekko zamglone, po południu czyste słońce. Zacząłem pracę. Byłem nad morzem. Dwa szkice i krótkie notatki. Świta coś w głowie. Rano długa modlitwa. Wieczorem grałem w kometkę, tańczyłem. Zrobiłem małe towarzyskie spotkanie. Byli młodzi ludzie: Tomek, Krystyna i Anka.

Piątek

Zamglone słońce. Wstaję od kilku dni przed ósmą. Nie gimnastykuję się także. Reszta dnia dość aktywna. W nocy nie sypiam dobrze. „Kleszcze” nadal ściskają mnie we śnie. Dzisiejszy dzień spędziłem bardzo dobrze. Czuję się wspaniale. Rano trochę rysowałem i robiłem notatki w szkicowniku. Rysunek pod nazwą: „Jeszcze tylko dwa spojrzenia na koniec sezonu”. Czuję coraz bardziej, że to, co pragnę naprawdę wyrazić to jest poetycki nastrój związany z naturą. Wiem, że „czuję” przyrodę, że ją kocham. Ta miłość to wspaniałe uczucie.

Dzisiaj po południu wybrałem się rowerem (cóż to za znakomity pomysł z tym rowerem) w las – jechałem w kierunku Rybackich Kątów. Już sam początek podróży napawał mnie taką radością, że nieomal śpiewałem z radości i składałem dzięki Mojemu Bogu

za te wszystkie cudowności: alejki, brzozowe laski, piaski, ptaszki, polany z wysokimi sosnami. Zjechałem przed Kątami na plażę. Sam jeden po horyzont na białym piasku i tylko szumiąco morze. Przyglądałem mu się jak powstaje fala, jak się załamuje w białe pianie i jak znów ginie... i znów powstaje. Mogę – wydaje mi się – patrzeć tak w nieskończoność. Wzbiera wtedy takie uczucie radości do Boga za to, że daje tyle bogactwa, że bez najmniejszej przesady rozmawiając ze sobą dziękowałem Mu nieustannie za tyle szczęścia, za tyle piękna. Zbierałem potem takie bursztyнки, odrobineczki nawet wielkości kilku milimetrów. Będzie z nich lekarstwo. W nagrodę jakoby za pracowitość znalazłem w pewnym momencie duży kawałek bursztynu. Pomyślałem o Króliku, że może mu ofiaruję. Ale może ofiaruję go mojemu Bogu.

Marzena Ziółkowska – Bahdaj „Sieroctwo społeczne”.

Literatura dla dzieci i młodzieży.

Problem sieroctwa.

Audycja Ewy Nawadzkiej „O sierotkach bez sentymentu”.

Niedziela

Byłem w Gdańsku. Rano, wcześniej wyjazd. Msza w kościele św. Brygidy. Pod kościołem sporo swoich ludzi. Kupiłem znaczek. Poszliśmy z dziewczętami do muzeum. Zwiedziliśmy kościół Mariacki. Byliśmy na lodach, na kawie, na obiedzie. Przyjazd i jeszcze wspólna kolacja. Dzień bardzo sympatyczny mimo nie milej pogody. Deszczowo, chłodno, jesienno. Napisałem list do Anki. Sobota – chłodna, deszczowa. Bolał mnie kręgosłup i gardło. Samopoczucie doskonałe mimo niskiego ciśnienia. Przyroda – uzdrowicielka. Bóg koi rany. Ze wzruszeniem odbieram Jego dary. Z wdzięcznością

duszy mówię Mu – dzięki Ci – Panie!

23 IX 1985 r. - poniedziałek

Piękne słońce – czyste, zimne powietrze. Byłem u spowiedzi w intencji mojej przemiany. Przyjąłem komunię świętą. Zabiegi jak co dzień. Grałem w szachy. Jazda na rowerze.

Nie sypiam po nocach i złe sny. Może ma to związek z napięciem jakie czuję przy grze w szachy. Próbowałem naprawić pewien nietakt towarzyski – nie bardzo mi się to udaje. Robiłem zdjęcia – zerwałem film. Zniszczyłem cały film. Nadal nie pracuję – karygodne już!

24 IX 1985 r. - wtorek

Zapisek dla poniedziałku. Dzisiaj.

Czuję się tu doskonale – niestety pogoda nas nie rozpieszcza, dzisiaj było bardzo chmurno i zimno. Najcieplej nad morzem. Dzień jak zwykle. Byłem w kościele na mszy. Bez pracy, nie napisałem listu do Królika, za to modliłem się w jego intencji. Od cioci nie ma wiadomości. Myślami jestem już w Krakowie. Trzeba się będzie zupełnie przestawić – czeka mnie praca, na którą bardzo się cieszę. Gdy dzień jest brzydki, szary, cały wydaje się jakby już trwał od bardzo dawna. Bardzo łatwo, jeśli brak mobilizacji, wprowadzić się w stan martwoty umysłowej i fizycznej. Doskonałą receptą na to jest przyjęcie postawy Miles Christi. Widzę jak w praktyce życiowej ten nowy sposób życia zdaje egzamin. Trzeba zacząć pracę nad zarysem reguły stanu Miles. Chciałem napisać do Królika, do Ali, jutro to zrobię! Już jesień. Nie będzie smutna jeśli poświęcę się pracy – Bogu. Amen.

25 IX 1985 r. - środa

Wysłuchałem przed chwilą pięknej audycji radiowej dla młodzieży o Staffie. To, że znałem tylko kilka jego wierszy jest zasmucające, ale radosne jest to, że teraz odkrywam dla siebie to piękno w tak odpowiednim momencie. Tym się różnię z moją dawną postawą, że przyswajam, czerpię rzeczy dla siebie w sposób trzeźwy, poddany namysłowi i dostosowany do moich nowych zainteresowań. Chciałbym aby wszystko czym będę się zajmował budowało mnie wewnątrz. Będzie sposobność w Krakowie poświęcić Staffowi wieczór poetycki. Powinienem się tym zająć.

Po południu byłem na mszy poświęconej przez kuracjuszy intencji powrotu do zdrowia. Przyjąłem komunię. Zapiłem się także na wyjazd do Gdańska, już powrotny. Myślę już o Krakowie, szkoda że mi go się tak marnuje. Po kolacji poszedłem na spacer, który przysporzył mi niezapomnianych wrażeń. Początek nie zapowiadał tylu przeżyć. Szedłem lasem w kierunku Gdańska. Opalizujący kolor nieba, miejscami błękitnawy jak szyja gołębia, w kierunku zachodu słońca żółtawy, metalicznie czysty, za plecami głęboki ton szarego nieco błękitu, a na tym tle obłoki barwy białawej tak cudowne, tak wdzięczne, że patrząc poprzez korony wysokich sosen oświetlonych jeszcze dogasającymi promieniami, patrząc na zrudziałe pole konwalii na polanie między wysokimi drzewami, patrząc na polną drogę, która białą, piękną plamą wspinała się w wąskim przejściu lasu aby za skłonem opaść ku morzu, które tam szumiało, gdy tu panowała jeszcze poważna, majestatyczna cisza...że brak mi tu dalszych słów. Wyszedłem na miejsce, w którym przedtem rósł może duży las. Ścięty. A na jego miejscu, zielenił się ciemno, już młody. Zakreślał krąg aż do wysokich drzew otaczających

go malowniczymi grupami. Byłem sam. Na tle ciemnych, prawie czarnych sylwet grupy sosen, schodził, na szaro-błękitnym jeszcze jasnym niebie, niespotykane czysty – jasny – złocisty księżyc! Widok był taki, że stałem jak urzeczony. Z jasnością księżyca kontrastowała ciemnogrnatowa chmura swoim fragmentem dotykając drzew. Patrzyłem urzeczony, nie mogąc znaleźć sposobu na wyrażenie swych uczuć... Klęknąłem i patrząc w tym kierunku dziękowałem z całego serca Bogu i zmówiłem modlitwę. Piękny spacer się na tym nie zakończył. Szedłem potem jeszcze długo nad morzem w kierunku dogasających promieni, śpiewałem pełen radości. Szum morza, wiatr, głęboki sens takiego istnienia, utwierdzał mnie w przekonaniu, że znalazłem nić swojego życia. Pójdę za nią i obiecuję, że nigdy jej nie zgubię.

26 IX 1985 r. - czwartek

Lekarstwo (nalewka) z bursztynów wg Klimuszki.

5 dkg bursztynów

1/2 l spirytusu

Trzymać w ciemnym miejscu przez 14 dni – odlać.

W chorobach reumatycznych nacierać. Jeśli gardło boli 20 kropli, można robić inhalacje, można rozpylać w pomieszczeniu z dodatkiem wody mineralnej. Ten sam bursztyn skruszyć drewnianą pałeczką i ponownie zalać. Można użyć dwukrotnie.

Propolis – identyczne proporcje. 14 dni, co jakiś czas wstrząsać.

Przedzić. Pić 20 – 30 kropel dziennie.

Piękny, słoneczny dzień. Zacząłem go po 6.00 modlitwą i czytaniem Pisma Świętego. Potem pobiegłem nad morze. Cudowny poranek, słońce witałem nad brzegiem morza. Zabiegi: intensywna gimnastyka. Rysowałem portret p. Janusza Golca. Po obiedzie poszedłem na spacer do lasu w tym samym kierunku co wczoraj. Jest tam przepięknie. Na polanie trochę się opalałem, ładowałem się ciepłem i spokojem – trudno powiedzieć ciszą, bo zza wzgórza dobiegał jednostajny, piękny ton – szum morza. Cieszyłem się każdą otrzymaną chwilą. Mój pobyt już się kończy – był jednym z piękniejszych epizodów w moim życiu. Chyba długo go będę pamiętał – może także dzięki tym zapiskom.

Wieczorem nie poszedłem już na wieczorek pożegnalny, jestem bardzo zmęczony. Słucham pięknych chórów angielskich – wolę to od big beatu. Wolę samotność od ciżby nawet jeśli jest rozbawiona.

Po południu byłem na mszy. Początkowo nie bardzo chciałem iść. Dzień był tak piękny, słoneczny. Morze takie wspaniałe. Chciałem pójść na długi spacer. Z każdą jednak chwilą bardziej czułem, że powinienem się zmobilizować. Decyzja przyszła w jakiś sposób samorzutnie. W czasie komunii niespodzianie zacząłem płakać. Łzy same płynęły po policzku. Zasłoniłem oczy dłońmi i trwałem tak, a uczucie podniosłości i cudownego szczęścia mieszało się z zawstydzeniem, że przedstawiam sobą taki oto widok. Wiedziałem jednak co jest tu ważniejsze i nie wstydzilem się tak naprawdę. Dzień był zwykły – a jednak niezwykły. Jezus przyszedł do mnie.

27 IX 1985 r. - piątek

Szary i brzydki dzień, zacząłem go o 6.00. Modlitwa i czytałem Pismo Święte. „Kto chce iść za Mną niech się siebie zaprze, weźmie krzyż swój i idzie za mną”. Chętnie bym jeszcze poleżał w łóżku, byłem trochę śpiący i zmęczony, ale przecież te słowa były skierowane do mnie. Co miałem zrobić? Wstałem i wiedziałem, że mój trud może być radosny a nie smutny. Dla Ciebie Chryste i dla mojego zbawienia – dla mojego budowania siebie – wstaję, choć mi ciężko, bo lenistwo tak mocno mnie już więzi. Pobiegłem nad morze już w innym nastroju. Warto przełamywać swoje słabości. Bo wspaniałe są tego owoce. Nie zapominam jednak, że w centrum wszystkich moich czynów jest Bóg. Jestem już po zabiegach. Po obiedzie pojedę do Stegny z książkami i do apteki. Czuję się bardzo dobrze. Nawet kręgosłup mniej mi dolega. Ale drogi oddechowe mam stale zajęte. Płukanie od czasu do czasu niewiele daje. Brak konsekwencji. Trzeba się tym zająć poważnie, bo już i na piersi się ta choroba przeniosła.

Czytam Wolbarda „Słuchając Cezanne'a, Degas'a i Renoir'a”. Co za zachwycająca książką. Jak żywi – czuje się miłość jaka go prowadziła w pisaniu tej książki. Co chwilę śmieję się z zachwytu i ze wspaniałych powiedzonek, ze szczerych myśli. Dzisiejsze czasy są pod tym względem jeszcze gorsze. Tak mało dzisiaj w sztuce szczerego wzruszenia. Wszędzie jakieś kombinatorstwo łącznie z moim natężaniem się artysty – malarza (co za termin). Jestem po prostu malarzem, koniec. Przecież nic innego nie robię tylko maluję. Skromność popłaca spokojnym sumieniem, jeśli się tylko na to zapracuje. Na razie jestem jeden z tych „flintów” Cezannowskich, których on tak nie cierpiał. I miał rację!

28 IX 1985 r. - sobota

Wczorajszy dzień jeszcze dostarczył mi wrażeń nad którymi mi warto się zastanowić. Na obiad był kurczak. Postanowiłem go ze względu na post nie jeść. Miałem ochotę skosztować tutejszej ryby. W Stegnej wstąpiłem do smażalni i zjadłem dwie świeże flądry. Niestety skończyło się to nie najlepiej. Ohydny tłuszcz na którym smażą bardzo mi zaszkodził. Leczyłem się tradycyjnie: podróżą do Rygi i herbatą. Wspominam o tym ze względu na problem jedzenia w moim nowym życiu. Trzeba wyeliminować takie wszelkie „podjadanie” i traktowanie żołądka jako zaspokajacza swoich zachcianek.

Wieczorem robiłem rysunek Krysi. Popłakało się dziewczynisko i smutno na mnie patrząc chciała mi coś powiedzieć...Tak to jest na tym świecie – gdzie między ludźmi nie wszystko jest tak jak ma być. Czy jestem dla ludzi dobry? Nie! Ostatnie chwile w Stegnej. Dzień smutny, szary, ale mnie jakoś nie tak smutno. Idę w życie dalej niż do tej pory byłem. Boże wspomóż!

29 IX 1985 r. - niedziela

Jestem na swoich śmieciach. Prawie dosłownie – przyjechałem do domu, moja chatka wydała mi się taka uboga i zaniedbana. Jeśli jest skromna – dobrze, źle, że tak mało widać troski o czystość i piękno. Muszę się tym zająć.

Po przyjeździe do Krakowa szczęśliwym. Dzięki Ci Panie! Przyjechałem do domu rowerem. W pociągu z jego powodu miałem małe kłopoty, lecz warto wozic ze sobą rower, to wspaniały przedmiot wart wierszowanego utworu pochwalnego.

W skrzynce karta od Olka Krzyżanowskiego, pisze, że ma nowe obowiązki – redakcja i administracja pisma religijnego i że będzie poza Lipnicą. Chętnie bym się tam wybrał gdyby go tam nie było.

Była kartka od Agnieszki Żurek. Zapowiada swój przyjazd w czasie w którym mnie nie było. W drzwiach była kartka od Małgosi Łukasiewicz. Może jeszcze przyjedzie. Czekam teraz na nią.

Zaraz po przyjeździe byłem w kościele. Częściej i więcej się teraz modłę i myślę o Bogu. Właściwie wszystkie swoje poczynania staram się orientować według tego jednego, prawdziwego kierunku jakim jest centrum – Bóg. Jakże przeobrażają się moje uczucia, moja wola, mój sposób patrzenia na siebie i świat i bliźnich przez przyjęcie tej wewnętrznej Bożej organizacji. Jakże cudowne są tego wpływy. Dzięki Ci Panie!

Pamiętnik ten nie jest przeznaczony dla nikogo by mógł mnie tak czy owak oceniać. Nie piszę słów, które nie byłyby przeznaczone dla Ciebie Boże i dla mnie. Być może, że będzie kiedyś ktoś korzystał z tego pamiętnika, to naturalnie nie jest jego przeznaczeniem być ocenianym. Moim jedynym sędzią jest teraz tylko Bóg. Obym o tych słowach nigdy nie ośmielił się zapomnieć. Mój powrót mógł być powrotem smutnym – a stał się radosnym. Jest jakiś znak Boży, że przyjechałem w Niedzielę. Dzień poważny, piękny – taki jest mój powrót. Ze wspaniałymi perspektywami pracy zaczynam jutro nowy tydzień. Obym ani cząstki z tego co otrzymałem tam nad morzem nie uronił, nie zaniedbał, obym to wszystko bardziej pomnożył dla Niego.

Wczorajszy dzień miałem bardzo piękny. Był słoneczny – ale chłodny. Po przyjeździe autobusem ze Stegny pojechałem do Sopotu. Byłem na molo, na miejscach mojego dzieciństwa, tzn. na Rodziewiczówniej

(obecnie Konopnickiej), na Wybickiego, na Kraszewskiego, na Abrahama, Mickiewicza, Sikorskiego. Cudownie było tam wrócić, przypominać sobie zatarte obrazy. Skupić się przez chwilę na rzeczach które dawno minęły. Byłem nawet w tym samym sklepie na Armii Czerwonej, gdzie kupiłem jakieś czekoladowe smakołyki – tylko dla tych wspomnień. Sopot, jak wszędzie, trochę zaniedbany, już nie ma tych cudownych dużych drzew w ogrodach. Sosny w lesie jakby zmalowały, ale są miejsca, gdzie prawie nic się nie zmieniło i nadal są to ulice piękne. Taką jest ulica Wybickiego prowadzona do stadionu, który jak za dawnych lat, piękniejszy nawet. Teraz chcą chyba jakimiś stalowymi konstrukcjami obłożyć trybuny – na pewno straci ten staroświecki wdzięk. Nad morzem pozostawiono łazienki południowe – jak cudownie, wdzięcznie wyglądają czerwone łamane daszki na tle zieleni.

Obserwując z mola, poczyniłem pewne spostrzeżenie na temat narastania planów związanych ze wzrastaniem wysokości. Otóż: morze, fale, piasek (wszystko to jest coraz wyższe), trawa wydmowa, zarośla, nadmorskie drzewa, domy, wysokie budowle – kościół augsburski, kościół św. Jerzego (jego sylwetę widać na tle wzgórza – Sopot przez to wygląda jak podgórska miejscowość), wzgórza i lasy oraz piękne chmury, które tworzą doskonale tło dla tego niegdyś uroczego miasteczka. O jego znaczeniu dla mnie może uda mi się kiedyś coś napisać. Właściwie należałoby to zrobić.

Po powrocie na dworzec, gdzie w przechowalni zostawiłem plecak, pojechałem do Gdyni. Odwiedziłem p. Annę Kowalską (sygnet z gwiazdą Syjonu – mąż wykąpany Izraelita). Zostałem przez nich mile przyjęty kolacją. Doręczyłem list od Adasia Macedońskiego. Oglądałem ich piękne mieszkanie – skwer Kościuszki 15/17 (?).

Następnie sypialnym do Krakowa. Czuję się dobrze. Trochę gardło nawala i kręgosłup. Samopoczucie duchowe znakomite. Ciśnienie bardzo dobre. W Krakowie chłodno – wietrzno – od czasu do czasu promyczek słońca. Już bardzo jesiennie. Widać ją bardziej niż na wybrzeżu.

30 IX 1985 r. - poniedziałek

Ostatni dzień – pierwszy dzień, tak można najkrócej określić ten szczególny poniedziałek. Zdaję sobie sprawę, że zacząłem nowe życie. Życie skierowane na Chrystusa. Tę krótką notatkę piszę już bardzo późno, jest godz. 22.45. Noc. Przed chwilą wyszli Marysia, Jasiu i Romek. Zaprosiłem ich do siebie. Zbyt długo jednak to spotkanie trwało. Na przyszłość będę zdecydowany w trzymaniu się programu dnia. Program dnia wypełniłem właściwie w sposób zadowalający. Wstałem rano o godzinie 6.30, o godzinie 7.00 byłem na mszy i przyjąłem komunię. Zrobiłem rano zakupy, biegałem i gimnastyka jak w programie. Potem praca. Zamierzam rysować i malować cykl morski. Byłem u cioci na obiedzie. Spałem tam półtorej godziny. Pojechałem do Lalki Marcowej – Tadzio jest śmiertelnie chory. Osobiście zobowiązałem ją do spowiedzi i komunii w intencji sprawy Tadzia. Sam modłę się w jego intencji. Dzisiejszy dzień był pełen pracy, działania i myśli o Bogu. Pełen radości i prostego piękna. Słoneczny, choć na dworze było wilgotno, mglisto i zimno. Oto przykład przemiany życia w smutku w życie w radości. Dzięki Ci Panie!

Pisałem korespondencję do Michała Bohosiewicza, do Olka Krzyżanowskiego i list do dr Kubiaka.

1 X 1985 r. - wtorek

Ładny, słoneczny dzień. Zacząłem go nieco później. Wczoraj nie spałem do późna. Rano było mi z tego powodu trudniej wstać. Byłem w kościele na mszy o 7.30 i przyjąłem Przenajświętszy Sakrament. Bez gimnastyki tym razem, zabrałem się po godzinie 9.00 do rysowania. Pracę przerwał mi niestety Andrzej Pisowicz – miły, serdeczny, ale wielki egocentryk, tak niestety to trzeba nazwać, pomimo jego wielu zalet. Objawia się to także jakimś wieloma uprzedzeniami do obcych kultur lub ludzi o innych poglądach. Sprawy Kościoła, wydaje mi się, zastrzegam się, że widzi trochę w kategoriach walki w obecnej sytuacji politycznej. Może moje poglądy są nonszalanckie, ale trochę lekceważę ten niepokój o Kościół wobec zagrożenia w jakim się znajduje. Jeśli nie potrafi przetrwać, to znaczy, że jest niewiele wart i nie trzeba się z tego powodu zasmucać. Tego rodzaju zdanie brzmi niezbyt przekonująco, lecz może być efektowne, ale jednak wydaje mi się, że cała siła i nadzieja jest w prawdziwym oddaniu się Bogu – polityka to rzecz zgubna jeśli nie ma tej ufności. Wydaje mi się, że Andrzejowi jakby brak tej ufności. Przez działanie ludzkie widzi przeciwstawianie się temu całemu złu.

Widziałem się z Jolą Zwosko (?) – dawną moją uczennicą, jeszcze z „dziesiątki”. Mieszka niedaleko, na Czarnowiejskiej. Ładny pokój z kuchnią.

Załatwiłem dzisiaj pierwsze sprawy. Zabiera to już wiele czasu w głupi sposób. Trzeba ograniczać jałowe rozmowy oraz spotkania nie w porze lub przeciągające się.

Napisałem kilka kartek, także do Króliczka. Spotkałem Piotra Wolskiego. Małgosia będzie rodzic. Spotkałem Dorotkę z mężem.

Przenieśli się już na nowe mieszkanie. Weronika (ich córka) wygląda doskonale. Babcia jest już kompletnie zniszczona sklerozą. Pani Biedrońska dziękowała za kartkę. Jutro przygotowuję się do wyjazdu do Lanckorony podziękować Bogu i prosić o łaski. Jeszcze jak są ładne dni trzeba je wykorzystać. Boże błogosław mi.

2 X 1985 r. - środa

Nie byłem w kościele, nie byłem w parku na gimnastyce, wstałem o 8.00. Malowałem wielokrotnie ten sam motyw – kwiaty. Obrazek przeznaczony jest na sprzedaż, niestety nie mogę powiedzieć żebym mógł ofiarować dobry towar. Nie potrafiłem scalić poszczególnych plam kolorystycznych, zwłaszcza gdy przedmiot decydował o kolorze. Widziałem się z Lalką Marzec. Tadeusz – jej mąż, jest w stanie przedśmiertnym. Tragiczny jest los tej rodziny w tym roku.

Zbudziłem się dzisiaj o godz. 4.45, następnie po godzinie zasnąłem. Miałem sen o treści erotycznej – jakieś dwie dziewczyny. Jedna jakby moja żona, druga to ta, do której kierowałem moje zainteresowania. Pamiętam tylko jej twarz – szeroka, dość prosta, lecz seksualnie intrygująca.

Wiadomość z BBC. Rock Hudson zmarł w Beverly Hills na AIDS – był homoseksualistą. Zmarła moja najbardziej kiedyś ulubiona aktorka Simone Signoret. Byłem na filmie Hasa „Pismak”, wg Władysława Terleckiego – wyszedłem w połowie.

Spotkałem w parku Hieronima Gąsiorkiewicza z żoną. Już nie tak protekcyjny i stale dowcipny. Reasumując, zrobił się normalny i sympatyczny. Jaś Stopczyński wyjechał do Szwecji. Spotkałem jego żonę. Urodziło im się dzieciątko.

3 X 1985 r. - czwartek

Słuchałem sprawozdania Jana Webera z konkursu. Bardzo podoba mi się gra Węgierki Adrien Hanser, także Amerykanina Arthura Herta. Malowałem akwarele – korzystałem z albumów. Zaraz zaniosę prace do ewentualnego zakupienia.

Przyszły dwa bardzo miłe listy z Chełmna. Anka i Andrzej pisali.

Ho – Czi z Chin – Nokturn Cis – mol Op.I. - zaskakuje mnie zupełnie innym brzmieniem. Jak za mgłą spłowiwały obraz na drogocennej tkaninie. Interesujące.

Straszny jestem obżartuch, przed chwilą zjadłem – bardziej trzeba powiedzieć – pożarłem całą czekoladę. Kupiłem dwie, drogie (350 zł), za łapówkę za obiady. Nie doczekała biedaczka dziecięcych rączek i buzi. Zniknęła cała w gębie, która na cudzy użytek głosi umiar i ascezę. Tak wygląda prawda o mnie. Obrazków, akwrel nie sprzedałem. Pani X zakupiła reprodukcję. Spóźniłem się. Nie szkodzi. Z akwarelą ruszyłem do przodu.

Znów nie gimnastykowałem się. Byłem za to w kościele na mszy. Przyjąłem komunię. Nie wiem nic na temat Tadzia. Jutro zaczynam pracę i nic nie przygotowałem na te zajęcia. Jutro to muszę zrobić.

4 X 1985 r. - piątek

Cały dzień bardzo ciepły, wręcz gorący – zamglenie i zapylenie. Powietrze bardzo niedobre. Słońce. Pracowałem dzisiaj od rana nad przygotowaniem programu zajęć w KDK-u. Wydaje mi się, że konspekt programu jest w pierwszej już wersji ciekawy, i w nowy sposób ujmuje zagadnienie kształcenia.

Pojechałem rowerem do Lasku Wolskiego, gdzie pracowałem nad programem. Zajęcia zacząłem i, mam nadzieję, z pewnością

organizacyjną sprawnością oraz z wyraźnie sprecyzowanym planem działania.

W nocy dwa razy miałem sposobność czy też konieczność spotkania z Onanem. Było to wynikiem nawiedzających mnie snów, których treści odtwarzały moje ukryte potrzeby erotyczne. Nierozwiązany problem człowieka samotnego, zdrowego i silnego, pragnącego żyć zgodnie z Ewangelią i z Naturą. Rano spowiadałem się i przyjąłem komunię.

Dużo i z przyjemnością słucham sprawozdań z konkursu Chopinowskiego.

Uwaga: Na zajęcia z rysunku zgłosiło się około 35 osób. Trzeba zorganizować dwie grupy.

Przeprowadziłem głodówkę. Nie jadłem obiadu. Wieczorem na skutek zawrotów głowy zjadłem skromną kolację. Po powrocie z zajęć zjadłem jeszcze dwa kawałeczki weki i gruszki.

5 X 1985 r. - sobota

Tadzio nie żyje...

Umarł wczoraj około godziny 12.00. Widziałem się z nim w zeszłym roku. Był w dobrej formie. Wyróżniał się kondycją i dobrym zdrowiem. Nigdy nie chorował. W stosunku do Łalki, która ciągle była nie najlepszego zdrowia – wydawał się być przykładem jak przez czynne życie dojść do długowieczności.

Dzisiejszy dzień słoneczny. Byłem w kościele i komunikowałem się. Nie gimnastykowałem się niestety. Trzeba będzie to przemyśleć.

6 X 1985 r. - niedziela

Jeszcze jeden piękny dzień. Słoneczny, ciepły – prawdziwie październikowe lato. Mnie się podoba przyrównanie do polskiej jesieni. Nostalgia. Ale w tym roku jakoś przeżywam to w inny sposób z wielkim zapasem nadziei i ochoty życia. Wracając jeszcze do dzisiejszego dnia, czy zastanawiałem się przedtem, że jest to wielki dar Boga i że tego daru w żadnym wypadku nie wolno mi marnotrawić. W ogóle niczyjego daru nie wolno mi lekceważyć w tym sensie, że bagatelizować.

Dzisiaj ciocia czekała na mnie z obiadem wieczorem. Nie pojechałem do niej. Woląłem zostać w domu. Czy to jest w porządku? Czy te piękne dni, wspaniałe dary Boże, we właściwy sposób spożytkowałem, jeśli pod uwagę wezmę wcześniejsze zamierzenia: bliżej Natury.

Tu potrzebna jest duża korekta. Dzisiaj długo spałem, aż do godziny 10.00. Byłem wypoczęty, ale znów szkoda mi było tego dnia.

Po obiedzie w barze mlecznym spotkałem Turnau'ów, Małgosię i Piotra. Bardzo ich lubię – polityka nas zaczyna izolować. Patrzą na mnie jak na człowieka, który sprzedaje swoje sumienie (wystawa, udział w plenerze, może stypendium – nie wiem czy o nim wiedzą). Może mają trochę racji. Człowiek brnie w kompromisy tłumacząc to nieuchronnością takich poślizgów, z których składa się samo życie, z racji samej polityki, która potrzebuje jakiejś nowej wizji (zatwierdzenie to za mało). Cóż więc robić? Na pewno nie wolno tworzyć pomostów przez które „oni” będą przechodzić. Po tych pomostach tylko my możemy iść do „nich”.

Kupiłem sobie po mszy w kancelarii parafii św. Szczepana doskonałą dla mnie książkę. Nazwałbym ją „katolicyzm na sposób praktyczny”, lub „Bóg na co dzień”. Jak realizować w życiu Ewangelię. Książka nazywa się „Między Człowiekiem a Bogiem” Michael'a Quoist'a. Kupiłem stary numer Tygodnika Powszechnego a w nim artykuł ks. Malińskiego „Wśród religii dalekiego wschodu” (o papieskiej podróży na daleki wschód). Cytat: „My, chrześcijanie też wierzymy w Boga immanentnego w świecie. Dla nas, chrześcijan, Bóg jest i transcendentny i immanentny. Tylko ta prawda została przez nas jakby zapomniana. Jeżeli tak to szkoda. Szkoda. Może nadszedł wreszcie czas, aby o niej sobie przypomnieć i nią żyć. Może po to papież jedzie na ten daleki wschód”.

Czy nie pięknie powiedziane, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę zaślepienie i obskurantyzm niektórych katolików. Myślę tu zwłaszcza o Andrzeju Pisowiczu.

Rozmawiając z Turnau'ami powiedziałem coś o śmierci, że może nie mam już wiele tego życia. Powiedziałem to bez lęku. Lecz teraz po zastanowieniu się wydaje mi się, że nawet w małej części nie zasłużyłem sobie na łaskę (tak łaskę) śmierci, bo śmierć to przecież połączenie się z Moim Ojcem. Z czym mógłbym stanąć przed Nim? Tylko z lękiem, tylko z nadzieją na Miłosierdzie Boże (jak pięknie to brzmi – jak wiele znaczy).

Byłem u Haliny Bachnackiej. Narysowałem jej profil. Udał mi się nadzwyczaj. Jej także się bardzo podobał. Wykonałem go rysunkiem – linią, a także pędzlem chińskim i akwarelą. Trzeba malować posługując się tą techniką. Rzecz w tym, że na papierze akwarelowym ten rodzaj pracy nie wychodzi. Zwykły papier z bloku makulaturowego okazuje się być tu najlepszy.

Trzeba mi się bardziej skupić na moim celu. Na moim programie życia. Boże dopomóż mi.

Wczoraj spotkałem Adama Terleckiego. Pyta: „Masz jakieś ciało?”. „Nie mam. Poza tym przystępuję codziennie do komunii”. „Cóż z tego?” - pyta. „Jak to, wiesz przecież, że to cudzołóstwo”. „No to będziesz codziennie chodził do spowiedzi”.

Jest już wieczór. Słucham radia. Audycja o chlebie. Wzruszająca, piękna. Wszystko co teraz w moim życiu się dzieje jest tak ważne, tak wzniosłe (słowo może patetyczne, lecz brak mi innego).

Z książki „Między człowiekiem i Bogiem”:

„Człowiek wyprostowany, człowiek prawy to ten, którego duchowość w pełnej wolności panuje zarówno nad ciałem jak i uczuciami. Taki człowiek nie gardzi ani uczuciami, ani ciałem, gdyż jedno i drugie jest i piękne i potrzebne, jedno i drugie jest darem Boga Stwórcy – panuje jednak nad nimi i prowadzi je. To On duch jest panem, one zaś mu służą”.

7 X 1985 r. - poniedziałek

Dzień z przymglonym niebem. Słabe słoneczko – ciepło. Jeszcze teraz po godzinie 18.00 jest ciepło. Jestem już zmęczony. W nocy nie najlepiej spałem. Gdyby nie program życiowy, tkwiąc w przyzwyczajeniach spałbym do godziny 10.00. Rano wstałem jednak mimo braku wigoru. Pomodliłem się, przeczytałem krótki fragment z Pisma Świętego, a następnie po zimnej wodzie czułem się już rześki i z ochotą, spiesząc się bardzo, pojechałem do kościoła. Było mi wtedy szczególnie przyjemnie, że jadę spotkać się z Chrystusem, że przewyciężyłem swoje gnuśne ochoty, że czynię postępy.

Wróciłem do domu po zakupach i gdy zjadłem śniadanie była już godzina 10.00. O godzinę spóźniony zabrałem się do pracy. Nie gimnastykowałem się także ani rano ani później. Jakoś to jednak trzeba zrobić. Załatwiłem dzisiaj kilka spraw. W dzisiejszej poczcie był list od kochanego Królika. Zawsze express. Pisze między innymi, że powinniśmy szanować naszą miłość, naszą przyjaźń, którą znów odnaleźliśmy. Jak wielką ma rację. Apelując delikatnie do mnie, wierzy, że jej nie zawiodę. Była także kartka od p. Anny Kowalskiej z Gdyni. Zdumiała ją moja elegancja (że niby podziękowałem za gościnność). Jeśli to jest ewenement, że aż trzeba to nazywać elegancją i się temu dziwić to jest bardzo źle, ale jeśli ja wywołuję to zdziwienie to jest bardzo dobrze, bo jeszcze kilka miesięcy temu nie zaskoczyłbym nikogo swoją grzecnością.

Nadal zalegam z korespondencją do wuja Bodzia i do państwa Hoffmanów. Powinienem napisać także do cioci Renaty – jest chora (z relacji cioci Kamili). Ze spraw ważnych to zakup węgla i oporządzenie pieców. Ocieplenie mieszkania. Naprawienie dachu

nad schodami, oraz złożenie w ręce adwokata sprawy mojego mieszkania.

Wojtuś z Lidką zgłosili się na pierwsze zajęcia. Byłem nawet zdziwiony. Na następny dzień przyszedł tylko Wojtek, spóźniony mocno i w czasie wykładu podrzucił mi kartkę i wyszedł. Informował mnie, że rezygnuje z kursu, do widzenia... Otrzymał odroczenie od wojska. Mogę mieć nadzieję na zwrot pieniędzy oraz moich przedmiotów. Od niego dowiedziałem się, że była u Nich Ala. Wyjechała do Kopenhagi na trzy miesiące. Tęsknię trochę za nią. Taki już jestem. Może to głupie. Chyba ją kochałem i ona może trochę też. Kiedyś poszukam korespondencji od niej.

Jest tego cała paczka. Poznałem Alę dopiero gdy zacząłem czytać jej listy. Miały tyle wdzięku, poezji, swobody i nonszalancji, która jej pasowała, bo była zabarwiona jakąś wewnętrzną niezgodą na wszelkie pozerstwo i kłamstwo. Czuję jednak, że w życiu nie była jednak taka czysta. Jej postawa etyczna często była bardzo dwuznaczna, nawet w sprawach politycznych, ale nie chciałem psuć jej obrazu tymi cieniami i starałem się ten rodzaj braku odpowiedzialności zawsze wytłumaczyć. Była przecież przy tym taka czasami (jak chciała) oddana mi. Chwytała wtedy mocno za serce by za chwilę się z tego głośno roześmiać. Przykre, ale prawdziwe. Ale to nie ja jestem ten sprawiedliwy, oraz jej wierzyciel.

W związkach z kobietami ujawnia się moja prawdziwa natura. Natura egoisty. Skrytego egoisty. Ukrywam to, maskuję różnymi gestami, które tworzą pozory przyzwoitości (lubię tworzyć pozory), lecz jeśli się sobie uczciwie przyjrzę to jestem wielkim egoistą. Jak to przezwyciężyć. Jedyne Bóg może mi pomóc.

Dziękuję Ci Boże, że dałeś mi łaskę ukończenia tego dziennika, że w czasie jego prowadzenia tak wiele dobrego się w moim życiu zdarzyło. Obiecuję trwać w Tobie Boże, nic nie uronić z Twoich łask, którymi mnie obdarzasz.

Tak mi dopomóż Bóg. Amen.

7 X 1985 r. - godz. 20.00

TADEUSZ ŁUKASIEWICZ
TIGRAN

DZIENNIKI OD 1968 roku

22 maja 1968 roku otworzyłem dziennik moich notatek. – Niech mi się wiedzie!

W kilka dni potem – wieczorem zacząłem zapisywać te oto słowa. Myślę, że żaden przyzwoity dziennik nie może nie posiadać wstępu. Dla własnego użytku wystarczy napisać to, że jest to moja powtórna próba, jeśli chodzi o gromadzenie notatek. Nigdy nie należałem do ludzi skrzętnie pracujących na własnym podwórku. Wiele cennej inicjatywy straciłem w przewyciężaniu własnej odpornej natury. Trudności ogromne pojawiały się tam, gdzie na czoło wielu cnót człowieczych wysuwała się ta najbardziej przez nas Polaków postępowana zaleta – metodyczna skrupulatność. W taki oto sposób zabiłem swoje własne dziecko, jakim miał być mój pierwszy dziennik. Działy się w nim straszne rzeczy. Dla wnikliwego czytelnika otwierała się wielka szansa badawcza, w śledzeniu losów, zmagających człowieka (pojętego jak najszerzej), z jego własnymi przywarami, niedoskonałościami, przewyciężaniem trudności bytowych itd. Zrozumiałem jest, że taki twór musiał zginąć śmiercią naturalną. Któregoś dnia autor dziennik odłożył, już chyba na zawsze – bo przecież już chyba nie wydarzy się taka szansa dla tego brązowego zeszytu, aby znów zaczęły się zapełniać jego stronicę. Mam nadzieję, że w tym wypadku nie popełnię już tego błędu jak poprzednim razem.

Ten zeszyt nie ma wcale zawierać codziennego, czy też innego okresowego sprawozdania ze swoich czynności. Chciałbym, aby w nim znalazły się moje myśli, niepokoje, których nie mogę przetrwać w osobistych rozmyślaniach lub wspólnych dyskusjach. Ten zeszyt powinien mi wszędzie towarzyszyć, stać się moim przyjacielem.

Dawno wiadomym jest to, że łatwiej jest nam ludziom robić dobre postanowienia, znacznie uciążliwiej jest natomiast je spełniać.

Jeśli do postanowienia w przeważającej mierze jest potrzebna tylko dobra wola podejmującego decyzję, to do jej ukonkretnienia musi być użyte o wiele więcej środków.

Co postanowisz, przemyśl dobrze jak to zorganizować! Tą słuszną i w ogromnym stopniu decydującą o powodzeniu „strategię gry” możemy opracować u narodzin decyzji. Może ona być również przypadkowa, odkryta jednak w wyniku analizy działania, podjęta jako świadomy oręż w walce o spełnienie swego celu, utrwalony swoją świadomością.

4 VII 1968 r.

Kilka dni temu żywo zainteresowałem się, z mojego punktu widzenia nowatorską, hipotezą dotyczącą próby wyjaśnienia na podłożu materialistycznym dość powszechnych i charakterystycznych w religiach wątków, w których występujący Bóg zajmuje zazwyczaj miejsce w niebiosach oraz, że w niezwykle sporadyczny sposób zstępował na Ziemię, aby stały się te lub inne wydarzenia.

Przez jakiś czas błędziła mi po głowie uporczywa myśl czy tego rodzaju opis nie jest późnym zapisem długo powtarzanych legend, których przyczyna była jak najbardziej realna. Odstępując na moment od głównego wątku trzeba mi stwierdzić, że dość odważnie i w sposób naukowy rozważa się możliwość istnienia istot rozumnych poza naszą planetą.

Takie stanowisko obecnie nikogo już nie dziwi, jest jedynie niezwykle utrudnione przedłożenie mocniejszych argumentów (poza analogiami płynącymi z działalności ziemian), że życie takowe

przybrało gdzieś w kosmosie formy mogące stworzyć istoty zdolne do podjęcia dialogu z nami.

Jest pewną zarozumiałością sądzić, że tylko warunki ziemskie, wobec miliardów milionów innych planet, nie utworzyły podobnie bogatych w gatunki środowisk. Można również, nie popadając w przesadę, rozważyć, czy też inne cywilizacje nie śledzą naszych poczynąń i to od bardzo dawna...

Otóż mogło się tak wydarzyć, że przed wieloma tysiącami lat, gdy człek stawiał pierwsze samodzielne kroki, zetknął się z przybyszami, którzy górowali tak bardzo nad jego rozwojem umysłowym, że biedaczek nie potrafił nawet ocenić ogromu różnicy poziomów intelektu. Spotkanie Einsteina z psem. W takich warunkach tylko mit boga wszechmogącego zstępującego z nieba na słonecznym rydwanie, dała temu słabemu człowieczkowi wyjaśnienie zdarzenia. Tak mogła się narodzić legenda o spotkaniu boga z człowiekiem.

Było to późnym wieczorem:

źle oświetlona ulica. Brudne, żółte światło blado odbijało się w pełnej kałuż drodze. To światło nie oświetlało, ono było po to, aby jeszcze mocniej czuć posępność i mrok tego wieczoru, jego wilgotne, zimne, niezdrowe powietrze i bezsilność porywów młodego serca, naiwnego lecz szlachetnego, którego nie zamuliła jeszcze rutyna dnia codziennego.

W pewnym momencie dostrzegłem na zabłoconym chodniku, wśród resztek czarnego śniegu rysunek dziecka. Stół. Mocny, szeroki. O krótkich, silnie skonstruowanych nogach. Na stole wazon z kwiatami. Rysunek naiwnie piękny. Wart wiersza, chociaż żaden, nawet poetycki opis nie sprostałby w wyrażeniu takiego natężenia poetyckiej formy, jaka się ujawniła w tym zdarzeniu.

/przepisane z notatki sporządzonej w roku 1967/

maj 1968 r.

Dzieło, jeśli nie powstaje w sposób spontaniczny, musi być określone w możliwie najszerszy sposób w podłożu historycznym, estetycznym, filozoficznym. Właśnie dzięki tej wielowarstwowości może zawdzięczać ono swój kontemplatywny charakter, który utraciła współczesna sztuka plastyczna.

Zespół obrazów – cykl kilku wizerunków stanowi odnowiony sposób interpretowania rzeczywistości. Przykład:

obraz – drzewo

obraz – człowiek na krześle

obraz – puste krzesło

Ludziom pięknym natura sama nadała wielkie przywileje. Dała im miejsce w przyrodzie, tej którą człowiek kocha najbardziej. Która jest zrodzona w sposób naturalny, ale zarazem odbija jego idee, potrzeby równowagi, statyki. Ludzie nie posiadający urody nie posiadają atrybutu harmonii idealnej przyrody. Ich miejsce w naturze jest wyjątkowe, wcale nie niezbędne. Tylko przez działanie odmienne od nadanego im przez mechanizm rutyny mogą stać się piękni. Potrzebni w świecie ograniczonym.

Peszą mnie ludzie mówiący o swoich sukcesach. Nie zastanawiałem się dotychczas nad tym, dlaczego ich wynurzenia sprawiają mi pewną przykrość. Mogła to być osobista uraza z nieposiadania podobnych rezultatów, nie czułem w nich jednak rywali, którzy mogliby deprecjonować moje wartości. Wobec czego

pytam, co było tym istotnym powodem, dla którego spotyka mnie dreszcz obrzydzenia, tym większy, że wymagają, abym czynnie uczestniczył w ich podbojach, bym wyrażał im swoje uznanie. Myślę, że sedno tej małej tajemnicy leży w tym, że brakuje tym opowiadaniom autentyczności.

Nie sądzę, aby wszyscy ci „sukcesowicze” kłamali. Są zgodni ze stanem faktycznym. Otrzymali w indeksie bardzo dobre stopnie, osiągnęli wysokie wyniki w zdobywaniu takich to a takich rekordów. To są sukcesy, a raczej odbicia sukcesów. Ozdoba tych sukcesów nie została jednak ujawniona, a to ona jest przecież najbardziej przejmująca – gdzie kryje się sukces.¹ Jest w tym człowieku, który potem mierzy kilogramy, metry, stopnie, itd. Jest kapłanem jednostek metrycznych. Zapominając w jakim celu poszedł drogą trudną. Drogą wysiłku a nie łatwizny. Może oni sami sobie nie potrafią na to odpowiedzieć. Na zakończenie dwa słowa. Nie lubię sukcesu bez inwestowania w to znacznych wysiłków. Chyba tylko w miłości może być inaczej, choć sądzę, że tylko na krótko – jak długo trwa mgnienie powieki.

Podajemy wysiłki. Jest to różnego rodzaju działanie. Może mieć ono poważne znaczenie dla naszej osoby. Po skończonej pracy układamy swoje narzędzia i popadamy w zamyślenie. Oczekujemy, że te poczynania przyniosą nam ukojenie. Poczucie odrobiny szczęścia. Odrobinę pełni. Tymczasem pustka. Dalej trwa „stan wyjątkowy”. Jak je wobec tego odnaleźć. Między innymi chyba w ten sposób, że możliwie najpełniej zmierzmy się z naszymi możliwościami. Odkryjemy w sobie nieznanne nam szanse.

¹ Zdanie trochę niejasne - chodzi o prawdę, która się przez ten sukces ma wyjawić (przyp. Autora)

Rozszerzymy nasze ramiona, którymi obejmujemy świat. Możemy to z powodzeniem uczynić w sztuce.

Usiądź, chłopcze, i namaluj nam park takim, jakim go nie widzisz, ale jakim go czujesz. Jeśli w tym obrazie zgodzisz i światło i mrok. To, co bliskie, i to, co jest daleko. Zapachy znane i nieznanne. Zwierzęta niewidziane i gorzki zapach liści. Jeśli będzie zieleń, którą byś rwał swoimi pazurami. To taki obraz, to maleńki kawałek szczęścia. Ale nie dla ciebie. Dla innych. Ty już jesteś bowiem od dawna w drodze, do następnego obrazu, do następnej kropli szczęścia, której nigdy nie skosztujesz.

Czy szczęście to nie te dalekie, zatarte już obrazy z przeszłości? Słońce, słońce, wzdłuż drzewa w miastach, cisza, bezruch myśli, spokój.

Kwiecień 1968 r.

Marzeń bukiety
czas wiesz na ścianach wieczoru
Nad nami
strzelił pierwszy krzyk wschodzącej gwiazdy
Za nią następne
Żagle nurzając w ogrodach półmroku
spływały do oczu jak prastare korabie
Wejdźmy tam
Na ich pokłady bolesne
Może to jeszcze nasze jedyne miejsce?

„Pieśń – Moja Pieśń”

Słyszę jak płynie ta dziwna muzyka.
Głos jej się kołysze – jest coraz silniejszy.
Jej wielkość nalega, ogarnia i na sobie unosi
Głos coraz potężniejszy
Głos Boga gdy umiera.
Muzyka przerywa wszystkie tamy
Gwałtownym lotem wzbija się pod niebo
Panuje koncertem nad światem
Srebrne Bacha organy!

Lancetem najwyższych
najdramatyczniejszych tonów
pruje kopułę nieba
Jej głos niepowstrzymany
leci w stalową muszlę przestrzeni
Jeszcze trwa ten najwyższy ton i umiera
Ale oto głos jej cichnie
Coraz bardziej się oddala
Jak gwiazda jedynej
nadziei, gdy mija nas
nieubłaganie o miliony kilometrów
Głos cichnie – coraz cichszy
Jak szept umarłych wiosną
Jak światła ostatnich
wagonów jadących w

czarną pustkę lodowca.
I oto cisza stanęła nad ziemią.

Po lat tysiącu ten głos
znów wróci na ziemię.
Głos bezgranicznej rozpaczy człowieka.
I na pustynnej planecie
zaszczepi nowe życie.
W którym każdy będzie
słyszał w swym sercu
tę jedną jedyną pieśń
Pieśń miłości człowieka do człowieka.

Rzeko siostró
Rzeko szara
Rzeko posępnej nieskończonej dali
Rzeko, matko, która nas ogarniasz
Rzeko Jasnego Poranka
Rzeko Wieczornej Mgły

Patrzysz na nas miękkim kobiercem błękitu
Tęsknoty
Zapomnienia
Melancholii

Oczy Twoje widzą dalekie horyzonty
Brzegi zielonym werselem obszyte

Dotknij mej dłoni!
Popłyniemy w tę krainę milczenia

Spiesz się!
Słyszę.... już toczy się mój kamień przeznaczenia
Struno Paganiniego
Znów grasz do słów
Nie wiem
Nie znam
Dlaczego?

W pokoju bije serce srebrnego zegara
Z kątów mrok się naprasza do stołu

...już widzę światła na twojej wodzie
Jednak wróciłaś?
Czy dla mnie ta chwila pocieszenia?
Ciszą uczcijmy powrót krzyżowca...

Muszę być lekkim!
I lepszym!
Daleka moja Przygodo,
By dziś być z Tobą
jak co dzień -
By w chlebie; w słońcu
i w wodzie
We wszystkim!

Dobywać Twej części
Jak złota

Roztarłem na miazgę marzenia
I słów Twych kobiercem utkanych
Rozwieszam chemicznie
i w płynie
Wypiję za jednym zamachem.

Daleko choć jesteś
jak nigdy
Bliżej niż w sierpniu w moim sercu
Kołyszysz moimi myślami.

I mówisz szeptem
w poduszkę
Dziś razem znów odpływamy

Myśli moje podróżne
w sen Twój ciepły posłałem
Rozchyłam nad Tobą zasłonę i wiem
Nad czołem kochanym
Chcę oddać swe skarby niewielkie
Jak zamki na lodzie podobne.

„Małe ludzkie szczęście...”

Jak kropla słońca -
płonie w ich złączonych
dłoniach, delikatny
światlik z innych kontynentów.
Jeszcze bije
światłem jego czułe serce.
Ale oto gaśnie.
Mrok nadchodzi z ciszą!
I chłód zapalił w sercach
pożogę ucisku.

Ulica ślepym zaułkiem
zatkąła swą krtań
Przestrzeń rozmawia z nami
głosem późnych kroków,
cegła dopala ostatnie
promienie na murze.
Myśli jak ósemki
splątane w balecie dziecięcych rowerków.

A wokół nas zapachy
I powietrze jak puch serdecznych zwierząt
W górze gdzieś chmury
Białe konie przebiegają niebo.

Na ścieżce kamyczki
Na ich szklistych ściankach
Dzień się odbija swoją skromną koronką
Serca nasze, jak głosy
wszystkich wiejskich dzwonów
Składają przysięgę na wierność
takiej codzienności.

Wiatr pierwszą gwiazdę
zapalił na niebie
sen – pies bezdomny
łasi się do naszych palców.
To znów nas omija
i ufać nam nie chce.
Wstań więc z pościeli
i podejdź do okna!
Spójrz tam...
Już powoli otwierają
drzwi do białej sali
I zapraszają nas do uczyty.
Dwa miejsca, stół biały
Przykryty obrusem – całunem.

Tu zaś
Nocy zapachy, od miasta odgłosy
I dziecięce gulganie przez sen.
Do okien podpływają mądre ryby,

Dobre wróżby z daleka przynoszą!
I otwierają się wszystkie
pory kształtów i
tajemnych kolorów.
Wybieramy z nich ten,
który będzie naszą
nadzieją do chwili,
w której zobaczymy
ten ostatni – jedyny
BIAŁY – BIELSZY OD BIELI

Dziś dnia 21 VII 1968 roku, w niedzielę stanąłem po raz pierwszy na korcie tenisowym i odbiłem swoją pierwszą w życiu piłkę. Dość późny debiut. Zacząłem już trzydziesty rok życia. Nabieram jednak pewnego przekonania, że dopiero w tym wieku zaczynam zyskiwać szanse i możliwości. Moja pełna zahamowań i kompleksów natura, brak sprzyjającej sytuacji materialnej oraz ogólne warunki życiowe, zupełnie nie sprzyjały rozwojowi mojej osobowości. Ogromnym ograniczeniem było dla mnie, i jest w pewnym stopniu nadal, kwestia pieniędzy. Nie jest ona w obecnej chwili jednak tak dotkliwa jak dawniej. Znajduję się w sytuacji człowieka, który wprawdzie lekceważy i nieco brzydzi się materialistyczną stroną życia, w pewnych jednak jego momentach odczuwa dotkliwy brak zabezpieczenia, ogląda się wówczas za czymś konkretnym, za pieniądzem.

Dzisiejszy dzień ma dla mnie posmak chwil wielkiego święta. Ponieważ jest niedziela, ulica i ludzie przystrojeni łagodną chmurą wolności osobistej, spokoju i wypoczynku, przechadzają się wśród drzew i na łąkach wśród wilgotnych, zroszonych deszczykiem traw, delektując się światem i swoim miejscem w nim. Czuję, że to napięcie stworzyły te chwile. Biegłem uczuciem im naprzeciw i kochałem je w myślach.

16 VII 1968 r.

Obserwacje jakie czyniłem z okna przypomniały mi pewien problem natury artystycznej: w dzisiejszej dobie, w dość powszechnym rozumieniu „syntetyzm, syntetyzacja w dziele”, polegać ma najczęściej na schematyzmie. Oczywiście, że nie jest to odpowiedź jawna; jest ona jednak nam ujawniona w samym dziele.

Porównując ten obraz z naturą, na pewno nie spotkamy się tam ze świadomym dążeniem do syntetyzacji – jest ona tam włączona w proces ewolucji. Osobniki ulegające w walce o byt, a więc słabiej przystosowane do warunków środowiskowych, organizmy, u których występują organy szczątkowe, dążą do wyeliminowania tych cech. Jest to proces syntetyzacji (czym jednak różni się on od syntezy?). Jaki wobec tego winien być syntetyzm pełny? Musi on zawierać w sobie złożoność wielu na siebie nałożonych układów.

Syntetyzm ten jest wynikiem dokonanych porównań i przemyśleń wielu stron i cech naszego dzieła i sam wynik syntetycznego działania jest nałożeniem się tych porównań na siebie, dopasowaniem i jest wypadkową wielu sił dynamicznych procesu twórczego.

Gdyby się nasz świat zatrzymał, rękę Tego, co stworzył go, osadzamy w miejscu. Gdyby nadszedł czas sprawiedliwości, kto by stanął po prawicy, komu zaś wskazano by lewicę? Kto ma prawdę, kto zaś jej nie ma?

I wiersz zawiedzie, gdy staniesz bezsilny wobec sił, które nieznane dla ciebie, rządzą tym światem. Jesteś bezradny, jak może być bezradne dziecko i nikt i nic cię nie wesprze w twojej walce, w twojej samotności.

Pustka, zupełna pustka, i myśl jak kalekie drzewo obumiera. Nad los swój zgniły, od codzienności banału, wydobywa się myśl. W konwulsyjnym mozole, szukając tego, co tę drogę wyprzedziło, szuka spoczynku w celu. Ale jeśli cel jest tak daleki, jeśli jego drogę zasypuje stale lawina kamieni?²

Jeśli w swej wędrówce znajdziesz ludzi, którzy ci będą wskazywać tylko tę drugą drogę – przeciwną; jeśli na swej drodze nie znajdziesz źródła by zaspokoić swój głód rzeczy dla człowieka niezbędny, módl się, daleki człowieku, daleki druhu nieznanemu, za sprawę wolnej, lepszej drogi!

Bo może jest inaczej niż mnie uczono: może niektórzy są tymi, którzy stale są w drodze; jeśli ich droga się zakończy, zakończy się również ich życie. Jeśli na mnie los nałożył kaptur, a w rękę włożył kostur wiecznego wędrowca, słabego i pragnącego spokoju – wybrał człowieka.

² Niniejszy akapit nie do końca klarowny, jest, jak określił sam Autor, narracją poetycką wplataną w prozę dzienników. Intencje i interpretacja w gestii Czytelników. Poniżej spotkać można więcej takich fragmentów.

31 VII 1968 r.

Jeszcze kilkanaście minut temu słuchałem, jak przez radio czytała listy Chopina z Anglii – Irena Eichlerówna. Słuchałem jej głosu z przejęciem! Pisane do osób prywatnych, a ile w nich treści powszechnej. Wypisać takich treści nie jestem zdolny. A tak bym pragnął choć na trochę zbliżyć się do poziomu tych czy też innych wartościowych zapisków. Nie pragnę tego dla zdobywania rozgłosu, powodzenia w swoim miernym, ogłupiałym środowisku, pragnę tego gorąco, aby móc wyrazić swoje myśli i uczucia. Takie sformułowanie prowokuje do postawienia następnego pytania, które by brzmiało: „po co starać się wyrażać swoje myśli i uczucia?” Jednym słowem, jakim celem służyć ma twórcza praca w sztuce? Jeśli na to trzeba sobie dać odpowiedź, to już przy innej sposobności.

2 VIII 1968 r.

/Notowane na (krakowskiej) ulicy (o nazwie) Retoryka/

Gdy porównuję różne rodzaje zapisu rzeczywistości, do mojej wyobraźni najbardziej przemawia obraz utworzony za pomocą poetyckiej metafory. Mając do czynienia z zapisem naukowym (inwentaryzacyjnym) lub opisem realistycznym, stawiam na czele opis poetycki, sięgający do zdolności tworzenia rzeczywistości w wyobraźni poetyckiej. Mam pewne przekonanie jednak, że ten rodzaj zapisu rzeczywistości jest ograniczony do pewnego kręgu kulturowego. Jak każde bardzo subiektywne wyrażenie może być wyrażane przez posługiwanie się ściśle skonwencjonalizowanym językiem przekazu informacji. Jeśli spośród wielu rodzajów zapisu rzeczywistości najpełniejszym jej zapisem (jeśli chodzi o dokonanie trafności syntezy rzeczy, czy zjawiska,

wyeksponowanie cech szczególnie wyrażających obiekt do dokonania definicji, to proces ten może ma dwa etapy przemian) – przez „poznanie” intuicyjne, często pozaintelektualne dokonanie rekonesansu w zespole cech określanego zjawiska i również intuicyjne wskazanie na te, które wyróżniają swymi walorami badany obiekt od zespołu podobnych obiektów.³ Dokonując porównania w dziedzinie sztuki, można mówić tu, że proces ten jest podobny do tego, jaki odbywa się podczas aktu twórczego artysty, np. plastyka, który interpretuje rzeczywistość w ten sposób, że eksponuje z rzeczywistości te cechy, które w danym wypadku tę rzeczywistość najlepiej opisują, są jej najogólniejszym opisaniem. Jest to ów pierwszy etap. Drugi zaś, to uczynienie z owego wyboru konstrukcji walorowo wyższej przez uczynienie na niej zabiegu syntetyzacji. Zabieg ten może mieć cechy porównań naukowych, typologicznych, statystycznych badań kompleksowych, lecz poszukując tej jednej jedynej treści, najczęściej musimy się uciec do syntezy na podłożu poetyckim. Przez „zapis poetycki” mam na myśli zapis transformacyjny, nowy obraz rzeczywistości powstały z wysiłku przejścia z etapu niższej świadomości sądów szczegółowych do świadomości wyższej – rzędów syntetycznych. Z pewnym uczuciem rozbawienia i radości stwierdzam, że powyższe rozważanie na temat „obiektywności” obrazu rzeczywistości w „zapisie” zbiega się w sposób nieoczekiwany z moją koncepcją ewolucji jako nieustającej gry w ramach konwencji.

³ Powyższe zdanie jest niejasne a myśl niedokończona. Gdy przeczytałam je Autorowi, parsknął śmiechem i skomentował: to przykład niepotrzebnego silenia się na naukowość (przyj. A.O.)

8 VIII 1968 r.

Jestem sam w pokoju; Kamila⁴ nagle wyjechała bez pożegnania – do Łodzi.

Słucham muzyki ze „Straszego Dworu”. Jakże wdzięczny to utwór na taki wieczór, gdy znużenie całodniową pracą, pogodą bez słońca, zatrzymuje mnie w domu. Jak bardzo lubię dom, jego wierne kąty!
Dom – ciepła, miękka jamka koło serca.

Może poczytam o architekturze. Zbytne zmęczenie nie pomagałoby mi w pracy lub przy pisaniu.

14 VIII 1968 r.

Przyszło mi na myśl, gdy zastanawiałem się nad tym, co od dłuższego czasu czytam (Exupéry), że poezja, a raczej to, co znaczy być poetą, to móc wyzwolić się od ciężaru jakim przygniata nas dzień codzienny.

Może jest to prawdopodobne (dogadzałoby w pewnym stopniu mojej koncepcji człowieka), że rodzimy się wszyscy poetami. Poetami życia, którzy tę cudowną właściwość zabili lub zabijają nadal; ludzie – myślę: społeczeństwo. Może się bardzo mylę. Nie chcę atakować społeczeństwa. Czyżby był człowiek poza społeczeństwem i bez społeczeństwa?

Jeśli widzimy negatywne cechy edukacji ludzkiej, siłą rzeczy musimy je przypisać społeczeństwu. Tak też chyba jest w istocie. Lecz również chyba jest tak ze społeczeństwem: jako bezosobowej strukturze jest najzupełniej obojętnym, jaki model społeczny tworzy społeczeństwo (oczywiście) jako twór ponadczasowy,

⁴ Ciotka Autora (przyp. A.P)

nieukonkretniony. Jest chyba bezwładnie kształtującym się organizmem, w którym nie występują procesy rozwojowe w świadomie obranym, sprecyzowanym kierunku. Przybiera ono postać taką, jaką w danym momencie tworzą wewnętrzne napięcia szkieletowe (płynne i może przemyślane).

Wracając do rozmyślań nad poetyckim obrazem świata, sędzę, że im bardziej uważnie i z mniejszym widowym wysiłkiem potrafi wzbić się ponad to, co jest dane każdemu człowiekowi dla jego codziennego rozumienia i interpretowania świata, gdy lot ten staje się wraz pełniejszy, gdy podczas tego lotu ma możliwość dokonania szerokiej penetracji wiązania odległych, oderwanych z pozoru od siebie spraw, pojęć, tym silniej do mojej wyobraźni trafia ten produkt intelektu jako twór poetycki. Wyzwolenie z niewoli schematu - tak w skrócie nazwałbym tę myśl.

W „Jesieni średniowiecza” spotkałem się z interesującym podziałem stosunku człowieka do średniowiecza, do egzystencji. W pierwszym wypadku mamy do czynienia z porzuceniem wszystkiego co człowiecze dla spraw boskich, pozaziemskich. Jedyłą nadzieją na lepsze życie jest perspektywa poszukiwania szczęścia w raju. Koncepcja takiego szczęścia najsilniej zaciążyła nad filozofią tomiścyczną.

Drugą kategorią był aktywny stosunek do spraw ziemskich, decydowanie, by nie pozostawiać przyjętych form społecznych w zastanej formacji. Ten jednakże odłam społeczny nie stanowił grupy, która mogła szerzej oddziaływać.

Trzecią kategorią w społeczeństwie była grupa, która swoje szczęście utożsamiała ze sztuką. Otóż ten typ myślenia interesuje mnie. Na ten temat chciałbym napisać kilka słów w dzienniku.

Słucham muzyki z radia. Wtopiony w powietrze wieczoru, w strumienie dźwięków fortepianów. To jakby muzyka ludowa rosyjska w tym koncercie symfonicznym. Może Rachmaninow, może Czajkowski, i w tej właśnie chwili przypomina mi się SKRIABIN. Nie czuję się w najskromniejszej nawet części skłonny mówić w sposób bardziej fachowy o muzyce. Jestem ślepy, lecz nie głuchym miłośnikiem muzyki. Nie znam się na jej regionach, nie ogarniam jej granic. Nie zdołałem osiąść jeszcze tej najbardziej podstawowej wiedzy jaką jest znajomość, ta najogólniejsza, okresów, najważniejszych kompozytorów i ich charakterystycznych cech.

Tym się jednak nie zrażam, choć utrudniam sobie tym swoistą wędrówkę po krainie muzyki, jedynie jej słucham i kocham ją. Jest mi potrzebna i tęsknię za nią.

Wolę słuchać w mieszkaniu zajęty czymś, lub w skupieniu rozkoszując się tym cudownym skarbem, aniżeli na żywo w filharmonii. Ten jedyny, „natchniony” nastrój sali koncertowej peszy mnie, zbyt przypomina mi, że w muzyce są wykonawcy a dopiero potem muzyka. Jeśli o mnie chodzi, wolałbym odwrotny stosunek. Coraz bardziej upewniam się, że słucham Czajkowskiego; czy się sprawdzi? Otóż nie! Jest to II koncert Panczo Władigerowa.

Tęsknię i w środku nocy
budzą mnie Twoje oczy -
dwa sierocińce za
kamiennym murem

Tęsknię...
Wtedy – w środku nocy
budzą mnie
Twoje oczy!

18 IX 1968 r.

Noc. Właściwie taka sama jak wszystkie, stworzona jak gdyby dla nabrania oddechu i sił na nowy, następny dzień. Z nocy człowiek zrobił sobie przystań, ten ciepły kątek, gdzie się może schronić ze swoimi wzruszeniami, przyjrzeć się im, policzyć, zmierzyć i ocenić. Nabral ich podczas dnia chaotycznie, jak łupieżca zagarnął ich sobie, wszystko, co mogło stanowić jakąś wartość, teraz zaś jak drogie przedmioty rozkładał przed sobą i wsłuchiwał się w rytm własnego serca wzruszonego emocją posiadania i obawy utraty majątku.

22 IX 1968 r. - niedziela – około godziny 11.00

Prawie cały dzień poświęciłem pracy. Wstałem ok. 10.00, pozwoliłem sobie na wilegiaturę, bo wczoraj wieczorem obchodziłem imieniny Bogusława Wąsika (kolegi Andrzeja). Zaraz po śniadaniu zabrałem się do malowania. Miałem wyjątkową okazję znaleźć cudowne motywy. Pejzaż, widok z okna, nad którym od tak dawna pracuję

(poprawiałem go, przemaalowywałem i stale nie byłem z niego zadowolony), nie dawał mi spokoju. Postanowiłem się do niego zabrać i jakby dlatego dopisała mi również pogoda. Była taka sama – to samo światło, powietrze, gdy go pierwszy raz zacząłem w takich warunkach malować.

Od rana padał ulewny deszcz. Niebo było mocno zaciągnięte, ciepło szare, rozległe, potężne, a fragmenty materialne jak domy, drzewa, ulice, trawa przedstawiały niesłychanie subtelne układy kolorystyczne. Jak mi daleko moją pracą do całego bogactwa natury! Tam się powinienem stale zwracać, tam się powinienem uczyć, podpatrywać ją, obserwować i analizować. Stale mam w oczach ten dzisiejszy dzień: chmury, światła na dachach, wodę.

Rozkoszuję się takim pejzażem. Często wyobrażam sobie, że niebo holenderskie musi mieć takie niespodzianki dla swoich obywateli. Wszak to kraj nadmorski, a takich wieczornych światel, chmur, zimnej, wietrznej pogody, jakie widziałem nad morzem, nie zapomina się, choć to obrazy jeszcze jakby z dzieciństwa. Wieczorem wyszedłem obejrzeć dom, gdzie ewentualnie znajdę pomieszczenie na pracownię. Miejsce jest tuż obok mojego biura. To nie do wiary, że tak blisko pracy miałbym swój wymarzony kąt. Czuję, że to jest jakby zagadką, że spotykamy rzecz tuż obok, której szukaliśmy bardzo, bardzo daleko i tylko tam spodziewaliśmy się ją znaleźć. Pomieszczenie to ma się składać z dwóch izb, jedna 10 metrów, druga 20 metrów. W sam raz, jeśli nie wymienić takich mankamentów jak brak wody i wychodek za domem. Trzeba będzie to sprawdzić. W każdym razie jest wszystko na lepszej drodze.

Na ulicach trochę wody po ulewnych deszczach, zimne powietrze (nałożyłem po raz pierwszy płaszcz, bo temperatura spadła

do 12 stopni Celsjusza), i niebo granatowe z przecierkami chmur.
Bardzo nastrojowo, drapieżnie.

23 IX 1968 r.

/Wiersz napisany podczas koncertu dnia 20 września 1968 r./

Muzyko!

Muzyko wieczornych fioletowych tonów

Gdzie szukać Twych zatartych barw

Gdy z dawna zapomniane kształty i zapachy

Znów w burzy rozpędzonej krwi

Trwać chcę przez ten jeden szybki moment

Odwzajemnij się naszej pamięci

Swym orszakiem luster zapomnienia

Niech wszystko jest wszystkim!

I ten ton syreni niech budzi przeszłość

Z której jesteśmy my i przyszłość.

Wiersz powstał w jednym, spontanicznym akcie w ciągu dwóch minut. Zanotowałem go bez skreślenia i dopiero teraz przepisując go wprowadziłem drobną poprawkę na końcu wiersza.

Zdaję sobie sprawę ze słabości i mankamentów, które się w nim znajdują, niestety nie jestem w stanie wiersza przepracować. Jest to dowodem, że to coś, czym rzekomo jest pisanie przeze mnie poezji, jest czystym dziełem intuicji. Intuicji, która stara się wypowiedzieć doraźny, nie do powtórzenia moment.

Dzień miałem zajęty rozmyślaniami na temat mojej pracowni na Bronowicach. Zdążając na obiad obejrzałem w dziennym świetle to królestwo. Nadzwyczaj ubogie. Usatysfakcjonowałyby najbardziej romantycznie usposobionego malarza, który naczytał się i naoglądał na ekranie blasków i nędzy życia wielkich, wspaniałych twórców. Pracując w takim środowisku, nie pozostaje mi nic innego, jak pozostać równie wybitnym albo stoczyć się w nędzę i zapomnienie. Jeśli chodzi o drugie, to to, co czyni z nami los, jest jaskrawym przykładem wielkiego żartu i śmiechu. W tym mogłoby być bardzo dużo, gdyby nie było to takie smutne.

Nie przypominam sobie, czy już notowałem w tym dzienniku, że udało mi się w czasie wakacji znaleźć wspaniale położony dom (Salwator Gontynów), gdzie właścicielka wyraziła natychmiast zgodę, gdy się do niej zwróciłem, na wybudowanie na strychu pracowni malarskiej. Pomieszczenie było wymarzone na wybudowanie takiej pracowni i mieszkania przy niej. Dziś powodowany wewnętrznym niepokojem, mimo późnej pory, poszedłem zobaczyć się z właścicielką. O wszyscy anieli! Jak łatwo mieć, aby po chwili to wszystko, czym się tak cieszyliśmy, utracić. Po pierwszych słowach zorientowałem się, że jest coś nie w porządku. Intuicja mnie nie myliła. Z pracowni w pięknie położonej willi, w przemiłej ulicy, nie pozostało śladu. Jak łatwo mi zrozumieć teraz treść wewnętrzną filmu Antonioniego „Powiększenie”.

23 IX 1968 r. – noc

„Wyliczanie deszczu”

To Miasto: bruki, drzewa, kamienice

To Niebo: chmury, światło, wiatr w uliczce

Ten deszcz: Roztopił chmury, światło, bruki, wiatr

Bruki: Ich policzki gładzi szary człowiek

Człowiek: Patrzy w niebo, liczy lata

Deszcz: Spływa do oczodołów

Moczy książki i zeszyty

Ten Zeszyt: Daty, zapiski, rysunki

Ten Zapiszek: Amsterdam. To niebo nad Holandią – deszcz

Ten Deszcz: Płynie po mojej twarzy Strumieniami obrazów Vermeera.

I spływa aż do serca.

24 IX 1968 r.

Rozmawiamy sobie z ciotką. Ja leżę na tapczanie i równocześnie staram się pisać notatkę. Ciotka wróciła wieczorem z Rumunii. Opalona, lekko zachrypnięta i zadowolona. Przywiozła wiele wiktuałów, które zamierza sprzedać, aby pokryć koszty podróży. Tylko ona jedna z Polaków potrafi tak podróżować. A chyba tylko Polacy spośród wszystkich narodów podróżują w taki sposób, że nie tylko ich taka podróż nic nie kosztuje, lecz jeszcze na niej trochę zarobią. Innej narodowości turyści wydają w czasie wyjazdów ciężkie

pieniądze.

Ten przyjazd przypomniał mi moją podróż do Rumunii i odżyły we mnie wspomnienia.

Ta od kilku dni utrzymująca się sztormowa pogoda stale przywołuje mi w pamięci Mangalię. To dziwne uczucie. Nie było tam zbyt pięknie, ale widocznie było tam coś, za czym się teraz tęskni. Ciotka opowiada i jak zwykle w takich razach gestykuluje, pokrzykuje, bardzo żywa, pełna temperamentu i wesoła. Nie wierzą, gdy im mówię, ile ona ma lat. Przypomina mi to dowcip. Pewien staruszek, zagadnięty przez młodą dziewczynę o swój wiek, odpowiada: – "O! Mam już 80 lat". "Nie dałabym dziadziowi, nie dałabym" – odpowiada dziewczyna. "Ja też wcale nie proszę!" – odpowiada staruszek.

Jedyną zaletą mojej pracy jest to, że pracuję tak krótko (zaledwie 4 godziny dziennie) i otrzymuję pensję, która pozwala mi jako tako wyżyć przez miesiąc. W pracy⁵ spotykam się z Pisowiczem, który jest tam zatrudniony jako bibliotekarz. W najśmielszych przypuszczeniach nie wpadłaby mi do głowy myśl, że moglibyśmy się tam spotkać. Gdy zdradziłem mu myśli na ten temat, powiedział mi, że on również przestał już planować swoje życie w takim stopniu, w jakim to robił dotychczas. Releolno (??) jako nerwicowiec prowadził długofalowe plany w taki sposób, że przewidywały one poczynania na bardzo daleki okres. Lubię go bardzo i rozmowa z nim, choć ma „płynną mowę”, jest dla mnie przyjemnością, czego nie mogę powiedzieć o moich ludziach z pracy, w każdym razie nie wszystkich.

⁵ Chodzi o krakowskie Biuro Urządzeń Techniki Jądrowej (przyp. A.P.)

Dziś była Magda S. Nie zastała mnie. Rozmawiałem z nią przez telefon. Jest w Krakowie do jutra – 4.50 rano przejazdem z Zakopanego. Wyjeżdża potem po kilku dniach nad morze, prowadzić obserwacje odlotu ptaków. Wspaniała, pełna romantycznego polotu dziewczyna. W niej dostrzegam to, co nazwałem w mojej ideologii życia, poezją życia: niezależność, wyzwolona nieskrępowana wyobraźnia duchowa i intelektualna, która pozwala jej prowadzić życie składające się z rzeczy prostych, z których czerpie doświadczenia i gromadzi to największe bogactwo życiowe. Wspominała mi o moich wierszach. Chciałaby bardzo je przeczytać. Ciotka Anna jakoby bardzo chwaliła je. Trudno to robić, bo wszystko w nich jest bardzo prymitywne, ale to przecież moje wiersze, moje dzieci i kocham je.

25 IX 1968 r.

Wieczór spędziłem w towarzystwie Zosi. Znajomość dawna, pierwsza randka. Było miło, pogodnie. Dowcipkowaliśmy i robiliśmy żarty z rzeczy poważnych. Na pierwszym spotkaniu kupowałem buty, bo nie mogłem chodzić z powodu małego rozmiaru noszonych (kupiła mi je ciotka Anna). Obciąłem krawat, bo był za długi – w obecności przerażonych ekspedientek pierwszego sklepu, do którego wszedłem. Beztroska – zawsze za tym trochę tęsknimy. Później byliśmy na „Fiti – piórko”. Bardzo odpowiedni do nastroju tego spotkania. Film wesoły, optymistyczny. Miejscami bardzo poetycki obraz. Po kinie wracaliśmy uliczką koło parku Jordana przez Błonia, aż do jej miejsca zakwaterowania: ul. Smoleńsk, nad byłą knajpą, obecnie spółdzielnią, kamienica narożna. W przyszłym tygodniu do mnie zatelefonuje. Czekamy. Przeprowadziłem dzisiaj

uprzejmą i zręczną rozmowę z Bożeną. Obiecała mnie odwiedzić przed swoim wyjazdem na wiercenie geologiczne pod Tarnów. Twierdzi że będzie dziennie 2 godziny pracować. Co będzie robić z resztą czasu, zwłaszcza w długie, jesienne i zimowe wieczory? Moim zdaniem praca wprost wymarzona dla literata. Posiedzi sobie taki geolog pisarzyna trochę nad próbkami czy przy wierceniach, a potem do powieści lub sprawozdawczości. Co może być piękniejszego?

26 IX 1968 r.

Poważna wiadomość: Niebezpieczny stan zdrowia ciotki. Po zmierzeniu ciśnienia okazało się, że ma 250. Oznacza to, że nie może mieć żadnych wzruszeń, emocji, które by wpływały na pracę jej serca. O umiarkowanym trybie życia, diecie, nie mówię. W biurze miałem poważny kłopot, który wynikał ze złośliwej działalności jednego z pracowników. Nieoczekiwanie dla mnie, gdy byłem przygotowany na poważne konsekwencje (spłata 2.500 zł), cała sprawa obraca się przeciw niemu. Nie wiem, jak się z tego ambarasu wygrzebie, ale nie mam chyba powodu go żałować, jeśli to on na mnie chciał tę pułapkę zastawić, w którą sam teraz wpadł.

Rozmawiałem z Wąsikiem na temat wieczoru muzycznego u niego w tę sobotę. Wystąpiłem z propozycją przeczytania przy tej okazji kilku swoich wierszy... Można sądzić, że brak mi samokrytycyzmu. Nie wiem, czy jeszcze do tego dojdzie, ale zdaję sobie sprawę, że z jednej strony kusi mnie ta pewna próba, z drugiej wstrzymuje przed tym poziom twórczości. Cóż robić? I tak wybiorę to, co w danej chwili będę uważał za właściwe.

2 X 1968 r.

Już krzyżyk przy dacie, a mnie, jakby nie było, też przybywa, a nie ubywa tych latek. Czym mogę się wykazać? Bardzo niewiele jest tego. Jakież strzępy myśli, jakieś fragmenty może nawet interesujących zamierzeń, ale gdzież one są? Gdybym dziś umarł i w ręce ludzi, którzy chcieliby coś o mnie powiedzieć, dostałyby się te materiały, cóż mogliby na ich podstawie wywnioskować. Gdyby mnie przyszło dać odpowiedź na to, jaki jestem, wydaje mi się, że musiałbym się odwołać tylko do tych pokładów, które nie zostały ujawnione ani innym ani mnie samemu. Gdyby mówić o mojej naturze, to prawdą byłby obraz ukazujący to, czego w tej chwili nie ma, nie zaś to, co istnieje. To tak jakby ktoś, kto stanął w szczerym polu i wskazując palcem na horyzont, rzekł: to nie jest już orne pole, to jest wielki przemysłowy ośrodek. Z punktu widzenia logiki – absurd, ale czy tylko? Straciwszy wiele złudzeń, nie straciłem pewnego przekonania, a raczej bardziej je ugruntowałem, to jest to, że bardzo mało znam swoje możliwości i bogate pokłady tkwiące w swojej naturze. Czy więc nie jest wielką rozkoszą poznawanie siebie, a przez to poznawanie świata. Byleby tylko znaleźć dogodniejsze warunki do pracy!

Coraz bardziej utwierdzam się w wierze co do swojego powołania. Nie mam zbyt dużo czasu. Więc każdy dzień przynosi nowy powód do utyskiwania na swój mierny dorobek. Maluję, lecz to, co do tychczas robiłem i robię, jeszcze na pewno nie przypomina tego całego pełnego procesu twórczego. Etap wstępny, bardzo długi, powolny, a sądzę, że owocny (w każdym razie, jeśli chodzi o docho-dzenie do pewnych zdobyczy wiedzy drogą koncepcyjną).

Dziś zdążając do pracy, w pewnym fragmencie ulicy dojrzałem nowy, poważny temat o charakterze filozoficznym, chciałbym mianowicie przez pejzaż wyrazić pewne uczucia związane z odczuwaniem tajemnicy. Tajemnicy docierania do natury.

3 X 1968 r.

Już upłynęło kilka dni od ważnego dla mnie wydarzenia: w sobotę czytałem w nielicznym gronie swoje wiersze. Szczerze przyznaję, że poczułem zawstydzenie, gdy po recytacji usłyszałem uwagi. Np. pewna osoba miała pretensje z powodu małej liczby prezentowanych wierszy (czytałem prawie wszystkie). Ta sama osoba trochę później niesłychanie dociekliwie starała się poznać moje pobudki, dla których piszę, chcąc znaleźć odpowiedzi na to, czy piszę dla siebie czy dla innych. Oczywiście po takiej reakcji niektórych słuchaczy poczułem ogromną złość na siebie, że się tak „wypiąłem”, narażając się na przykrości. Znalazł się jeden słuchacz, który acz niezbyt delikatnie, ale w istotny sposób precyzował swoje zdanie na temat pewnych fragmentów tych wierszy. Korekta dotyczyła jak mówiłem, fragmentów, czystości stylistyki poetyckiej, natomiast krytyk nie uwzględniał całości utworów i ich myśli. W takim duchu prowadzona krytyka nie była zbyt pożyteczna – była nawet szkodliwa, ale uważam, że jednak coś na tym skorzystałem. Znajduję się w takim stanie, gdzie wszelka krytyka powinna być zachętą i delikatną wskazówką, ale nie krytyką. Jak dziecko, które uczy się chodzić. Nic nie pomoże mu, gdy rodzice będą krytkować jego nieskoordynowane próby pokonania na własnych nogach przestrzeni.

Godz. 1.30 – niedziela/poniedziałek

Nie śpię od dwóch i pół godziny. Po wspaniałym spacerze wróciłem do domu. Cicho rozebrałem się i położyłem się do łóżka.

Jest moją wewnętrzną powinnością, abym przed zaśnięciem czytał lub pisał tak długo, aż wywoła to oczekiwany efekt. Brzmi to szczególnie komicznie, że w funkcji, jaką jest czytanie, można znaleźć nie tylko treści poznawcze, emocjonalne lecz również usypiające.

Najlepszy chloroform to jakiś podręcznik poważnej wiedzy – działa błyskawicznie. Wypadki bezsenności zdarzają się teraz kilka razy z rzędu. Przed kilku dniami całą noc spędziłem w łóżku nie zmrzywszy oka. Ohydne jest takie jałowe leżenie. Odczuwam coś wrogiego w stanie bezsenności, albowiem sen jest też jakąś czynnością i jeśli nie możemy jej pełnić ani też żadnej innej, wówczas popadamy w stan napięcia nerwowego, często o charakterze erotycznym i te zauważone bodźce, zupełnie nie umożliwiają zapanowania nad organizmem. Najlepiej wtedy jest wstać i zająć się czymś, o czym wiemy, że może nam przynieść uspokojenie przez przeniesienie myśli z jednego obszaru w drugi.

Może w ogóle nie należy pory spania traktować tak serio. Jeśli nie możemy zasnąć, jest to widomy znak, że nie jesteśmy zmęczeni, lub też – że ciąży na naszej psychice jakiś kompleks. Uważam, że minie mi ta dolegliwość, gdy za kilkanaście dni znajdę się już na nowym mieszkaniu i będę układał swoje potrzeby w ten sposób, żeby zostały prawidłowo spełnione. Dzisiejszy dzień był typową niedzielą jesieni – zamglony (te krakowskie mgły!), wilgotny, doskonale szary i doskonale zielono-żółty. Wyszedłem przed obiadem przespacerować się pomimo padającego deszczu

i wstąpiłem na nowo otwartą wystawę francuskiego malarstwa współczesnego. Nie ujrzałem tam ani jednej rzeczy, którą mógłbym z pełnym przekonaniem wyróżnić i określić jako wybitne dzieło. Było kilka prac, na które zwróciłem uwagę, lecz w zasadzie wyszedłem z niej z przekonaniem, że ze współczesnym malarstwem polskim możemy w sposób zdecydowany konkurować z taką potęgą, jaką jest Szkoła Paryska i reszta. Zwracałem początkowo uwagę, poprzez alarmujące dla mnie wiadomości w naszej prasie, w doniesieniach z najnowszych wydarzeń plastycznych, że współczesne malarstwo obywa się już prawie całkowicie bez pędzla i tradycyjnego płótna. Wiadomości okazały się fałszywe. Większość prac malowana była techniką „tradycyjną” i jedynie zawierała pewne próby urozmaicenia warsztatu przez odciskanie, szpachlowanie, przecieranie, rozlewanie. Było kilka prac zajmujących się materia, ale bardzo słabe. W ogóle – niektóre prace swoją naiwnością nie mieściły się w skali tego wydarzenia. Wszystkie prace natomiast były potężne formatem, to też coś.

Po obiedzie malowałem aż do pory, w której zmierzch, który teraz wcześniej zapada (około godz. 5.00), uniemożliwił mi dalsze malowanie.

Zacząłem ciekawą pracę: z szarego zupełnie zmroku wyłaniają się w bardzo nieznaczny sposób kontury postaci. Malowałem własne odbicie na ścianie kuchni. Chcę uzyskać wrażenie całkowitego zatarcia przedmiotu w tonie szarego przygnębiającego światła.

Jestem wdzięczny tym, którzy odkryli pointyizm, metodę tak cudownie dopasowaną do mojej osobowości⁶.

⁶ Co za bzdura! Wypisywałem ją tyle lat temu (przyp. Autora).

Dziś w radiu usłyszałem fragment z „Zazdrości i medycyny”, z której zapamiętałem takie oto zdanie, które w przybliżeniu brzmi: „Pojedynczo nie jesteśmy jeszcze ludźmi. Dopiero kobieta i męczyzna stanowią człowieka”.

W nocy, przed godziną 10.00, wyszedłem z domu zaczerpnąć raz jeszcze powietrza. Bolała mnie trochę głowa, odczuwałem potrzebę przestrzeni, dużo, dużo powietrza i uspokojenia swoich nerwów po niepowodzeniach twórczych (po obrazie z postacią zabrałem się do szkicu obrazu Pejzażu fantastycznego – nic mi się w nim nie wiodło). Wybrałem się jak zwykle, gdy chcę, aby spacer mnie przeniósł w inne rejony myślenia, na Kopiec Kościuszki, szlakiem al. Kościuszki, św. Bronisławy, alei Waszyngtona. Spacer, do którego opisanie trzeba by było mieć pióro artysty – pisarza.

Wielokrotnie, gdy po długim przebywaniu we wnętrzu wychodzę na zewnątrz, pejzaż miasta, widok ulic, domów, drzew, światło, powietrze i woda – to wszystko razem zmieszane uderza we mnie cudownym wrażeniem konkretności, porywa mnie wtedy ta chwila, chciałbym wtedy stać się człowiekiem, który zdolny jest przyswoić sobie ten moment swojego życia przez jego powtórne przeżycie. Przeżycie artysty, który wszystko przenika swoim umysłem i uczuciem, który potrafi to wydarzenie, którego jest świadkiem, zrozumieć.

Zrozumieć to znaczy pokochać tak silnie, że nic nie będzie zdolne usunąć tego obrazu z człowieka. Jak cudowną rzeczą jest rozumieć! Częściowo i to, że nie mogę jeszcze dać filozofią swoją odpowiedzi na tysiące pytań, jakie sobie stawiam, jest powodem, że nie mogę znaleźć wewnętrznego spokoju. Może jak go znajdę, przestanę już żyć?

8 X 1968 r.

Każdy dzień, choć z pozoru podobny do poprzedniego, obfituje w wiele rozmaitych małych wydarzeń, które jednak przecież wypełniają nasze życie najgęstsza treścią. O ważności i bogactwie małych wydarzeń przypomina mi piękny artykuł Parandowskiego, ogłoszony w jednej z niedawnych „Poezji”, w której pisze o wrażeniu, jakie wywarł na nim dom Goethego. Rozmyśla nad jego twórczością i na tle tych rozważań zdradza się ze swojego pragnienia przeczytania kiedyś takiego dzieła, w którym autor zdołałby opisać cały jeden dzień Goethego. W tym zapisie zawarte byłyby najdrobniejsze chwile, najskrytsze myśli i uczucia, wszystkie uczucia i wrażenia. Muszę przyznać, że myśl stworzenia takiego dzieła zafascynowała mnie. Ile dałoby się opisać w takiej księdze – zdjęciu rentgenowskim, niepowtarzalnych wydarzeń! Większość literatury uczęszcza wszak utartymi szlakami. Tych, którzy te szlaki opuszczają i tworzą nowe, nazywamy genialnymi lub wybitnymi. Ich jest jednak niewiele, a opisanie świata nadal czeka. Na dobrą sprawę można powiedzieć, że tradycje literatury realistyczno-naturalistycznej są bardzo młode i nie sięgają dalej niż 200 lat wstecz. W związku z czym nie powstała jeszcze i taka literatura, która mogłaby zasycić się problematyką podstawowej egzystencji człowieka, jak też nie stworzono dostatecznie dobrych metod analizy i badań tej egzystencji.

Na służbie stoi tu psychologia, socjologia i inne jeszcze nauki, ale one w małym stopniu przenikają do sztuki. Jest to jeden z najpoważniejszych rozdźwięków między sztuką a nauką.

Sztuka, moim zdaniem, w znacznym stopniu (tu za dobry uznaję zwrot "w znacznym stopniu", albowiem nie trzeba wykazywać, w jak

znacznym), tkwi w nawykach i schematach myślowych epok przeszłych, jeśli chodzi o zdolność poznawania człowieka. To świat ten poza człowiekiem zmienia się dla artysty w niesłychany sposób, natomiast człowiek pozostaje ten sam. Mogę się z tym poglądem nawet zgodzić, bo wydaje mi się, że w istocie rzecz ma się podobnie. Co innego jest jednak tu ważne, a mianowicie: łatwe, bo oparte na obserwacji relacji z przeobrażeń świata, wszystko przeżywa niespotykany rozkwit. Cóż z tego, jeśli o samym człowieku tak mało wiemy, i tak mało możemy się dowiedzieć? To wiadomo, że tylko ludziom wybitnym lub genialnym udało się zmienić to, co się cudownie utrwała, osusza w naszych poglądach, wzorowanych, przyjętych bezkrytycznie, z dawnych pojęć.

Pragnąłbym wiele jeszcze słów na ten temat napisać, lecz nie sposób to czynić.

Oczy zmęczone piękną od bardzo niewłaściwego światła. A notatki prowadzę dosłownie na kolanie w łóżku. Większość ich jest notowana w takich właśnie warunkach, do tego na sąsiednim łóżku porusza się ciotka, co oznacza, że nie śpi, że najwłaściwiej by było, gdybym zgasił jak najszybciej światło, co czynię zamykając symbolicznie dzień dzisiejszy snem. Dobranoc.

10 X 1968 r. - czwartek – Aleja Waszyngtona

Dziś, dnia 11 X 1968 r., podjąłem się prowadzenia zapisków w tym notatniku. Służyć mi ma jako przedmiot, z którym będę starał się nie rozstawać. Wszystkie wrażenia dnia, których nie jestem zdolny zapamiętać, lub zarejestrować w swym dzienniku, będę starał się umieścić w tym zeszyciku.

Przypuszczam, że przyjdzie to z pewną łatwością, ponieważ zauważyłem u siebie wyrabianie się pewnych cech systematyczności oraz potrzeby prowadzenia takich zapisków. Słowa te notuję na pustej zupełnie drodze alei Waszyngtona. Staje się ona miejscem moich częstych spacerów. Gdy jest już późna godzina, ubieram się w płaszcz, beret na głowę i podążam na moje ulubione miejsce przechadzek. Trochę niebezpieczna jest do wędrowania samotnie, lecz ile w tym wrażeń. Dobrze się stało, że wpadłem na pomysł prowadzenia takiego notatnika. Rzecz prosta banalnie, ale jak trudna do odkrycia.

Spacery uspokajają, pozwalają przyglądać się uczuciom, są miejscem do rozmyślań. Sądzę, że nadejdzie jeszcze ta chwila, i to może wkrótce, że notacje w tym dzienniczku będą dla mnie czynnością tak spontanicznie tworzoną i realizowaną z precyzją i łatwością, że nie będzie mi to utrudniać równoczesnej obserwacji świata. W tej chwili zbyt jeszcze muszę się skupić nad tym, co czynię, abym mógł równocześnie być aktywnym świadkiem świata.

Dziś po raz pierwszy w życiu zobaczyłem Buffeta⁷ Nazwisko głośne, lecz sztuka jego nie przemawia do mnie.

W trakcie malowania obrazu „Most Dębnicki” dokonałem pewnych spostrzeżeń: otóż w obrazie ujawniają się dwa miejsca, dominanty, które wyznaczają architekturę obrazu.

Jest nim drzewo umiejscowione w okolicy złotego podziału.

⁷ Bernard Buffet – francuski malarz i grafik.

Swoim charakterem oraz barwą wydobywa się na centralne miejsce w obrazie. Leży ono na osi wyznaczonej przez rytmy dwóch poprzednich drzew. Drzewo jest trzecim, najmocniejszym elementem w tych rytmach.

Jest nim punkt na obrazie zlokalizowany w lewej stronie obrazu tuż przy samej krawędzi. Wyznaczony jest przez przecięcie się w przestrzeni (w domyśle obserwatora szeregu linii): linii dróżki, linii drzew, linii mostu, linii horyzontu.

Linie te układają się w kompozycje wachlarza. Punkt ten podkreślony jest bardzo delikatnie walorem w najbliższym sąsiedztwie. Odpowiednikiem jego jest duża płaszczyzna zieleni drzewa po prawej stronie obrazu. Oba te punkty stanowią zatrzymanie w obrazie.

12 X 1968 r.

Notuję w biurze prezydium R.N. Zwierzyniec, godz.10.00. Wezwany zostałem wczoraj do referatu lokalowego w sprawie przydziału pracowni. Jest to już druga oferta. Zobaczę, czy korzystna, czy też podobna do poprzedniej. Gdy notuję, przypominają mi się słowa Wandy Damskiej, kreślarki z mojego biura. „Gdybyś chciał – mogłeś mieć mieszkanie i pieszczoty”. Chodziło tu o mariaż. Cena zbyt wysoka jak za takie dobrodziejstwa.

Widziałem nowo proponowane pomieszczenie. Mieści się przy ul. Salwatorskiej. Dobrze położone, niedaleko od tramwaju, w bardzo cichej ulicy. Jedyne mankament, jeśli chodzi o położenie, to zapachy, jakie często unoszą się od fabryki octu na ul. Królowej Jadwigi. Jeśli mam coś powiedzieć na temat lokalu, to trochę później może to nastąpić. Widziałem z zewnątrz. Widziałem gorsze. Może się da to wszystko rozumem jakoś doprowadzić do ludzkiego stanu.

Na razie bardzo zaniedbane i brudne. Nasi kochani rodacy uważają, że jeśli mieszkają w trudnych warunkach mieszkaniowych, to wobec tego mogą takie domy wyglądać jak stajnie. Chciałbym już coś mieć, żeby można było jakoś startować.

Przesiedziałem trochę godzin u Plastyków. Jest tam bardzo dużo ludzi, którzy nic nie robią poza tym, że stale ich można spotkać przy szachach, kawie, rozmowie. Beznadziejnie jałowe życie, gorsze niż nadrzędnego referenta, który biurokracieje, lecz przynajmniej stara się czynić swój wysiłek potrzebnym.

18 X 1968 r.

Wychodząc do pracy rankiem na placu Kossaka widziałem dramatyczną scenę ścinania wspaniałego kasztanowca. Był to widok tak sugestywny, przejmujący, że opanowała mnie przemożna chęć dania dowodu swego artystycznego zaangażowania przeciw temu brutalnemu naruszeniu równowagi między człowiekiem a naturą. Zamierzeniem moim jest stworzenie symbolicznego obrazu odwołującego się do szerokiego tła społecznego. W pewnym sensie będzie to obraz (jeśli taki powstanie), duchem zbliżony do wspaniałej sztuki Bruegela. Od kilku dni jestem posiadaczem ciekawie wydanego albumu poświęconego temu malarzowi.

25 X 1968 r.

Od dwóch dni jestem już na nowym. Mieszkanie, które zająłem, znajduje się przy ulicy Retoryka 9, w starej, niepraktycznie zbudowanej kamienicy, w sąsiedztwie spółdzielni spożywczej i ulicy Smoleńsk. Dalej, zaledwie w kilka minut do Kamilki. Trzeba mi było czekać równy rok, aby wynająć coś odpowiedniego. W tym notatniku

nie wyrażałem zbyt wiele swoich uczuć i niewiele znaleźć można śladów trudnych chwil, które panowały w moim życiu! Bardzo się męczyliśmy – ludzie o różnych zapatrywaniach, mentalności i temperamentach. Sądzę jednak, że ciotka K. wykazała nadzwyczajny hart ducha wytrzymując ze mną przez ten cały rok. O mnie nie ma co mówić, bo nie miałem przecież wyjścia. Było już kilka takich chwil, gdy chciałem wszystko to porzucić i przenieść się gdzie bądź. Nie doszło jednak do tego dzięki wielkiej serdeczności i cierpliwości cioci. Na pewno bardzo potrzebowała odpoczynku i swobody, które jej zabrałem, lecz mimo tych bardzo poważnych dolegliwości nie pozwoliła mi pójść na miejsce, które jej zdaniem nie odpowiadałoby moim potrzebom. W przypadkowy lecz cudownie szczęśliwy sposób stałem się posiadaczem tymczasowym bardzo dobrego pokoju, w miarę samodzielnego i z pełnymi wygodami, kuchnia, łazienka, telefon. W sąsiednim pokoju (za łazienką, która nas przedziela), mieszka syn p. Dunik – Ryszard. Człowiek nieszczęśliwy przez swoje fizyczne i psychiczne upośledzenie. Wysoki nad miarę swych wątych kształtów, garbaty, z uszkodzeniami mięśni twarzy i nieproporcjonalną czaszką, tworzy obraz człowieka wymagającego szczególnie umiejętnej opieki. Czy potrafię mu ją stworzyć? Staram się moralnie wpływać na niego. Jest posłuszny i zainteresowany w obopólnym, zgodnym pożyciu, lecz bardzo łatwo będzie go popsuć niewłaściwym zachowaniem. W pokoju cisza. Jest koło godziny 10. Idę spać, bo jutro trzeba mi wstać wcześniej, aby na 7.30 być w pracy. Stale jeszcze ciągnie się sprawa urządzania pokoju ekspozycyjnego. Do obrzydzenia!

3 XI 1968 r. - niedziela

Pytam się: Co to jest realizm poetycki? Moja najbardziej ogólna odpowiedź będzie wtedy brzmiała: „Jest to próba ZROZUMIENIA. Próba poznania świata”.

Podczas porannej toalety, gdy jak to zwykle, często bywa, rozmyślałem nad genezą moich malarskich zainteresowań. Po raz pierwszy, może przypadkiem (mam na myśli podświadomie), połączyłem ze sobą dwa do tej pory rozdzielne pojęcia w mojej skromnej sztuce, a mianowicie realizm i poezję.

Do obu pojęć mam swój własny, formalny stosunek, który postaram się przy najbliższej sposobności wyłożyć na piśmie. Chodzi mi jednak o to, że zagadnienia te, które starałem się w swojej sztuce ujmować, nigdy do tej pory nie zostały połączone w swoistą całość. Termin tego nowego pojęcia brzmiałby: REALIZM POETYCKI.

Byłem tak dalece zaabsorbowany tym odkryciem, że natychmiast chciałem zadzwonić do któregoś z ekspertów historii sztuki, którzy mogliby mi wyjaśnić, czy tego rodzaju pojęcie znajduje się już w terminologii. Szukając myślami w swych skromnych wiadomościach, na coś takiego jeszcze nie natrafiłem. Być może, że z takim pojęciem mógłbym się spotkać na terenie literatury. Zadaniem moim będzie jak najszybsze zebranie informacji na ten temat i dokonanie właściwych opracowań tych wniosków, które dotychczas mi się nasunęły.

Słusznym jest pierwsze zdanie tej notatki, że realizm poetycki, ku pewnemu zdziwieniu, jest próbą wejścia w bezpośredni kontakt ze światem, ze zrozumieniem go. Myśl ta powróciła do mnie dziś, gdy korzystając ze wspaniałej, ciepłej pogody wybrałem się na miły spacer z Woli Justowskiej czerwonym szlakiem, aż za Balice.

W tej chwili siedzę sobie na zielonej jeszcze polanie opodal wsi Chełm. Obserwuję piękną, jesienną przyrodę, cudowną koronkę gałązek brzoźowych, zachwykam się pokojem kraju, w którym przyszło mi mieszkać. Kocham go, podziwiam, chciałbym dla niego pracować, być mu pożytecznym. Wart jest ten świat, żeby dla niego żyć. Jeśli chcemy żyć twórczo.

Dla mnie piękno jest wtedy możliwe do przyjęcia (mogę powiedzieć – skonsumowania), gdy mogę to piękno przyjąć, przetworzyć, spożytkować. Ze swojej rozkoszy życia każdy człowiek powinien się rozliczyć, stworzyć nową materię.

Idąc drogą w gęstwinie nagich drzew, dojrzałem kopułę obserwatorium. Skusiło mnie to do chwilowego zatrzymania się i zanotowania kilku myśli, które w związku z tym przyszły mi do głowy. Od dłuższego czasu myślę o tym, że trzeba będzie się wybrać którejs nocy na obserwację nieba do tego obserwatorium. Oczywiście uprzednio po przygotowaniu gruntu do takiej wizyty.

Przypomniałem sobie rozmowę z Głuszyńskim – gdy dyskutowaliśmy nad szczegółami planu mojego domku, który sobie wymarzyłem, Głuszyński zdradził mi wtedy swoją koncepcję. Miałby to być dom składający się z dwóch przeciwstawnych sobie elementów. Ze szklanego, poziomego tunelu, który zanurzałby się w zieleń lasu i skonstrastowanej z nim kamiennej wieżycy, na której szczycie znajdowałoby się prowizoryczne obserwatorium. Muszę przyznać się, że urzekł mnie swoim poetyckim widzeniem ten pomysł. Chciałbym kiedyś taki dom odwiedzić, lecz zamieszkać w czymś takim nie pragnę, raziłby mnie swoją ideową sztucznością.

Jestem przejęty wspaniałościami natury. Obserwuję zachód słońca, tak przejmująco pięknego widowiska od dawna nie obserwowałem. Cudowną właściwością jesteśmy obdarzeni, okiem, widzeniem. Barwy tego zachodu mają żywot motylka. Radują nas swoją przewspaniałą kompozycją, aby za moment rozplynać się, zmienić i wystąpić w nowej szacie. Jednak już może nie w tak wspaniałej. Choć waham się użyć tu tego sformułowania, to, co w tej chwili rozgrywa się w przyrodzie warte jest najdalszych wycieczek. Jak to cudownie, że kiedyś będę mógł dać wyraz swojej szczęśliwości i zachwytowi nad tymi zjawiskami!

Szosa prowadzi mnie przed siebie. Po prawej stronie, nad horyzontem, żarzy się zachodzące słońce. Za chwilę, dosłownie za może minutę zniknie jego korona wśród lasów i pól. Lecz niebo jeszcze wrze. Spoglądam na nie i czuję się, jakbym zasiadł w gigantycznym amfiteatrze i obserwował największe widowisko świata. „Zachód słońca za horyzontem”. Odwracam głowę i wszędzie dzieją się rzeczy godne najwspanialszych opisów.

3 XI 1968 r. - niedziela wieczorem

Dobrze spędziłem ten dzień. Doznałem wielu niezwykłych zdarzeń, dla których warto żyć. Dzień ten jednak jest chyba szczególnie uroczysty, bowiem wydaje mi się, że w tym dniu dokonałem doniosłego odkrycia w dziedzinie swojej sztuki. Podekscytowany ponad miarę, chciałem telefonować do historyków sztuki (rzecz tę zresztą opisałem w notatniku, który miałem na wycieczce). Nie przeceniam faktu. Zdaję sobie dobrze sprawę z niejasności, jakie może budzić ta koncepcja. Muszę nad jej skonkretyzowaniem teoretycznie popracować. Najważniejsze jest to, że znalazłem

brakujące ogniwo w mojej filozoficzno-teoretycznej podstawie do sztuki. Odkrycie wiąże w jedną całość to wszystko, co było rozerwane niespójnie i często podświadomie. Stale powtarzam i będę powtarzał, że to, co podświadome, jest bezproduktywne. Intuicja jest sygnałem, wskazówką, lecz od rozumu żądamy, aby dał pełną odpowiedź „jak jest”.

W czasie włości powróciła do mnie myśl uporczywa, nierozwiązalna, konfliktowa, jak pokierować swoimi losami, abym cały mógł oddać się tylko malarstwu. Zdaję sobie sprawę, że to jest jeszcze niemożliwe, lecz nie mogę dopuszczać do tego, aby pod pretekstem nierozwiązanej bazy materialnej kryło się zwykłe nieróbstwo. Trzeba ruszać całą parą. Całą parą naprzód!

To hasło powinno zawisnąć w moim pokoju (i kto wie, czy tego nie zrobię), aby mi stale przypominało o upływającym czasie i swoich ambicjach. Aby mi przypominało tak długo, aż nie wyrobię w sobie nawyku wytężonej pracy. Teraz mam ku temu wprost wymarzone warunki, więc nie mogę się skarżyć, że nie mam możliwości. Chyba nie jeden pozazdrościć by mi mógł takich możliwości. A więc do wytężonej i mądrej roboty! Każdą wolną chwilę należy poświęcać na pracę, a nie w beczynnym marazmie dni szarych jak jesienne niebo spędzać swój żywot. Wiem, że piszę trochę brednie i huraslogany, ale mam potrzebę popsioczenia na swoją obrzydliwie leniwą naturę. W ciągu tego tygodnia powinienem założyć katalog, w którym będę prowadził szczegółowe notatki dotyczące powstałych obrazów. Dzięki temu zeszytowi będę mógł zabezpieczyć inwentarzowo wszystkie swoje dzieła, a przede wszystkim będzie mi on potrzebny przy śledzeniu swoich poczynań artystycznych (kontrolowaniu i wytyczaniu nowych celów). Na pomysł takiego

notatnika wpadłem już dość dawno; wówczas jeszcze miało to służyć zabezpieczeniu przed plagiatem: jeśli wszystkie dzieła będą zinwentaryzowane i opisane w albumie, wówczas dokonanie fałszerstwa jest prawie niemożliwe, albowiem dubluje dzieło pod tym samym, kolejnym numerem z albumu, a wówczas jest już bardzo łatwo o sprawdzenie autentyczności dzieła przez porównanie na drodze ekspertyzy.

5 XI 1968 r. - wtorek

Staram się wypełniać swoje postanowienie.

Przed zaśnięciem biorę w rękę notatnik i piszę – równocześnie płucząc gardło. To musi wyglądać zabawnie. Rozkoszuję się swoją swobodą i wygodami, w jakich się naraz znalazłem. Siedzę w czystej pościeli, wszystko dokoła jest przyjemne, intymne, ciepłe, pożyteczne i posłuszne mojej woli. Warto zapamiętać, zanotować takie stany. Jest mi po prostu bardzo dobrze. To uczucie jest spotęgowane myślą, że rozkoszowanie się tymi warunkami jest podwójnie przyjemne – albowiem jest przyjemne – służy stworzeniu właściwej atmosfery do pracy. Ponieważ notuję tu również rzeczy pozornie nieważne, wspomnę, że przed momentem przez moją twarz przebiegł mały majacek. Ta dygresja, którą tu wprowadzam, poucza mnie, że jest koniecznym, abym opracował i nauczył się nowego rodzaju notatki w dzienniku. Bardziej zwięzłej, posługiwania się dokumentem. Sądzę, że dzięki tym zmianom uzyskam możliwość wprowadzenia większej ilości informacji, nie tracąc przy tym na sensie przekazywanej informacji. Dziennik ma mnie poza tym uczyć nowej formy pracy literackiej, trzeba będzie więc tego przestrzegać, o ile potrafię w takim systemie pracować.

Muszę wspomnieć, wracając do moich rozmyślań nad przyjemnościami tego domu: jest jeszcze to, że do tej pory od dzieciństwa i jeszcze wcześniej, nie miałem takich właśnie bardzo odpowiadających mojemu temperamentowi warunków. Spoglądam na objętość dziennika, i wydaje mi się, że już wkrótce się ze sobą rozstaniemy, zakupię wtedy drugi i rozpocznę nowy etap. Myślę, że bardziej pomyślny, bardziej zrozumiany.

Wieczór po powrocie od Kamili wypełniłem pisaniem korespondencji i sprzątaniami. Dziś po raz pierwszy spotkałem, po wielu niedopełnionych zobowiązaniach z jej strony, Dorotę. Nie znam jeszcze jej nazwiska. Wydaje się być inteligentna, choć niestety niesolidna jak obecnie większość młodego pokolenia łącznie ze mną. Spotkanie trwało kilka minut. Była zajęta pisaniem na maszynie tez zjazdowych – tak mówiła. Trudno teraz wierzyć. Umówiłem się na jutro. Pomyśleć, że mogłem przez kilkanaście dni trochę za nią szaleć. Wszystko w jednej chwili bardzo przybladło i stało się zwyczajne. Należę do ludzi, którzy żyją abstrakcyjnymi ideami. Bardziej swoją wyobraźnią się karmią, niż biorą pod obserwację konkretną rzeczywistość. A przecież mam taką, taką głupiutką teorię na temat pewnego stopnia powodzenia życiowego, to jest stosowanie umiejętnej taktyki gry, jaką jest życie. Że człowiek, który potrafi głęboko analizować zjawiska i wyciągać wnioski ze swoich doświadczeń, ten, wiążąc ze sobą wiadomości, dobrze syntetyzując, osiąga znacznie lepsze rezultaty od tego, który prowadzi życie chaotycznie. Cóż z tego, kiedy teoria osobno a praktyka osobno.

6 XI 1968 r. - środa

Na pewne rzeczy, które mnie spotykają, brakuje mi czasem zdolności oceny. Jeśli, uczuciowo zaangażowany, staram się zdobyć sympatię młodej dziewczyny, która podczas rozmowy jest bardzo przychylna i co ważne inteligentna, a następnie składa dowód jaskrawej niesolidności. Ucieszony usprawiedliwieniami, powtarzam epizod z identycznym skutkiem. Jeśli to powtórzy się jeszcze raz i jeszcze raz, można to nazwać tylko głupotą... nieprawdaż? Teraz wiem, że błędem było angażować się w jakikolwiek tylko sposób w tę stronę. Doświadczenie bezpośrednio pomaga tylko poznać fakt, nic natomiast nie można powiedzieć o samym zjawisku. Bez prób nie ma wiedzy. Tylko, że te próby równocześnie robimy na swoim żywym ciele. Serce darte wielokrotnie boli na początku bardzo, potem zastyga osłaniając się skorupą rutyny, zniechęcenia, obojętności. Wielu negatywnych cech. Mam uczucie, jak gdyby odbywał się na mnie od nieskończenie długich lat proces stałej destrukcji pozytywnych cech moralnych; że w miejscach, które jeszcze jako jedyne uważam za miejsca wsparcia duchowego, nie tylko zawiodły mnie całkowicie, lecz jeszcze właśnie tam znalazłem najwięcej bólu. Miłość stała się dla mnie serią głębokich porażek wewnętrznych i zewnętrznych. Z tym, że tych zewnętrznych jest niewspółmiernie więcej.

Nie piszę tych słów absolutnie w stanie jakiegokolwiek depresji, głębokiego uczucia zawodu. Fakt jest faktem; to zaś, że dopiero teraz to notuję, dowodzi jak wiele szczerych, najistotniejszych rzeczy codzienność każe mi zapisywać, lecz nie robię tego.

Przeczytałem fragment wspomnień Putramenta – uczucie wstydu za tego człowieka. Czytałem w tejże samej „Współczesności” artykuł

na temat mormoryzmu (??) polskiego. Fatalnie napisany, nic nie można się dowiedzieć. Stylem nie odbiega od typowych artykułów „Współczesności”.

Godz. 12.00 w nocy – idę spać. Stale myślę, jak rozpocząć pracę nad malarstwem. Koncepcja realizmu poetyckiego wydaje mi się mocna, choć z braku wiedzy na temat współczesnych nurtów w sztuce nie mogę dokonać porównania.

7 XI 1968 r.

Dziś złożyłem w biurze podanie o miesięczny, bezpłatny urlop. Motywowałem chorobą matki. Trudno. Inaczej mogli mi nie dać. Sądzę, że jest to bardzo ważne wydarzenie w moim życiu, dlatego, że zrobiłem to w tym tylko celu, aby mieć warunki do pracy. Uczucie bezplodnego tracenia czasu jest najwstrętniejszym, co tylko może być. Sądzę, że jutro sprawa podania zostanie rozpatrzona pozytywnie.

Zapuszczam się w gąszcz prawdziwych problemów. Mogę to zrobić dopiero teraz, gdy posiadam mieszkanie, gdzie są jakie takie warunki do tworzenia. Najważniejsze, że mam spokój, całkowity spokój, poza pewnym nękaniami Rysia, którą to dolegliwość jestem zdolny szybko uciszyć.

Ten miesięczny urlop – to rekonesans. Poważna próba: stworzenia sobie warunków do egzystencji, rezygnując z chałtrowania.

Porównując pismo na początku notatnika, a obecnie – gdzie ta staranność, schludność uczniowska? Pismo poszarpane, z błędami ortograficznymi. Strach! Równocześnie jest w tym coś pocieszającego, ten stały kontakt z notatnikiem. Sądzę, że przeżywam duże przeobrażenia, sam dobrze nie wiedząc o tym.

8 XI 1968 r. - piątek - godz. 10.30

W pracy nieprzychylny stosunek do mojej prośby o urlop. Szef uzasadnia: Nie mam nic przeciwko temu, pracy dla pana nie mam, lecz już sam fakt takiego wniosku może spowodować nieprzychylny stosunek do pana. Również Bedzińska starała się na mnie wpłynąć, abym wycofał swoją prośbę. Bez oporów przeciwko „argumentom” pozostałem jednak przy swoim. Bedzińska powiedziała pewną charakterystyczną uwagę, która odzwierciedla w jakiś sposób prawdę. „Pan jak coś sobie wbije w głowę, to musi to przeprowadzić”. I chyba tak jest w rzeczywistości. Wbiłem sobie w głowę malarstwo i czeka mnie to już do końca. Powiadomiłem ciotkę K. o swoim projekcie. Przyjęła o dziwo ze zrozumieniem. Widocznie nie przeraziło ją to, że opuszczę pracę, jak poprzednio sądziłem. Kamila była u lekarza, który stwierdził podłoże jej choroby nadciśnieniowej. Wynika ona z wadliwej pracy systemu nerwowego.

9 XI 1968 r. - sobota

Śniłem jak gdyby film historyczny, w którym rolę duchownego bardzo wysokiej rangi (może papieża) kreował Olivier. Pamiętam go w jednej scenie, gdy zwykły wóz wiezie go przebranego w proste szaty, na głowie beret, na piersiach schówek na coś bliżej nieokreślonego. Z treści piosenki, którą słyszałem, można się było domyśleć: dano ci klucze (może stolicy apostolskiej), ty je splugawiłeś swymi rękoma, itd.

10 XI 1968 r. - niedziela

Wieczorem w sobotę potrzeba odnalezienia jakiegoś zagubionego fragmentu pamiętnika spowodowała, że znalazł się w moich rękach. To banał, przyznaję, ale wyznam, że czytałem go początkowo ze wzruszeniem. Ze zdziwieniem odkrywałem tak już dawno zapomniane szczegóły. To dobrze, że tamten dziennik był taki opisujący wrażenia. To fascynujące odkrywać coś, co kiedyś było na tyle w danym momencie ważne, że zostało zapisane. Może również nie tyle ważne, ile trafił przypadek, że dostało się na sito selekcji. Otóż jak okrutną jest selekcja!

Przypomina mi się tu znów Parandowski ze swoimi zwierzeniami na temat Goethego. Gdyby zapisywać cały dzień człowieka w jego zewnętrznosci i wewnętrznosci, to obok zagadnienia wyrażenia tego zagadnienia w kategoriach sztuki, należałoby całą walkę skupić z ową refleksją i doborem faktów.

Jeśli więc możemy wnioskować, że na kanwę opisu dostają się, pomijając wydarzenia, bardzo ważne fakty drogą swobodnego wyboru z rzeczywistości, wówczas można myśleć konsekwentnie, że sztuka w jakimś swoim fragmencie jest zbiorem przypadkowych opisów rzeczy. Miałem być dziś skondensowany w opisie – a rozwlokłem swoje dywagacje.

Widziałem Hanię Kotlińską, którą gościłem u siebie. Były pocałunki – dla niej, z pytaniem czy potrzebne. Odrzekłem niemal cytatem: „gdy serce bije mocno, nie pytam czy warto”, czym zrobiłem „dobre wrażenie”.

Na dwa obrazki już trochę nie mogę patrzeć, zaczynają mnie nudzić.
Dobranoc.

12 XI 1968 r. - wtorek

Pierwszy dzień urlopu – wieczorkiem, małe przygotowania, kompletowanie rysunków, itd. Odwiedził mnie Henryk Arendowski, podobało mu się u mnie, także to, co robię. Zachęcają mnie takie opinie do większego wysiłku. Pracownia na ul. Salvatorskiej już nieaktualna. Byłem u wiceprzewodniczącego R. N. Zwierzyniec, który nic mi nie pomógł. Kazał się starać dalej. W wydziale lokalowym jest niejasna sprawa. Według opinii pani Lasz, jest mi tam ktoś nieprzychylny (czemu nie należy się dziwić – wszak tam, gdzie jedna osoba jest mi przychylna, znajdują się zawsze dwie lub więcej, które są przeciwnych uczuć wobec mnie). Pani L. proponuje nowy adres: Dolnych Młynów. Prawie w centrum. Niezbyt mnie to przyciąga, choć z zewnątrz wygląda lepiej niż na Salvatorskiej, a już nie można tego porównać z Zarzeczem. Zobaczymy. Umówiony jestem z Natrasówną. Halina obiecywała mi pozować. Potrzebna jest mi modelka do obrazu, którego inspiracją jest portret księcia Urbino, Pierro della Francesca. Będzie to erotyk, pół akt na tle pejzażowym. Ciekawi mnie ten tak potraktowany temat.

18 XI 1968 r. - poniedziałek

Wczoraj byłem u Olkiewicza. Rozmawiałem z nim na temat sztuki. Uporczywie wracają teraz do mnie echa tej rozmowy. Jednym z fragmentów jest myśl o powierzchowności niektórych współczesnych twórców. Sformułowałem to dość oględnie, bo w zasadzie proporcje są odwrotne. Jest bardzo dużo twórców bardzo miernych, wśród których znajdują się, jak rodzynki w cięście, ci, którzy w sposób szczerzy, autentyczny podchodzą do zagadnienia sztuki i nie oglądają się na aktualnie modne prądy artystyczne.

Jeśliby sztukę podzielić na tę powierzchwną i tę z głęboką treścią, to ta pierwsza wyraźnie grawituje ku dekoracji. Pędzel takiego twórcy machinalnie lub programowo wypełnia przestrzeń malowidła powierzchnią, która nie stanowi o niczym więcej jak w najlepszym razie o efektowności dzieła. Za powierzchnią zamalowanego płótna nie kryje się nic. Tam jest zupełna pustka. Bardzo dużo takich tworów widzimy w muzeach. Od wieków powstawały i będą powstawać.

dziś opracowany:

...Jeśli w środku nocy
zbudzą mnie twoje oczy -
dwa sierocińce za
kamiennym murem.
Cóż wtedy?
Tęsknota
Gorycz i tęsknota tylko.

19 XI 1968 r. - wtorek

Pracuję jednocześnie nad dwiema pracami: pejzażem dynamicznym. Postacią we wnętrzu. I obraz ten zatytułuję najprawdopodobniej „Dotknięcie”. Praca idzie bardzo opornie. W obu znajduję dużo problemów. Są też w takiej konwencji ujęte, że zmuszają mnie do pełnego wysiłku, aby uzyskać zamierzony rezultat. Największe kłopoty sprawia mi kolorystyczne sprzężenie dwóch płaszczyzn, szarości i intensywnej zieleni. Od zieleni wymagam szczególnej uroczystości światłości. Przy całkowitym uporządkowaniu

kompozycyjnym i słusznym rozłożeniu planów. Dręczy mnie taki dość jałowy trud. Szukam na różne sposoby i jak na razie nic z tego nie wychodzi. Drugi obraz też mnie nie zadowala. Tam chciałbym nasycić czerni taką materialnością, żeby rozłożyła się swoimi światłami i cieniami na płaszczyźnie, jak rozlewa się swą kocią miękkością puszysta materia aksamitu. Chodzi mi o to po prostu, aby czerni ta wyrażała przestrzeń, wyrażała kolor.

Jeśli chodzi o sprawy bytowe: odwiedziłem dziś biuro lokalowe w sprawie pracowni. Oczywiście nic, jeszcze raz nic. Gdybym dziś nie miał takich warunków mieszkaniowych, jakie mam, cóż bym począł chcąc tworzyć. Jak zawsze dolega mi samotność, jestem już jak martwy skorupiak opadający na dno oceanu – bezimiennie położona cegła w zeskalającą się masę.

Przed chwilą przechodząc obok kiosku z gazetami dostrzegłem wyłożoną na półce książeczkę dla dzieci pt. „Piórko”. Nazwa tej książeczki kojarzy się z bardzo miłym filmem pod zbliżonym tytułem „Fifi Piórko”. Do kupna tej książeczki skłoniła mnie bardzo ładna oprawa graficzna opracowana przez Jaworskiego. Są to rysunekki ujmujące kolorem i prostotą widzenia rzeczy codziennie spotykanych. Oglądając tę książeczkę przyszła mi na myśl pewna sprawa związana z funkcją koloru w obrazie. Zastanawia mnie mianowicie różnica ekspresji plam barwnych w obrazie, występujących tam w ścisłym powiązaniu z przedmiotem i w jego oderwaniu. Pewny jestem tego, że nie wytłumaczyłem do tej pory, co mam na myśli, wobec czego postaram się sprawę wyjaśnić jeszcze raz.

Wzrastanie ekspresji emocjonalnej obrazu w zależności od podkreślania kolorem cech funkcjonalnych przedmiotu, który jest przedstawiony w obrazie.

Należy przeprowadzić ćwiczenia na ten temat.

Zainteresować się problemem przenikania.

22/23 XI 1968 r. - sobota/ niedziela – godz. 00.00

W pracy Jerzego Olkiewicza „Barwy przestrzeni”, którą czytam z dłuższym zainteresowaniem (mimo popularyzatorskiej formy wprowadza dużo informacji), znalazłem fragment wypowiedzi Mondriana, która głęboko mnie podekscytowała i zmusiła do sięgnięcia po zapiski. Wypowiedź ta kondensuje moje własne spostrzeżenia na to zagadnienie, wobec czego przepiszę ją w pełni brzmienia jako rodzaj formuły.

„Trzeba rozróżnić dwa gatunki równowagi – jeden to układ statyczny, drugi to równowaga dynamiczna. Pierwszy oznacza samodzielną jedność poszczególnych form. Drugi, to związanie form, albo ich fragmentów poprzez ciągłe kontrastowanie”.

23 XI 1968 r. - sobota

Najprzeróżniejsze zagadnienia formalne i ideowe, którymi zajmują się malarze, są jak samodzielne, samoistne wyspy na oceanie chaosu. Nie wystarczy tych ziem skolonizować, muszą one być połączone między sobą regularną komunikacją wiążącą je w jeden funkcjonujący organizm.

Uświadomienie sobie przez artystę podświadomych funkcji jego umysłu jest jego największym dobrodziejstwem. To podświadomość jest kierunkową jego twórczości, która mu wskazuje (wzbudza jego

zainteresowanie tym lub innym twórcą) drogę wynikającą z jego psychicznego i czysto emocjonalnego podłoża.

Na tym podłożu konstruuje się nowa struktura – tylko wtedy, gdy te wszystkie procesy podświadomości, wydobyte na zewnątrz – – uświadomione i scalone w jeden organizm, dadzą artyście temu podstawę, na której może tworzyć cały swój gmach twórczości lub przenosić się w inne regiony.

Przeżywam teraz głębokie przemiany wewnętrzne. Moje na wpół uświadomione odczucia, zainteresowania, krystalizują się, nabierają wyrazu jednocząc się. Nie spodziewałem się, że dojdę do takich wyników przez uświadomienie sobie pewnych emocji, które wymagały wnikliwego spojrzenia, lecz przez swą bujną i zagmatwaną budowę nie łatwo mi przyszło te zagmatwane znaki odczytać jako jeden wspólny język. Intuicję przyrównać można, jeśli chodzi o jej funkcję poznawczą, do mechanizmu anteny radarowej nastawionej na obserwację całego horyzontu. Z tego całego rozległego pejzażu wydobywa poszczególne elementy, które sygnalizuje na swoim ekranie świecącą plamą. Rolą umysłu jest odczytać ten sygnał prawidłowo i nanieść go na mapę położenia znaków względem siebie, wśród których już świadomie przez to bogaciej możemy wytyczyć drogi naszej pracy.

Notowane o godzinie 00.00 w nocy

Nie opuszcza mnie zdolność czerpania satysfakcji i radości z warunków, jakie natrafiłem na nowym mieszkaniu. To one dają to, że każdy dzień jest moim kolejnym, nowym, małym sukcesem.

W mieszkaniu tym korzystam z zupełnych swobód – można rzec, że i tych obyczajowych. Jąką satysfakcją jest przed snem,

wykąpanym, na chwilę pospacerować po przestrzeni pokoju zupełnie rezygnując ze stroju. Przywraca mi ta chwila czystość, tę pierwszą czystość braku obyczajów, lub może działa na zasadzie zupełnej odmienności sytuacji.

O tym, że od kilku dni kipi we mnie; że rodzą się w umyśle nowe zupełnie myśli – wspominałem. Życie w pewnym stopniu sugeruje nam obraz chaotycznych zdarzeń, w których rządzi zasada prób i błędów.

W pewnej mierze od kilku lat noszę w sobie pewne idee, które oderwane od siebie, cząstkowe, nie dawały mi jednak spokoju swoim istnieniem. Przypominam sobie teraz o mojej potrzebie rozważań na temat ruchu, które podjąłem kilka lat temu na tle moich prac związanych z zagadnieniem malarstwa, które miało wyrażać pewne uczucia, pewne stany ducha po zetknięciu z rzeczywistością i po procesie naturalnej selekcji spowodowanej czasem. W tamtej chwili, zresztą i teraz nie mam na to terminu, mogę tylko posłużyć się tym, co wymyśliłem nie tak dawno, to jest realizmem poetyckim. Tu się okazuje, że problem, który tak mnie żywo teraz od kilku dni pasjonuje, przeżywałem już kilka lat temu i w formie utajonej lub powolnych procesów myślowych, dotarł aż do teraz.

Zagadnieniem tym jest koncepcja nowej przestrzeni sformułowanej psychologicznie i intelektualnie ze zbitek wrażeń czerpanych z przeżywania natury. Powiadam przeżywania, albowiem nie chodzi tu tylko o obiekty wizualne, ale o notację elementów, procesów psychicznych dziejących się w rozciągniętej czasem przestrzeni. Wokół tego zagadnienia krążyłem jak wilk koło żeru od kilku lat, lecz teraz zacisnęła się nam na szyi prawdziwa obręcz wspólnoty egzystencji. Stało się to tak przypadkowo, że kusi mnie

do postawienia pewnej diagnozy, że w zdarzeniach życia decyduje probabilizm. Lecz i to muszę podkreślić, aby zaistniał fakt obok probabilizmu, trzeba po prostu zacząć rzucać kulą. Jeśli gracz gra, to na ileś wyrzuconych, fałszywych rzutów, jeden wpadnie do właściwego otworu i rozpoczyna lawinę wydarzeń. O ile natrafi na sprzyjająco ukształtowaną strukturę.

Obserwując obraz dziewczyny za zasłoną, zza której nieznacznie przeziernie jej dalsza postać, Ryszard, który jest gorącym wielbicielem tego szkicu wykonanego w temperze, zwrócił moją uwagę swoją odmiennością odczytania. Widział jakoby ją w kąpielni, zanurzoną po piersi w strumieniu. Wpierw zlekceważyłem jego słowa, lecz dotknięty intuicyjnym sygnałem poświęciłem temu spostrzeżeniu maleńką chwilę. Spostrzegłem wówczas, że aby tak zobaczyć trzeba zupełnie nowego sposobu widzenia. Widzenie to swoją radykalnością i podobieństwem można przyrównać do widzenia kubistycznego.

Porwała mnie grafika. Jestem w jądrze procesów formowania się osi nowego oblicza mojej sztuki. Odczuwam, że powinienem się zająć problemami, które tłumaczyłyby, wyjaśniały zagadnienia związane z relacją natury i obrazu, natury jako obiektu samego w sobie i obiektu zamieszczonego w czasie, w zetknięciu z innymi zjawiskami.

Obraz jest zapisem uczuć. Uczucia są sumą wszystkich wrażeń. Jak pojedyncze strumienie, wrażenia spływają do jednego koryta, którym jest dominujące uczucie. To uczucie to dominujący akord dźwięków w obrazie.

24 XI 1968 r. - niedziela

Chwila, gdy chwyciłem ponownie za notatnik, jest najzupełniej nieodpowiednią. Zmęczony jestem po bezsennej nocy, osłabiony do granic wytrzymałości, gdzie serce, mózg, kończyny pracują odrębnym już życiem. Jestem jednak stale pod działaniem jak gdyby narkotyku, który wzywa mnie do stałej czujności. Notuję w tej chwili pewien interesujący epizod umysłowy: leżę. Z przymkniętymi oczami, jakby marzę, na poły śnię. Wyobrażam sobie jakieś plamy barwne. Jedna z nich, mała, szara, druga obok żółta. Na którejś z nich pojawiają się jakby kreski, przecinki. Odczytuję tę plamkę jako bardzo schematyczny rysunek Japończyka lub Chińczyka. Wyobrażnię nadając mu nazwę „Szary Japończyk”. Przez moment szukam tu logiki, jasności nie odnajduję.

Szary rozumiem jako symptom strachu. Takie objawy występują tylko u rasy czarnej. Następnym obrazem, który by mógł się pojawić brzmiałby „Szary Murzyn”. Uważam, że w tak zestawionym przymiotniku do rzeczownika zawiera się przejmująca tragizmem metafora poetycka.

2 XII 1968 r. - poniedziałek

Od kilku dni zaprzestałem prowadzenia notatek; w momencie najistotniejszym dla moich wewnętrznych przeżyć. Poprzednie uwagi – z pobieżnej nawet obserwacji, jaką uczyniłem – wykazują bardzo chaotyczną formę. Nic dziwnego, jeśli to wydarzenie tak silnie emocjonalnie przejrzałem, aż osłabiło to moje zdrowie. Po kilku wiadomościach na tematy ogólne chciałbym skupić się w tej rejestracji nad problemem, który tak mnie przeniknął.

Dziś wróciłem ponownie do pracy. Nie jest to powrót do Canossy. Potrzebny był mi urlop, jak się okazuje nie na bezpośrednią pracę twórczą, lecz na przeżycie pewnego emocjonalnie mocnego faktu. Wracam bowiem do pracy z konieczności (to prawda), lecz również w jakiś sposób pogodzony z życiem. Los w jakiś sposób bardzo mnie wynagrodził i tylko powinienem umieć się cieszyć bezinteresownie z takiego osobistego sukcesu.

Od tygodni chcę napisać do ciotki Anny do Warszawy. Dziś byłem przygotowany, że już to uczynię, ale notatnik, muszę przyznać, że skusił mnie bardziej.

Wieczorem, w ramach seminarium, wysłuchałem osobiście mnie bardzo pasjonującego referatu młodego asystenta z psychologii na temat „teorii postaci w psychologii”. Odkryłem z entuzjazmem, że ta gałąź wiedzy jest mi szalenie przydatna w mojej pracy artystycznej i koniecznie niezbędne jest, żebym z tym się zapoznał – z jej rezultatami badań. Poprosiłem tego człowieka, którego dziś słuchałem, aby wraz z Mietkiem Górowskim, który z nim mieszka, zechciał mnie odwiedzić, aby porozmawiać na interesujący mnie temat.

15 XII 1968 r. - niedziela

Odwiedziłem dziś p.p. Flurów. Wydarzyła się tam wielka tragedia. Zmarł mąż i ojciec dwóch dorosłych córek. Zastanawiało mnie, jaką znajduję atmosferę. Życie bieży, ludzie rodzą się i umierają, a ci którzy zostają, pchają swój los dalej, bez względu na wydarzenia. Imieniny Myszki stanowią tego jasny dowód.

Pisowicz pożyczył mi ilustrowaną starogruzińskimi miniaturami wersję „Witezia w tygryziej skórze”.⁸ Piękne miniatury. Zainteresowały mnie bardzo, też dlatego, że odnajduję w nich problemy przestrzeni nakładającej się. Zachwyca mnie niczym nie skrępowana swoboda w tworzeniu wizji. Perspektywa renesansowa była w jakimś stopniu katastrofalna dla czystych wizji plastycznych, dążących do pełnej syntezy, wypowiedzi syntezy typu poetyckiego.

16 XII 1968 r. - poniedziałek

Święta tuż-tuż. Nie. Tylko z kalendarza wiem, że to nastąpi.

Brak mi tej szczególnej tęsknoty zachwytu nad tym niewidzianym stanem, w jaki wprawia nas Noc Wigilijna. Raz w roku symbolicznie rodzi się w stajence Chrystus, raz do roku mamy szansę stać się dziećmi.

Gdy świeczka zapłonie na choince, w naszych sercach niech stanie inny porządek – lepszy. Kupiłem choinkę, która pachnie... Jej zapachu nie można z niczym równać. Jest w tym zapachu najgorętszy płomień pierwszego zachwytu, olśnienia, jest także powaga surowej przyrody, otwartej przestrzeni, inaczej – prawdziwej wiedzy o życiu. Człowiek, który chłonie zapach tej jodły, jest nasycony samym sensem egzystencji. Bolesnie doświadczonym, gdy na sygnał staje znów gotów do próby. Tu doświadczenie nie jest przydatne. Rządzą tu bowiem ścisłe prawa prawdopodobieństwa, gdzie należy grać stale, bez względu na wynik. Serie porażek statystycznie w jakiś sposób zbliżają nas do sukcesu. Nie wszyscy

⁸ Autor: Szota Rustaweli (przyp. A.P.).

startują z tych samych warunków. Jedni mają więcej tych szans, inni znacznie mniej, lecz jeśli się jest w stanie czujności, tym samym możemy nie pominąć tej szansy. Tym, co tu jest naszą busolą, naszą różdżką, jest instynkt, który nam podpowiada. Trzeba umieć nauczyć się słuchać jego głosu.

Inną interesującą postawą jest stanowisko, które powątpiewa w celowość szukania szczęścia. Zdobyć, sukces, jest zazwyczaj równocześnie naszą porażką. Pochodzi ona z niewspółmierności wysiłku wiary w cel, do rekompensaty jaką możemy z tego czerpać. Nasza praca nigdy nie zostanie nam w pełni zapłacona. Jak w silniku, tylko ułamek mocy otrzymujemy ze stu procent energii wprowadzonej do układu, reszta uległa rozproszeniu.

Poprzez miłość poznaję mój świat. Poznajemy go poprzez widzenie poetyckie, którego jednym z głównych elementów jest fascynacja, zachwyty, ekstaza. Tylko w miłości z jednej strony, w sztuce z drugiej strony, możemy te stany znaleźć. Istotą jest poznawanie. Miłość to jest przekraczanie granic tajemnic. Stałe przekraczanie. Tajemnic świata wewnętrznego i zewnętrznego. Miłość i sztuka są nierozdzielne. Nie może istnieć pełne poznanie bez tych dwóch siostr. Miłością odkrywamy. Sztuką przyswajamy sobie te odkrycia. Kolonizujemy coraz to nowo odkryte lądy. Sztuka pozwala nam na zrozumienie czyli na pokochanie. Miłość – przeciwieństwem śmierci.

Wigilia

Jest godzina 10.30. Ja już w łóżku; słucham radia, notuję. Jakieś nieuchwytnie szczęście, ten szczególny nastrój wyjątkowego święta, które wraz ze mną obchodzą inni ludzie. Gdy jednak o tym bardziej zacznę myśleć, przypominam sobie straszną chorobę mojej matki,

jej zmagania o życie. W piątek po raz pierwszy od sześciu lat spotkałem się z matką. Dramatycznie smutne spotkanie. Wszystko ucieka w bok, jak w pośpiesznym pociągu, jest tylko ta jedna chwila, ten moment powitania.

Na kolacji była Barbara Hukaszanc, Ormianka po ojcu. Pracuje w PWN, po historii sztuki. Miła, ciekawa. Skomplikowana w obcowaniu. Było bardzo przyjemnie, wesoło. Ciotka nadawała właściwy ton tej szczególnej uroczystości i trzeba przyznać, że zrobiła to bardzo dobrze. Rysio popisывał się swoim poczuciem dowcipu. Potem wyszedłem z nią na spacer: plantami po opustoszałych ścieżkach – w kierunku na wspaniały zamek. Mało jest miast na świecie, które miałyby tyle naturalnego wdzięku, tej niekłamaney piękności. Kocham Kraków, a w nim ten świat prostych codziennych przeżyć.

Tylko miłość może
nam dać wybawienie
od szarości egzystencji
zabarwić ją niezapomnianie
swymi barwami
lecz
ileż tych udanych
miłości się zdarza.
Stoimy w kolejce do
loterii, każde z nas
narzeka na swój los
może okaże się

Być szczęśliwym.
I tym razem pusty?
Jeszcze się nie zaczęło
a już się skończyło!!!

* * *

„ona – przebój muzyczny”

wpierw drgnienie któregoś
tam nerwu w sercu
zasłuchanie i obraz
ginie w mroku
niedopowiedzianych nie do zapamiętanych
konturów.

Potem zasmakowanie
fascynacja. Stajesz się
już zwolennikiem fanatykiem.
Słuchasz po kilka razy...
Potem już zaczyna cię nużyć,
potem już nie możesz tego słuchać.
Gasisz radiodbiornik
gdy słyszysz tę melodię.

Po latach zaś gdy
usłyszysz w któryś wieczór
zmierzch tę melodię,
na chwilę rozplynie się
obraz w twoich oczach.

OSTATNI LIST DO MATKI

1 / 1969 r.

Kochana Mamusku!

Dzisiaj jest 1 dzień nowego roku. Bardzo, bardzo pragnąłbym, aby ten nowy czas przyniósł Ci zupełny powrót do zdrowia. Jestem pewien, że wychodząc ze strasznych już w życiu opresji i tę przy BOŻEJ ŁASCE zwalczyć zdołasz! ŻYCZĘ CI TEGO Z CAŁEGO SERCA.

Postaram się o to, aby do Ciebie przyjechać, gdy znajdę trochę środków na taki wyjazd. Przedwczoraj otrzymałem miły liścik od Janusza, w którym pisze mi o Twojej chorobie.

„Wszystkiego najlepszego, czego tylko chcesz...”

Całuję Cię mocno,

Tadeusz

Dziennik 1985–1986

8 X 1985 r. - wtorek

Mimo, że przecież żyję na uboczu polityki, ta straszna trucizna atakuje moją psychikę. Napięcie przed wyborami rośnie. Dzisiaj zmuszony byłem, względami grzecznościowymi, do obejrzenia programu telewizyjnego dziennika. Cóż to za obrzydliwość: oglądać i słuchać tej kreatury Urbana. Wszystkie jego mowy mogą służyć jako materiał dla psychologów lub artystów studiujących obraz i myśl przewrotności politycznej tych slugusów szatana. Bez wątplenia komunizm jest dewiacją polityczną świata współczesnego, lecz przecież tworzą go ludzie a ci są na obraz i podobieństwo przeciwnika Boga.

To wszystko, co piszę, brzmi jak dziecinne kwilenie wobec potworności tego zamaskowanego wroga ludzkości. BBC podało o ciężkich pobiciach więzionych członków „Solidarności”. Duszono ich kocami. Straszne! Wałęsa protestuje, wysyłając list do „naszego Sejmu”. Wyrwało mi się słowo „naszego”. Władze PRL podpisały z Moskwą nową umowę gospodarczą, w której za przedłużenie spłat długów mamy zwiększyć jeszcze nasz eksport do Sowietów. Ma on wzrosnąć do 40 % !!! Wszystkie statki polskie, cały przemysł ciężki, lekki, będzie pracować dla gospodarki. Sowieni się zbroją. Ich gospodarkę podpira taki kaleka gospodarczy jak PRL. Wysysają z nas wszystkie soki. Nie widać jakichkolwiek możliwości ratowania nas przed tym potwornym wyzyskiem, który trwa już 40 lat. Czterdzieści lat! Trzeba sobie to uzmysłowić.

Świat mój jest cały w Bogu. Wszystkie te wiadomości kompletnie by mnie złamały, gdybym nie podjął wysiłku przemiany swego życia. Chodząc dzisiaj w późny wieczór po ciemnych alejkach parku, rozmyślałem nad tym i jeszcze raz przypomniałem sobie moją dewizę, dla której żyję i żyć będę, „Miles Christi”. Miles (po łacinie: „żołnierz, wojownik”) nie rozpacza, nie gubi się w życiowych kłopotach. Miles Christi idzie drogą ku Bogu i tylko On jest jego jedynym i odnajdywanym stale celem. Nie zgubię Jego kierunku. Obiecuję Ci Boże! Nie lękam się wrogów. Żołnierz nie lęka się wrogów, wszak jest żołnierzem. Boży żołnierz walczy ze złem swoim i świata. Nie może i nie lęka się tej walki. Dzisiaj rano byłem bardzo śpiący (nie najlepsza noc – zmiana pogody), ale zmusiłem się do wstania – przeczytania fragmentu Pisma Świętego i modlitwy. Prosiłem w niej o siły. I czułem jak te siły otrzymuję. Gdy umyłem się zimną wodą, już za chwilę jechałem pośpiesznie do kościoła. Zapamiętałem słowa księdza Józefa: „Pozwólcie Bogu, by Bóg działał w Was i przez Was”. Jak proste, jak właściwe i piękne są te słowa.

Dzisiaj pracowałem nad programem zajęć. Pisało mi się znakomicie. Każdą rzecz starałem się wykonywać w imię Boże.

Przyszła ciocia. Rozmowa o religii, właściwie budząca grozę niewiedzą. Wszyscy, którzy zrobili jej krzywdę w życiu, już poumierali. – „Niech im to Bóg przebaczy!” Dwa dni potem już nie żyła. Powiedziałem: a przecież modlimy się... "i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom".

Boże! Przebacz nam – bo wielkimi jesteście grzesznikami.

Zacząłem nowy zeszyt mojego dziennika – jak to się stało, że zacząłem pisać? Też muszę to przypisać działaniu Mojego Pana,

który w ten sposób wspiera mnie. Dzięki Ci, Panie! Zeszyt ten będę prowadził z myślą o Tobie.

Czy brzmi to, co piszę w dewocjonalnym stylu? Absolutnie nie. Dla człowieka, który nie przeżywa Boga, będzie to na pewno jakaś umysłowa skaza, lecz chrześcijanin miłuje Boga w każdym swoim czynie. Dlaczego zresztą zastrzegam się tak? Czyżbym robił to na prywatny użytek sceptycznego czytelnika? Gdzie więc moja absolutna szczerłość?

Malowałem (za duże słowo) coś tam, próbowałem akwarelką w szkicowniku w ciągu kilkunastu minut. Zrobiłem jednak ważne (znowu „ważne”) spostrzeżenie. Stałe szukam nie środków, lecz metod w mojej pracy. Między innymi jestem trochę bezradny w pejzażu. Co malować? Pozornie rzecz prosta: albo to, co widzę, albo to, co czuję, ale tego jakoś nie potrafię złożyć w jakąś całość, w rodzaj pewnej wskazówki postępowania. Byłem na błoniach. Silnie zamglony krajobraz, niebo blado-szaro-różowe z jasnopomarańczowym słońcem. Malowałem ten pejzaż, ale malowałem o wiele jeszcze więcej rzeczy niż to, co przed chwilą wymieniłem. To był błąd. Gdy skończyłem pracę, przyglądnąłem się temu i w pewnym momencie na krawędzi obrazka napisałem: „Dać definicję zamglonego pejzażu”. Zamyśliłem się nad tym i znalazłem coś, co mogłoby służyć jako pewna wskazówka. Brzmi to: „Zobaczyć pejzaż w jego definicji i dać temu mocny ekwiwalent”. Nie jest to zbyt jasne. Główną treścią jest użycie tu pojęcia „definicji rzeczy” i stworzenia jej ekwiwalentu.

Jest już późno, idę spać. Szkoda, że znów się nie gimnastykowałem, zbyt dużo zwracam uwagi na jedzenie. Jestem mało skoncentrowany. Mało pracuję.

Jutro Boże dopomóż w przewyciężaniu tych wad. Amen.

9 X 1985 r. - środa

Cały dzień starałem się żyć w Chrystusie. Jak wielkie są łaski Boga, gdy idę jego drogą, tylko ja wiem. Mówię ludziom o tych darach: może i mnie rozumieją, ale czy tak naprawdę zdają sobie sprawę z tego, że na zupełnym ugorze zaczyna wzrastać nowe życie. Mówię do siebie: Chryste! Przeoraj mnie! Głęboko! I rzuć obfite ziarno, a ja tego nie zniszczę! Cudownie jest widzieć, czuć, być świadkiem owocowania Boga we mnie. Jak dobrze mi się żyje, choć w tych samych warunkach żyję, co kilka miesięcy temu.

Byłem na mszy rano, choć ciężko było wstać, bo w nocy nie spałem długo. Apel: „Jesteś rycerzem Chrystusa” działa jak żołnierska pobudka. Ta mobilizacja daje owoce, których nie spodziewałem się w tak krótkim czasie. Pracowałem dzisiaj nad konspektem programu. Zrobiłem sporo, pomimo uciążliwej wizyty kierowniczkii klubu ZNP. Po obiedzie byłem w parku na modlitwie kontemplacyjnej, a następnie poszedłem do pracy. Ze spotkania byłem bardzo zadowolony. Wieczorem spotkałem Jacka Zielińskiego – zjawił się w pracy. Opowiadał o przygodach z wakacji (wspaniałe historie), które muszę tu innym razem opisać.

Jutro rano jadę do Nowego Targu na pogrzeb Tadzia. Byłem u Leśniaków. Jak zwykle bardzo mili – serdeczni. Marysia przygnębiona sytuacją rodzinną jej mamy i ojca, na których zwała się córka z trójką dzieci (mając trzy mieszkania). Do czego prowadzi źle rozumiane miłosierdzie i miłość rodzicielska. Ciocia jest w bardzo dobrej formie. Może pojechać do sanatorium. Wymogłem, żeby załatwiła sobie skierowanie. Andzia już wróciła z chwilowego „urlopu”.

Dzisiejszy dzień był chłodny i deszczowy, pomimo tego uważam go za jeden z piękniejszych. Na koniec coś najdelikatniejszego z przeżyć. Po komunii świętej, gdy klęknąłem w ławce samoistnie popłynęły mi rześiste łzy. Nie mogłem ich powstrzymać, a nie miałem chusteczki. Na chwilę poczułem się zakłopotany, a potem uznałem to za cudowny dar. Bóg zechciał znów uderzyć w mur, który przed Nim budowałem. Jeszcze jedna ściana runęła, która wywoływała takie wrażenie. Dzięki Ci, Panie! Amen!

PS Spotkałem Włodka Mastalińskiego. Dobry człowiek!
Krzysiek poleca: "Baśnie..." Bettelheima.

10 X 1985 r. - czwartek

W Nowym Targu byłem na pogrzebie Tadzia. Spotkałem się z Krzysiem i Bogdą, którzy przyjechali z Wrocławia własnym samochodem Charade. Pogrzeb, w którym tylko kilka osób umiało (śpiewać) jakieś pieśni religijne, wykazał pozornie religijne życie naszego społeczeństwa. W domu zmarłego, zaraz po powrocie, rozmowa zaczęła się toczyć w gronie panów wokół lakierów do samochodu. Nastrój smutku i powagi widziałem tylko na twarzach Lalki i jeszcze kilku osób. Zasmucający był ten prawie „proces umieszczenia ciała w ziemi”, by jak najszybciej przejść do zwyczajnego jałowego życia. Nie ma żadnego zatrzymania, żadnej refleksji, poza tym: „jak to szybko się odbyło... może to i dobrze, bo by się męczył i rodzina z nim”. Pragmatyzm i to w jakim wydaniu.

Krzyś i Bogda zatrzymali się u mnie. Cóż. To dla nich nie jest odpowiednie miejsce, ale przestałem mieć kompleksy.

Gdy się życie toczy tak a nie inaczej, że w każdej chwili możemy zostać powołani przed Najwyższy Trybunał. Wracając do pogrzebu. Lalka znalazła w sobie wiele sił psychicznych i nie złamała się. Wszystko w domu było bardzo dobrze zorganizowane. Podziwiałem. Obiecałem Lalce, że będę z nią w bliskim kontakcie. W tym momencie spostrzegłem, że moje ponowne nawiązanie bliższego kontaktu zaczęło się na rok przed śmiercią Tadzia. Przecież całe lata milczałem jak „grób”. I otóż po roku tenże grób zamknął tę sprawę całkowicie.

11 X 1985 r. - piątek

Muszę siebie pochwalić – moja systematyczność w prowadzeniu zapisków zaczyna mnie zastanawiać. Lubię prowadzić dziennik, a przypominam sobie, jeszcze nie tak dawno to było, gdy najprostszymi kilka słów było mi trudno sprecyzować.

Krzysiu i Bogda wyjechali dzisiaj, po wizycie na Akademii, gdzie rozmawiali w sprawie egzaminów wstępnych na Wydział Form Przemysłowych. Łukasz chciałby zdawać do Krakowa na formy.

Byli w galerii na Solskiego i obejrzeli moją wystawę. Byli u cioci Kamili na obiedzie.

Ze swej strony, byłem o wiele bardziej naturalny, spokojny i serdeczny. Czyżbym czuł wartość własnej osoby? Czyżby znaczyło to, że zaczynam akceptować samego siebie? Czy brak akceptacji siebie nie jest powodem naszego cierpienia psychicznego nazwanego stresem. Problem do zastanowienia: Jak zaakceptować siebie? Znaczenie i skutki.

Czy rzeczywistym źródłem niepokoju człowieka nie jest jego własny

brak akceptacji? Brak akceptacji jako skutek wychowania? Akceptacja jako problem wychowawczy? Z wewnętrznych doświadczeń psychicznych: Jestem wewnętrznie spokojniejszy, jednak napięcie nerwowe jest dość duże, wynikające z tego, że nie umiem relaksować się po bardzo wyczerpującej pracy.

Moje zajęcia z rysunku w Domu Kultury zmieniają się w spotkania o charakterze ćwiczeń nad ogólnym rozwojem osobowości. Np. dzisiejsze ćwiczenia z grupą I zacząłem od znaczenia pozytywnego stosunku do otoczenia, do grupy (nie mówiłem o pozytywnym stosunku do samego siebie). Najogólniej: o Akceptacji, o znaczeniu takiej postawy dla pracy całej grupy, o znaczeniu samowychowawczym i pozytywnym działaniu w samodzielnej pracy, także artystycznej. Mówiłem następnie i ćwiczyliśmy proste ćwiczenie rozluźniające mięśnie rąk dłoni górnej połowy kciuka. Z ćwiczeń namacalnych, które były powtórzeniem, przeszliśmy do pracy nad zupełnie nowym zagadnieniem. Wskazywałem na ważność koncentracji i relaksu. Idąc torem tego myślenia zorganizowałem następne ćwiczenie. Polegało na obserwacji partnera z naprzeciwka. Niektórzy mieli ogromne trudności ze skupieniem się. Nastrój się poprawił, zaczęła się jakaś wspólnota, nad którą jutro znów będę pracował wykorzystując możliwości plastyczne. Jak z tego widać, akcent zmienia się z zajęć czysto plastycznych na zajęcia społeczno-osobowo-integrujące. Po obserwacji kursanci odwrócili się plecami i musieli opracować portret z pamięci, opisowy oraz rysunkowy. Następnie była wymiana prac, informacja (jak mnie widzą), a następnie ocena pod względem poprawności. Wydają mi się te ćwiczenia bardzo ciekawe. Pomysł rodzą mi się w trakcie pracy. Wiem jedynie, jakie stawiam sobie cele.

Program kursu będzie mniej więcej wyglądał w ten sposób, że będę pracował nad pewnymi tematami, problemami. Po ich pewnym opracowaniu będę przechodził do następnej grupy problemów. W pierwszej części są to: organizacja własnej osobowości, świadomość celów, umiejętność formułowania celów, koncentracja i relaks, umiejętność oceny pracy, pozytywne i negatywne cechy, doskonalenie i poprawianie, umiejętność tworzenia prostych, elastycznych programów, ich ocena, umiejętność pozytywnego działania na siebie i na otoczenie. Dyspozycja psychomotoryczna, relaks, koncentracja, skupienie, elastyczność, lekkość, precyzja, swoboda, wrażliwość, ocena działania, umiejętność patrzenia, zapamiętywania i kondensacji obrazu. Problem wykorzystania zdobytych umiejętności, umiejętność tworzenia trwałych, wiernych wartości, które ponownie podlegają naszej ocenie.

Piękny napis przeczytałem w gablotce kościoła Misjonarzy. „Skalą człowieka jest jego miłość”. Ja bym to ujął trochę inaczej. Skalą osiągnięć człowieka jest skala jego miłości, lub: tyle osiągnąłeś, ile kochasz.

Nadal źle sypiam, pomimo tego jestem codziennie na rannej mszy. O swoich wzruszeniach religijnych już może nie trzeba mi za bardzo pisać (tak sobie pomyślałem, ale nie sądzę). Uczucia negatywne i pozytywne również wymagają uwagi. Pozytywne może jeszcze bardziej. Religia to nie tylko nasza postawa moralna względem Boga i ludzi, to także nasze uczucia, radość, smutek, wątpliwość, nawet zdrada, wstyd, żal i gorycz. Niech nasza religia będzie pełnią człowieczeństwa. Nie myślę, że trzeba mi Boga

zdradzić, wręcz przeciwnie, muszę zrozumieć, zauważyć, kiedy taki moment może nastąpić lub kiedy nastąpił i bez osłonek to zobaczyć i starać się naprawić. Gdy ksiądz mówi te słowa; powtarzam je z przejęciem za nim: „nie jestem godny, abys przyszedł do mnie, ale...” jakieś dramatyczne uczucie żalu i prośby o miłosierdzie, ogarniają mnie tak silnie, że nie mogę powstrzymać się od łez. Nie są to łzy rozpacz, ale skruchy i wielkiego szczęścia zrodzonego z uczucia przebaczenia. Znów jestem Panie u Twych stóp. Prowadź mnie. Amen.

PS Przy dzisiejszej komunii świętej ksiądz nie zauważył mnie i pominął mnie przy udzielaniu świętego sakramentu. Pomyślałem: może jestem takim grzesznikiem, że Bóg mnie nie chce. Nie, nie żyję w grzechu. Chcę, pragnę, by Bóg był we mnie ("pukajcie a będzie wam otworzone"). Poszedłem do księdza po mszy i udzielił mi komunii pojedynczo. Dowód, że jestem odważniejszy, że nie gubię się w zaskakujących sytuacjach, bo stale jestem skoncentrowany naprawdę na Bogu.

13 X 1985 r. - niedziela

Najważniejszym wydarzeniem były wybory do sejmu PRL. Zadałem sobie trochę trudu i obserwowałem przez kilkanaście minut punkty wyborcze. W ciągu pięciu minut obserwacji jednego punktu zaobserwowałem 4 – 5 osób idących do urny. Były to starsze (zastraszone lub zawstydzone) panie. Blamaż, całej tej, z nieprawdopodobnym zaangażowaniem zorganizowanej kampanii, jest straszny. To już nie był bojkot, to było kompletne zlekceważenie przez społeczeństwo. BBC podało w dzisiejszym dzienniku

o demonstracjach w Gdańsku i Hucie, trzynasto-szesnastoletniej młodzieży. Przygotowane siły przeciwko takim skromnym demonstracjom były przeogromne. Szkoda mi tych młodych, których aresztowano. Dzień był smutny, szary, zimny. Pogoda dostosowała się do krajobrazu politycznego w kraju. Ciotka głosowała. Może się zmienia – odpowiedziała na temat kandydatów, w trakcie rozmowy. System zakłamywania siebie jest bardzo różnorodny, np. ten: ciotka na kartce wyborczej napisała: „kiedy wreszcie ci wszyscy mordercy i przestępcy będą karani w sądach, śmierć za śmierć”. Zupełny absurd nie wynikający z osłabienia władz umysłowych wiekiem, lecz z charakteru, który morale ma za nic, ceni natomiast dyscyplinę. „Trzeba bić” - teza na temat wychowania. Dyskusje z ciotką są długie i zupełnie bezowocne. Nie znam bardziej „ziemskiego” człowieka. „Ja muszę żyć normalnie”. Ja nie jestem filozofem, ja żyję normalnie filozofią – to według ciotki życie według Ewangelii. Co tu mówić. Wielu tak sądzi. To tylko filozofia. Nieprawdaż? A każdy ma prawo się kierować własną filozofią. Smutne.

Wczoraj byłem na imieninach u Teresy Passakas. Wdzięczność, że pamięta o mnie. Jest bardzo starająca się o dobre maniere. Czuję się przy niej trochę nienaturalnie. Pojechałem trochę rowerem w plener z zamiarem pracy, ale nic nie zrobiłem. Dlaczego? Nie bardzo wiem. Jakiegoś bodźca, zaczepienia mi brak. Brak mi ogólnej, psychicznej mobilizacji do pracy. Żle świadczy to o mnie. Już nie mówię o czasie, który straciłem bezpowrotnie. Boże, przebacz!

Drugą sprawą jest mój moralny egoizm. Żyję dla siebie. Jakie to łatwe do zaobserwowania, ale jak trudno przewyciężyć

ten stan. Będę w przyszłym tygodniu specjalnie modlił się w intencji miłości i pracy. Czytam *Quoista* z zachwytem. Omal doskonała książka, poradnik życia chrześcijańskiego.

Byłem dzisiaj leniwy. Spałem do 10.00 rano, nie poszedłem do kościoła. Dzień trzeba zaczynać mi z Bogiem, a w niedzielę szczególnie. Słowa księdza, które szeptem powtarzam: „Boże nie jestem godzien, abys przyszedł do mnie, ale...”, wywołują nieodmiennie za każdym razem moje łzy. Nie tłumię ich. Widocznie Bóg chce, bym oczyszczał się w głębi prawdziwie skruszonego serca w ten sposób.

Przyszła mi myśl przygotowania odczytu dla Wydziału Form Przemysłowych na wtorkowe seminarium nt. Wartość jako kryterium, lub Funkcjonalizm czy wartość, projektant wobec wyboru.

Zauważam u siebie tego rodzaju problem: zaczynam moralizować. Mówię o właściwych i niewłaściwych postawach. Również krytycznie oceniając siebie. Czy rzeczywiście szczerze to robię? Czy nie ukrywam swoich kompleksów w ten sposób wskazując na siebie: „Ja jestem lepszy, ja żyję bardziej moralnie”. Wiem, że „oni” nie żyją według Ewangelii, ale problem w tym, na ile powinienem się tym interesować, być krytycznym, a na ile zająć się porządkowaniem własnego domu, który, nawiasem mówiąc, w dosłownym znaczeniu wymaga ogromnej pracy, której ja przecież bardzo nie lubię. Lubię za to dużo mówić. Innych pouczać i wtedy sobie wydaję się lepszy, a grzech mojego lenistwa nie jest tak rażący.

Pan Lesław Kozłowski – adwokat, (w zeszłym roku chodził na kurs), jest bardzo chory. Po operacji jednej nerki. Aby dorobić do renty, ma zamiar zająć się malowaniem serwetek (nie wiem czy to prawda – wersja Wiktora Apro). Pan Kozłowski ma 12 tysięcy renty.

14 X 1985 r. - poniedziałek

Chłodno – wieczorem zaczął padać deszcz. Teraz słyszę jego krople na dachu. Dzień był pełny działania, spokojny, przeznaczony Bogu. Może modłę się zbyt mało. W każdym razie jeszcze modlitwa jest niepełna. Słowa gubię w myślach rozproszonych. Lepiej jest jednak niż na początku. Żyjąc wśród ludzi, staram się zwracać do nich przez Boga. Wizerunek...

Pięknie o Nim czytał w radio ostatni odcinek z książki „Aleja przyjaciół” Iwaszkiewicza, Zbigniew Zapasiewicz. O twarzy, o jej wizerunku. Fragment doskonały jako literackie tło zajęć z rysunku na temat portretu.

W dniu dzisiejszym zamiast malować, musiałem zająć się pracami domowymi. Proza: prasowałem bielizny, w czasie tych czynności myślałem o Kamili i często łapałem się na tym, że zwalczałem w myślach jej poglądy, jej zachowanie. Zastanawia mnie, na ile jest to potrzebne. Myślę teraz, że wcale. Gdy będę się wdawał w tego rodzaju wewnętrzne polemiki, zabraknie mi duchowych sił do pracy wewnętrznej. Jako walczący, nie walczę przeciwko czemuś, lecz za czymś. Brzmi to niegramatycznie, lecz skróciłem to dla nadania tej myśli formy maksymy. Wieczorem czytałem Staffa. Przygotowuję wieczór jego poezji. Piękno opisów przyrody niezapomniane. Jutro będę prosił Boga o łaskę dla swojej pracy. Bez niej nie znajdę w sobie tego, czego szukam. Szukam czegoś, co wypełniłoby moją pustkę, gdy myślę o czekającym mnie rysunku lub obrazie. Praca jest szczególnie ważna w Bożym działaniu i nie można traktować jej w ten sam sposób, jak dotąd. Może dlatego nic nie czuję, że mam narodzić się nowy dla nowych zadań. Uważam, że tak na pewno jest. Szczęść mi, Boże!

Wyniki w wyborach: „Solidarność” poniżej 50 %, rząd 79 %.

15 X 1985 r. - wtorek

O godz. 6.00 dzwonek zbudził mnie. Wstałem rześki mimo tego, że śpię teraz bardzo krótko. Modlitwa i szybko wybiegłem z domu do kościoła. Przed 9.00 zabrałem się do malowania. Ciężko to wychodzi, gdy jest długa przerwa. Zrobiłem jeden rysunek. Zamglony pejzaż. Technika oparcia malarstwa na linii płaszczyzn wydaje mi się być bardzo owocna. Mówię to na podstawie kilku malutkich szkiców, które dla sprawdzenia zrobiłem. Wydaje mi się, że będzie można stosować ten rodzaj pracy bezpośrednio w naturze.

Dzień był bardzo markotny i deszczowy, ale powietrze jest w miarę czyste, przepędzone silnym, jesiennym wiatrem. Park wieczorem: chmury, niebo szare, czerwony odbłask, dobry temat malarski do bezpośredniego studium. Zauważyłem, że dopiero wieczorem pejzaż uzyskuje tę jedność potrzebną w obrazie. To co widzimy, najczęściej poddane jest jednemu zdarzeniu, związanemu z ruchem i światłem.

Przespałem dzisiaj w dzień niestety ok. 1,5 godziny. Byłem bardzo osłabiony i śpiący. Gdy jestem zbyt zmęczony, lub niewyspany, nie próbuję nawet wtedy malować. Nic nie wychodzi, muszę być w pełni sprawny psychicznie. Doszedłem do wniosku, że rano mogę zrobić tylko małą gimnastykę, natomiast na większy ruch mogę poświęcić tylko czas po południu. Rano nie mogę się zmęczyć ćwiczeniami fizycznymi. Dzisiaj od 9.30 do 18.00 biegałem w parku i ćwiczyłem. Wykonywałem ćwiczenia skoordynowane z oddechem, np. skoki z silnym wydechem, zamachy ramion z wydechem lub wyrzuty rąk (ciosy) z wydechem. Potem poszedłem do ciotki. Pokłóciłem się

bardzo, sprawa dotyczyła mojego mieszkania. Zaczęła się denerwować strasznie, gdy powiedziałem jej, że przemyśliwam zrezygnować z moich praw mieszkaniowych. W czasie rozmowy wyrzuciłem wreszcie i to, że pragnie w tej sprawie załatwić swoje interesy, jak powiedziała: „ta twoja buda się zawali i sprowadzisz się wtedy do mnie”. Miłe? Prawda? Powiedziałem, że nie cierpi Maryli i nie może sobie wyobrazić, że miała mieć takie korzyści. Powiedziałem również, że cały czas traktuje mnie w sposób despotyczny (bo ja chcę...), rozumując, że w moich sprawach może decydować według własnego mniemania, pomijając zupełnie moją psychikę. Tak niestety jest. Problem nie leży w tym, że ciocia jest autokratyczną, lubi o kimś sama decydować, lecz w tym, że ten rodzaj zachowania nadal bardzo przeszkadza. Chciałbym żyć tak, aby ludzkie, w moim mniemaniu, złe skłonności, nie wzbudzały niechęci, złości, oporu. Trudno, nie jestem taki. Marzy mi się jednak taki stan. Bez niego zaczyna się zwykła, życiowa szarpanina, a przekonałem się, że można żyć lepiej, inaczej. Boże, tylko w Tobie pomoc i dzięki Tobie. Jak mam postąpić, chciałbym się Ciebie spytać.

16 X 1985 r. - środa

Wstałem nieco później – z powodu bezsenności, byłem jednak na mszy i komunikowałem się.

Rysowałem martwą naturę według Chardina, posługując się sposobem, który pierwszy raz użyłem do narysowania martwej natury według reprodukcji holenderskiego malarstwa w Chełmnie. Sposób ten polega na początkowym przyjęciu silnego podziału płaszczyzny i rozbiciu form przedmiotów.

Praca w KOR – doskonale mi się pracuje. „Czuję” grupę i mam świadomość, że oni mnie także.

Po zajęciach byłem u Leśniaków. Przyszedł Klemens Baranowski. Była Ola Koziak. Klęła na jury konkursu Chopinowskiego.

Dzień zimny. Nie padało. Palilem w piecu. Samopoczucie dzięki łasce Bożej wspaniałe. Modliłem się długo za Marysię – po uczuciu złości, niechęci – spokój, dobroć.

Rozumiem: tylko modlitwa za tych, o których uważamy, że nas skrzywdzili. Tak naprawdę można przebaczyć. Zbliżają się moje imieniny, również wszystkich świętych. Zawsze był to okres ogromny mojego napięcia nerwowego oraz problemów psychologicznych związanych z wyjazdem do Katowic na grób mamy. Teraz już czuję to zupełnie inaczej. Kieruję się tam kiedy tylko to pamiętam: dewizę: „Działaj przez Chrystusa”.

Mój dziennik stale dotyczy działania Boga we mnie. Tak się dzieje. Dzieją się bowiem rzeczy niezwykle. Jestem prawdziwie uzdrowiony. Kartka od Olka Krzyżanowskiego, jedzie do Warszawy.

17 X 1985 r. - czwartek

Okazuje się, że album Klee'go, bardzo dobrze się nadaje jako pulpit do pisania. Bardzo przywiązałem się do moich zapisków. Teraz nawet z pewnym zniecierpliwieniem czekam na możliwość znalezienia trochę czasu, żeby skupić się, zasiąść do pisania.

Nie ma dni pustych. Nawet w takich, w których pozornie nic się nie dzieje, mam tak wiele do podzielenia się z samym sobą. Dziennik to osobliwa rzecz. Pisze się go niby dla przyszłości, ale właściwie to jest najniezbędniejsze narzędzie, potrzebne nam w naszym samorozwoju, trochę takie niezbyt obiektywne lustro. Po drugie

dziennik to konieczność, w której należy zastanowić się, zmusić do refleksji, nie często to robimy, i nie jest to takie łatwe.

Dzień był bardzo brzydki, wilgotno, mglisto, smrodliwie. Ulica Czarnowiejska stała się najruchliwszą w transporcie samochodowym w Krakowie. To znaczy, że jest strefą takiego stężenia, że nie można już nią chodzić! Kłopot w tym, że mieszkam w zasięgu tej strefy śmierci. Gdy sobie pomyślę o Górnym Sopocie, o panującej tam dawnej ciszy (mam nadzieję, że nadal tam tak jest), to robi mi się trochę smutno. Chciałbym z tego, niestety już ohydneho, Krakowa przenieść się na wybrzeże. Mógłbym może to zrobić tylko w ten sposób, że jakieś własne mieszkanie zmieniłbym na tamtejsze. Szkopuł, że własnego nie mam. Moja buda, pracownia, nie wystarczy. Do Biedy się przyzwyczaiłem, kocham ją. Nawet brak miejsca jest pojęciem nieco względnym. Dzisiaj byłem w akademiku ASP (gdzie dawniej mieszkałem) u Wieśka Nadymusa. Mieszka w jedyńce, w której mieści się mały tapczan i trochę miejsca na stół i jedno krzesło. Gdy maluje – powiadał, podnosi tapczan do góry. W ten sposób powstaje trochę więcej miejsca. A ja się skarżę, że nie mam warunków do malowania, etc. Faktem jest, przydałaby mi się trochę większa powierzchnia i lepsze światło. Czuję się tu jednak dobrze – warunki mieszkaniowe względnie dobre – potrzeby mam małe – zdolności organizacyjne i inicjatywę w zaspokajaniu własnych potrzeb jeszcze mniejszą, więc tkwię tu już tyle lat. Z pracowni w blokach zrezygnowałem. W porównaniu z tą, miałbym tam pełen komfort. Woląłem jednak ten prymityw, od wielu udogodnień, kosztem braku kontaktu z przyrodą i ludźmi.

Codziennie po obiedzie idę sobie na spacer do parku Jordana, patrzę na drzewa (niestety ubywa ich każdego roku – teraz

po silnych wiatrach padł następny olbrzymi dąb, zniszczony zupełnie u podstawy przez próchnicę), i czuję, że nasycam się czymś pięknym. Tam, na dawnym lotnisku, nie miałbym najmniejszych warunków do takiego życia.

Dzisiejszy dzień zacząłem dopiero o 8.30. Pomimo dzwonka budzika, nie chciało mi się wstać. Nie było już czasu na pójście do kościoła. Po południu zapomniałem to zrobić i nie byłem dzisiaj niestety w kościele. Przykro mi! Zapomniałem może dlatego, że byłem zaabsorbowany trochę (malowaniem), rysowaniem i dolegliwością kręgosłupa. Znow wypadł mi kręgiel i ledwo się poruszam, boli mnie do tego bardzo kolano (reumatyczne zmiany), tak że miałbym powody do narzekania, a ja chwalebę Pana z całego serca. Nic nie ma tu z pozy lub euforii nowicjusza. Tak naprawdę jest. Życie sprawia mi wielką satysfakcję. Uczucie można przyrównać do zakochania, gdzie wszystko w duszy pięknieje i „chce się żyć”. Ja myślę, że to też jest stan zakochania. Uczuciem tym obdarzam Boga – Chrystusa. Jest to jeszcze uczucie, które się rodzi, a ile już mam dzięki niemu dobrodziejstw. Trzeba mi żyć tak aby nigdy tego dobrodziejstwa nie zmarnować. Myślę tu także o różnych pokusach związanych z życiem męsko – damskim. Dzisiaj na przykład dostałem bardzo piękną pocztówkę ze Stegny (widok zmierzającego nieba i morza z łodziami), którą mi przysłała Małgorzata Chudzyńska – recepcjonistka. Na tę sympatyczną dziewczynę zwróciłem uwagę, bo pięknie wyglądała w granatowym kostiumie. Mało która dziewczyna umie się teraz tak ubrać. Przed samym odjazdem już, nawiązałem dopiero z nią znajomość – chociaż uroda jej i szyk bardzo mnie kusily. Obiecałem jej, że do niej napiszę kartkę. Dzisiejsza odpowiedź świadczy o pewnej kulturze tej

osoby. Otóż myśli moje, które krążą koło tej piękności nie są zawsze takie niewinne, oj nie zawsze! Tu jednak zatrzymuję się przed Drzewem Krzyża i przy nim zaczynam szukać nowego, głębszego stosunku do tej osoby. Żał porzucić dawny (wcale nie taki dobry świat, i pełen mało spełnionych obietnic), i pójść nową drogą.

Wczoraj zaczął się tydzień kultury chrześcijańskiej. Myślałem o pójściu na jakąś imprezę, ale nie czuję się najlepiej.

Wybieram się na imprezę teatralną organizowaną przez SOK o Chagallu. Gra teatr żydowski z Warszawy. Dzisiaj zarezerwowałem bilety.

Biedne ciocisko czekało na pewno dzisiaj na mnie, a ja nie poszedłem, ale ledwo się ruszałem.

Z rozmów z różnymi ludźmi, w których często, w zawoalowany sposób, pytam ich o stosunek do Boga, spostrzegam, że w trakcie rozmowy zaczynają jakby w tym przekonaniu się utwierdzać. Przekonaniu pozytywnym – mam na myśli.

O malarstwie piszę na końcu. To co dzisiaj i przed dwoma godzinami zrobiłem – skusiło mnie do tego, że powiedziałem do siebie podobnie jak Klee w Tunisie pewnego dnia, „dzisiaj narodziłem się jako malarz”. Wydaje mi się, że się tak stało. Powód jest prosty. Chodzi o technikę. Jeśli znajdzie się narzędzie, którym „robota” idzie o wiele sprawniej i gdy ma się już pewną wiedzę, to można mówić o pewnej kontynuacji, o znalezieniu wielu zależności, które do tej pory były traktowane w sposób indywidualny. Powstaje dobry obraz – rozumiesz jego zasadę – wiesz, że możesz nią posłużyć się z równym pożytkiem przy następnym malowaniu – w którym również powinienes w zasadzie zrobić dobry obraz – oto jest definicja według której powstaje dobry malarz.

By być swobodnym trzeba wpierw stworzyć warunki swobodnego działania. Te rysunki są bardzo swobodne, ale mają jakąś bardzo logiczną budowę. Tworzy je światło obrazu – nie to rzeczywiste, które oświetla przedmioty, ale to „właściwe”, potrzebne do stworzenia i nastroju i napięcia formy. Bez dużego napięcia formy nie ma wyrazu. Nic tu nie pomogą wszelkie komplikacje literackie.

Posługuję się techniką, w której linia i kolor znalazły swój doskonały, harmonijny związek. Nie eksponuję nadmiernie formy przez linię, ani także przez plamę. Jest to coś wzajemnie się uzupełniającego, co na rysunku widać jako duże bogactwo form. Z tego nowego podejścia płyną jeszcze nowe doświadczenia, także dla techniki olejnej, którą także (dzięki temu spostrzeżeniu) mam nadzieję kiedyś opanować. Otóż „cała” tajemnica polega na tym, żeby kolor obrazu uzyskiwać nie tylko przez zestawienie płaszczyzn, lecz nade wszystko przez nakładanie koloru na kolor.

Wiedziałem już o tym dawniej, ale praktyka nie potwierdzała tego.

Wtorek

Opuściłem się przez te kilka dni w prowadzeniu dziennika. Najważniejsze wydarzenia tych dni:

Piątek.

Okazuje się, że nie zapisałem pierwszej grupy w swoim dzienniczku. Dzięki tym notatkom wykryłem ten błąd.

Sobota.

Spotkanie rano z Olkiem Krzyżanowskim. Następnie przyszła Ewa Jankowicz – rozmowa o Bogu. Następnie przyszli A. Macedoński

z Anną Kowalską z Gdyni. Lekcja popołudniu – następnie byłem na przedstawieniu w Bagateli, na teatrze żydowskim Bon Jou Meesje Chagall⁹ – przedstawienie takie samo, jak ta moja francuszczyzna.

W niedzielę byłem na nabożeństwie w zborze Baptystów. Zostałem zaproszony przez prowadzącego zбір p. Bednarczyka do domu. Sympatyczny człowiek i spokojny. Dziwnie i fałszywie brzmiały w jego ustach stwierdzenia, że społeczeństwo miało tym razem szansę zmanifestować swoje stanowisko w wyborach, idąc i skreślając niektórych kandydatów lub pisząc swoje uwagi. Hipokryzja, zakłamanie, niewiedza, czy głupota...?

Zbory, jako małe grupy chrześcijańskie, potrzebują bardziej niż Kościół poparcia władz w swojej działalności – lecz o sprawach tych można myśleć przynajmniej bez zniewolenia (takie jest moje zdanie).

Niedziela wieczór – byłem na spotkaniu u Dominikanów ze St. Rodzińskim. Jak zawsze ciekawie mówi. Spokojnie i z dowcipem, gdy zechce. Jest w nim jednak jakaś postawa, którą trudno nazwać prawdziwie chrześcijańską. Jego mobilizacja wewnętrzna stworzyła w nim jakiś pancerz zewnętrzny, o który się potyka człowiek. Inna sprawa, że jest to przykład człowieka wielkiej pracy. Mnie się z nim nawet nie równać. W niedzielę byłem także u Jacka Waltosia. Jego uroda dziwnie przypomina mi jakiegoś włoskiego intelektualistę. Stał się teraz bardziej jeszcze ascetyczny. Jak zwykle on też nie miał czasu. Wyjeżdżał do Warszawy. Tam w kościele na Chłodnej zorganizowano ciekawą wystawę (komisarz Marek Rostworowski). Jacek zaprasza do siebie między

⁹ Chodzi o: *Bonjour monsieur Chagall*

4 a 20 listopada. Nie wiem doprawdy jak takie zaproszenie traktować. To, że nie jestem dla „nich” partnerem wiem od dawna, nie zabiegam też o to wcale. Chciałbym utrzymywać koleżeńskie stosunki, lecz to także chyba jest niemożliwe. Dwukrotnie zapraszałem Staszka Rodzińskiego na wystawę, ale widocznie nie było mu po drodze, skoro jej nie odwiedził.

Na spotkaniu zabrałem głos mówiąc o jego recepcji sztuki, powiedziałem wiele ciepłych słów pod adresem autora. Otrzymałem z tego powodu podziękowanie od... pewnej pani, która podobnie czuje.

W poniedziałek rano wizyta p. Anny Kowalskiej. Powiedziała wiele szczegółów ze swojego smutnego życia. Matka Żydówka, niewiadomy do końca los, może zamęczona w gettcie we Lwowie. Dziewczynka w rosyjskim internacie, w 1947 roku wywieziona w głąb Rosji. Koło Kijowa Banderowcy wysadzili most – pociąg się wrócił do Lwowa. Interwencja kardynała Sapiehy. Dzieci przewiezione do Polski. Wychowywała się u siostr w Nowym Sączu (było jej tam dobrze – głód). Potem zabrała ją jej babka – matka ojca. Ojciec ojca, oficer w gwardii cesarskiej Franza Józefa – zupełnie zatracił się po upadku monarchii (gdzieś to czytałem...) Babcia była bardzo dobrym człowiekiem. Bardzo się kochały. Anna wyszła za męża za człowieka mało zaradnego, milczącego, źle się czuje w środowisku z Gdyni, z mężem nie ma wspólnoty. Chciałaby się rozwieść. Jest po operacji jednej nerki. Ma duże smutne oczy, wąsiki wokół ust o dużych pełnych wargach. Włosy gęste, ciemne, ze śladami siwizny. Twarz pociągła, zaznaczona już wiekiem. Bardzo lubi Adama. Adaś nie czuje się dobrze z sercem. Prosił mnie przez Ankę o wizytę. Byłem wczoraj, ale ich nie zastałem. Wieczorem wczoraj byłem

na pierwszym spotkaniu z grupą pań malarek. Bardzo miła atmosfera. Przyjęły mnie bardzo gościnnie. Wszystkie przyniosły prywatne wypieki jako prezent dla mnie na imieniny. Pani Wanda Sykut dodała do tego jeszcze buteleczkę śliwownicy.

Po spotkaniu poszedłem do cioci Kamili. Zaczęła się przykra rozmowa, że nic nie robię ze swoimi sprawami, że ona jest załamana, że nie może znaleźć spokoju, itd., itd. W pewnym momencie wybuchnąłem. Zaczęła się kłótnia i padło wiele niepotrzebnych słów z mojej strony. Bardzo potem tego żałowałem i odwoływałem. Pójść do Canossy to nie znaczy złożyć głębokie przeprosiny, ale trzeba mi to rozumieć w kategorii Bożej. W tym wymiarze starałem się o porozumienie z ciocią. Obiecałem jej, że już nigdy nie będę się denerwował, co może być nie do spełnienia, ale tylko wtedy, gdy nie będę w swej pracy nad sobą zwracał szczególnej uwagi na rozumienie swej dumy. Stałe za bardzo ważne jest to dla mnie. Widocznie nie czuję się na tyle bezpieczny by mi to naprawdę było obojętne, co kto inny o mnie myśli lub chce ze mną zrobić. Złożyłem także obietnicę, że załatwię sprawę węgla, ZUS-u i mojego mieszkania. Ważne sprawy, oczywiście. Ale dla cioci najważniejsze, a dla mnie mniej ważne. Czy ktoś ma prawo z tego powodu robić mi tyle przykrości – a może ja to wyolbrzymiam?

Dla pana Bednarczyka mam zrobić dwa rysunki. Pokłon pasterzy i Trzech Króli. Bardzo kiepsko mi to idzie.

W niedzielę nie byłem w kościele. Dzisiaj i wczoraj rano także. Spałem dzisiaj do 9.30. Odsypiałem wczorajsze zdenerwowanie.

Sprawy listów nie mam za bardzo kiedy załatwić. Dzisiaj będę pisał. Listy do Klinki do Anny Soborskiej i Andrzeja Soborskiego

do Heydów. Wysłać krótki list do Deronia z 400 zł. Kartka do Małgorzaty Chudzyńskiej. Z Warszawy nadal brak wiadomości. Ciocia jest może bardzo obrażona?

Od kilku dni bardzo boli mnie gardło. Wskoczył mi także dysk. Ledwo chodzę. Byłem u lekarza. Biorę zastrzyki.

Sprawa szkicownika najważniejsza. Rysuje mi się bardzo dobrze.

27/28 X 1985 r.

Tydzień zmarnowanych, przez wiele tygodni wypracowanych, wewnętrznych osiągnięć. Straszne jest, gdy opuszczam się w życiu z Bogiem. Widzę jak niknie mój skromny, ale jakiś, dorobek pracy nad sobą. Pozbawiony tego moralnego wezwania staję się nikim. Przestaję pracować, organizować swoje życie, znika dyscyplina, a ulegam pokusom. Życie bez planu jest beznadziejne. Jutro, właściwie dzisiaj, moje imieniny. Nie mogę powiedzieć, że znalazłem się z dobrym, czystym sumieniem w tym dniu.

Wczoraj opadły wszystkie liście z kasztana za moim oknem. W ciągu jednej nocy stracił całe poszycie. Pamiętam gdy notatnik w tym roku zacząłem pisać w chwili, gdy kasztan zaczął się zielenić.

P. Anna K. – zaczyna coraz częściej u mnie bywać. Wolałbym zachować zupełną niezależność.

Wojtek Graczyk – psycholog, odwiedził mnie po trzech latach. Sądziłem że wyjechał. Z powodu grzechu nieczystości nie przyjmuję komunii. Jestem brudny. Trudno się wyrzec zupełnie kobiety, równocześnie życie w Chrystusie jest dla mnie jedyną szansą. Czy można znaleźć tu rozwiązanie? Żyję samotnie już może zbyt długo, bo czuję, że zaczyna mi ono smakować.

30 X 1985 r. - środa

Przykro mi to stwierdzić – straciłem prawie wszystko, co zyskałem przez swój wysiłek, a nade wszystko Łaskę Pańską. Od dnia kłótni z ciotką już zupełnie się opuściłem. Wstaję ponownie bardzo późno. Jestem zupełnie niezorganizowany, choć wewnętrznie nie musi to być widoczne.

Nie smakuje mi takie życie. Potrzeba mi wytrwałości, dyscypliny. Jakiejś jednej orientacji życiowej. Znów tyle spraw leży odłogiem. Dzisiaj jest przepiękny dzień. Słonecznie. Boże dopomóż. Imieniny miałem przyjemne. W niedzielę była Marysia Leśniak i Tomek oraz.... Wojtek Graczyk. W poniedziałek Jola i Krysia Żegleni, Adam Macedoński, Wojtek Graczyk, Anka Kowalska, Joasia Barszczakówna.

Wczoraj odwiedziłem p.p. Zamłyńskie. Pomimo tak długiej nieobecności były uprzejme i wyrozumiałe. Było mi przykro i nawet nie próbowałem tłumaczyć powodów swojego zaniedbania.

P. Anna Kowalska okazuje mi wiele względów. Wprawia mnie to w zakłopotanie.

Czeka mnie wiele korespondencji. Dostałem dotychczas tylko jedno życzenie imienninowe.

Zapiski takie mają przekazywać mój wewnętrzny obraz, ale niestety jest on o wiele bardziej zróżnicowany niż można wnioskować na podstawie zapisków.

31 X 1985 r. - czwartek

Po wczorajszym planie na przyszły miesiąc, zacząłem działać trochę sprawniej. Daleko mi jednak do rzetelnego wykorzystania własnego czasu. Dzisiaj trochę malowałem. Zrobiłem kilka szkiców

rysunkowych i jedną małą akwarelkę. Wszystko to były próby nowej metody, która okazuje się być łatwą do zastosowania wobec każdego tematu. Zrobiłem kilka prób z portretem i sylwetką człowieka. Rezultaty są lepsze niż przy każdej innej metodzie. Malowałem także akwarelkę – martwą naturę, tą metodą. Praca wyszła ciekawa: jest bardzo konkretna a zarazem zupełnie swobodna.

Otrzymałem dzisiaj pobory za ubiegły miesiąc – 7.800 zł. Staralem się kupić węgiel, są trudności, a do tego ta straszna biurokracja. Nawet nie piszę już na ten temat.

Powinienem pojechać na grób mamy. Myślę o tym i jest mi przykro, że tak się muszę do tego zmuszać.

Kręgosłup już tak bardzo nie dolega. Niestety gardło nie przestaje boleć. Inna sprawa, że się nie leczę. Dostałem korespondencję, Doniowie z Chełmna oraz p. Maryla Chodkiewicz z Sosnowca. Bardzo wzruszający list mi przysłała. Długi na cztery strony. Na sercu mi leży sprawa zaległej korespondencji do Królিকা i do Anny Soborskiej. Obie nie napisały życzeń. Nie wiem dlaczego liczyłem, że pomimo braku odpowiedzi przyślą mi jakąś karteczkę.

Rozmawiałem z H. Hosową w sprawie obrazu. Ma zamiar coś u mnie kupić. Jej koleżanka jest zainteresowana swoim portretem, który miałbym jej malować. Brak pieniędzy zmusza mnie do zainteresowania się zarobkowaniem.

Wczorajszy film w TV. Holokaust okazał się według rozmów ze znajomymi niewypałem. Jak robić dokument tyle lat po wojnie o takiej strasznej tragedii. Jak to wszystko przedstawić?

Dzisiaj było też trochę słońca – potem lało. Wieczorem silna mgła.

Ciekawy wywiad z Władysławem Szpilmanem, autorem wielu piosenek w radio. Okazuje się być kompozytorem muzyki poważnej.

Strasznie pijani żołnierze w autobusie. Dawniej się to nie zdarzało.
Bywam u Zamłyńskich.

2 XI 1985 r. - sobota

Wczoraj byłem u p. Kwiatkowskiej. Dowiedziałem się o śmierci jej matki. Scheda po niej, tzn. pokój, podzielony między Romków i p. Alinę. Alina dostała wąską kiszkę szerokości 2 metrów. Młodzi mają duże mieszkanie i jeszcze zaadaptowany strych. Brakuje im jednak miejsca. Byłem wczoraj na Salwatorskim cmentarzu – dzisiaj zaś na Rakowickim z ciocią. Gdy pomyślę o jej siłach, o umiejętności użytkowania swojej energii, przyznaję, że jestem zupełnie do niczego.

Nie pojechałem na grób mamy. Okropne. Już nawet nie katuję swojego sumienia. Zły znak jeśli oswojam się z tym brakiem moralności. Wynajduję sobie stale powody, że źle się czuję, że to i tamto, ale nie potrafię się zmusić by tam pojechać. Ja w Katowicach po prostu źle oddycham.

Pani Teresa Olczakowa odwiedziła mnie. Zdaje mi się, że były zakusy z jej i ze strony p. Sykut na moje starokawalerstwo. Wszystko w porządku, tylko czasem ona jest taka nudna, i tak mało atrakcyjna. Anna Kowalska była dzisiaj ze swoim mężem. Przyjechał jej „niemowa”. Na koncert, na który mnie zaprosiła, wzięła jego. Byliśmy razem potem u p.p. Brzozowskich. On, jej kuzyn, też żyd, ona Hennelówna z domu. Milutka, okrągłutka. Sympatyczni bardzo. Zrobiłem im dwa rysunki.

Dostałem kartkę od Królika. Pyta dlaczego nie piszę. Basio chorował na różyczkę. Królik bardzo zapracowana w przedszkolu.

Dzień był niebrzydki. Widziałem piękny zmierzch w parku Jordana.

Cały w rudościach, niebo rudo-różowawe, popielato-niebieskie mazy na nim. Ciemne pnie drzew. Cudowny widok.

Palenie w piecu o północy to jest prawdziwa męska sprawa. Przyjdą mrozy. Pożyjemy jeszcze... oj, pożyjemy.

3 XI 1985 r. - niedziela – godz. 00.00 w nocy

Powróciłem od Adama Macedońskiego. To człowiek, który zasługuje na miano – prawy. Jakże wiele dobroci w nim. W spotkaniu, w którym uczestniczyłem, brali udział oprócz Adasia, Anka Kowalska, jej mąż – Martin – holender, ożeniony drugi raz z Polką. Pracuje nad albumem sakralnej sztuki polskiej, oraz Andrzej, nazwiska nie znam. Człowiek niewątpliwie bardzo ciekawy, z duszą artysty, ale z jakimś rysem nieszczerości. Dlaczego tak sądzę...?

Anka jutro wyjeżdża z Krakowa, ma jeszcze mnie odwiedzić. Dzisiaj mi oświadczyła, że się oświadczyła i nie przyjąłem jej deklaracji (wszystko naturalnie, w dobrej żartobliwej formie). Ja nie umiem się zachować w takich ani innych wypadkach. Najlepiej się czuję wśród natury. Lubię ludzi – ale przyrodę kocham. Zabieram się jutro do pracy ochoczo. Wiele mam nowych pomysłów. Każdy spacer dostarcza ich całe mnóstwo.

Całą stronicę zapisałem już, ale nic nie powiedziałem na temat samego wieczoru. Adaś przyjął bardzo smacznym jedzeniem. Był ryż z sosem, który zrobiła Anka. Śpiewał piosenki, które są tak samo wzruszające jak on sam. Śpiewał również Andrzej. Pięknie gra na gitarze. Adaś nastawił taśmę z piosenkami o obrońcach Lwowa – Orłętach w wykonaniu współczesnym. Wielka kultura muzyczna. Wrażliwość na treść i formę. Wieczór był piękny, prosty, szczerzy, uczciwy. Uczy mnie jak powinno się żyć wśród ludzi.

Dzięki Ci Panie, za dar bycia z dobrymi ludźmi.

6 XI 1985 r. - środa

Bardzo mierne wyniki w życiu. Nie narysowałem nawet jednej kreski, nie napisałem jednego listu lub kartki. Byłem u Marysi Leśniak. Wszystko co tam się dzieje przybiera postać bardzo wątpliwą. Ciocia wyjeżdża jutro do Gliwic. Ofiarowała mi 4 tysiące złotych na węgiel. Piękny dar. Zostawiła stertę wskazówek. Cudowna ciotka. Wygląda bardzo dobrze.

Dzisiaj był piękny dzień. Słonecznie, ciepło, wiatr miotał liśćmi.

Byłem w KIKu na wykładzie o Edycie Stein. Zrobiłem to z myślą o Ance Kowalskiej, która z domu jest Stein.

Biorę masaże. Masażysta przychodzi do mnie.

Wczoraj dostałem dwa miłe listy. Od ks. Życińskiego i od Basi Mamot. Codziennie słucham BBC. Rozkład dnia jest nie prowadzony. Wiele przypadkowości, marazmu, ulegania zachciankom.

Źle. Boże pomóż.

12 XI 1985 r. - wtorek

Jakoś przerwałem (tak mi się wydaje), złą passę. Byłem apatyczny. Zaczęły pojawiać się stany lękowe i bloki psychiczne. Spanie do godz. 10.00, itp., objawy psychicznego rozstroju. Dzisiaj zaczął się dzień podobnie, ale w czasie rannych zajęć „oświeciła” mnie myśl, że powodem mojego złego samopoczucia jest mój brak aktywności. Wystarczy mi być aktywnym życiowo, a stanę się szczęśliwszym. Zacząłem działać według takiej naiwnej i prostej recepty, i zauważyłem pozytywne zmiany w moim nastawieniu. Zrobiłem wiele rzeczy, które były „nie do przeskoczenia”. Bóg mi znów podał

rękę. Boże dzięki Ci za to. Twój zawsze jestem.

13 XI 1985 r. - środa

Dobry, pracowity dzień. Dużo dobrego w pracy. Dzisiaj rano spadł pierwszy śnieg. Utrzymał się cały dzień. Dostałem nadzwyczaj długi list od Marii Chodkiewiczowej. Problemy w małżeństwie. Pragnie wsparcia – coraz więcej ludzi zwraca się o to do mnie. Dziwne? Dziękuję Bogu za dzień.

22 XI 1985 r. - piątek

Widziałem się z ks. Życińskim i wypowiadałem się. Powierzył mi opiekę nad Adamem Romanowskim, człowiekiem, jak twierdził, którego też żona opuściła. Widziałem się z Adamem oraz z jego, jak wnioskuję, przyjaciółką – aktorką, Marią Górecką. Rozmawialiśmy. Adam, jak spostrzegłem, jest u początku końca swojego tunelu ciemności. Oby tak było, bo jeśli nie, to zginie. Stwierdza chępliwie, że dużo, dużo pije.

Pracuje mi się znakomicie. Zrobiłem także dwa dobre rysunki. Wnętrze pracowni z zielonym oknem i Drzewo.

10 XII 1985 r.

Dzisiaj czułem się nie najlepiej. Brak koncentracji, poddenerwowanie, pomimo tego pracowałem. Zrobiłem rysunek przedstawiający wierzbę podświetloną, „Nocne wędrówki”. Pokazywałem moim sąsiadom, podobał się im bardzo. Zdanie może kurtuazyjne?

Jestem na urlopie w Skomielnej Czarnej, w domu nauczyciela "Czernolas". Wczasy zacząłem we wtorek 3. Urlop kończę 14.

Warunki bardzo dobre. Dzisiaj dopiero mam samodzielny pokój. Bardzo brakowało mi ciszy i spokoju do pracy. Trochę chodziłem po górkach, w piątek 4,5 godzinny marsz, w sobotę 6 godzinny. Byłem w Makowie – zajrzałem tylko, bo trzeba było wyjeżdżać.

Wczoraj byłem u spowiedzi i u Komunii Świętej.

Zdrowotnie nie najlepiej.

Czeka mnie ogromna korespondencja. Trochę odbiera mi to spokój. Mój biedny Królik – jak tu pisać po tak długiej przerwie.

Od początku mojego pobytu pogoda raczej nie jak w grudniu. Ciepło, a nawet długo było słonecznie. Od 13 listopada do Barbórki było zimno i śnieżnie. Trzeba prowadzić dziennik, stwierdzam jak jest potrzebny.

13 XII 1985 r. - piątek

Cztery lata już minęły od tej strasznej niedzieli. Tak niedawno, wydaje mi się, że to wydarzyło się. Nic właściwie nie zaistniało ważnego od tego czasu. Ciągle żyjemy tamtymi dniami.

Z melancholią i smutkiem zauważam, że moje życie także jest bez wyraźnych, poważnych dokonań. Zgubiłem gdzieś swój życiowy entuzjazm. Źle żyje się bez tego wewnętrznego porywu. Z jałowego życia wyrывa mnie czasem jakiś szczegół, jakaś myśl, jakiś błysk, na dzień, i potem znów wszystko wraca do stanu „normalnego”. Praca jest dla człowieka zbawieniem. Jest jego obowiązkiem, ale w tym obowiązku kryje się wielka radość. Ja jakoś nie umiem odnaleźć tej radości. Jest mi z tego powodu smutno. Może jest tak dlatego, że najczęściej pracujemy dla kogoś, przeznaczamy swój wysiłek z nadzieją że kogoś to ucieszy, że ktoś tego potrzebuje szczególnie. Dość tego lamentu. Trzeba się zmobilizować! Poproszę

Boga o łaskę pomocy i opieki.

Pogoda kiepska. Mało wychodzę na powietrze. Jestem jakiś wewnątrznie przygluszony, i nic mi się nie chce robić. Mam tyle listów do napisania i trudno się zmobilizować. Spróbuję.

Zapomniałem jakby o swoim programie odnowy. Smutno mi z tego powodu. Boże pomóż!

Kilka dni temu minęła rocznica mojego zamachu na własną twórczość i innych jeszcze okoliczności... Jednak żyję. Boże. Chciałbym Ci z całego serca dziękować. Dlaczego tak mało się cieszę?

Wczoraj odbył się „wernisaż” prac moich, u znajomych pań. Czytałem wiersze p. Wandy Sykut, przedstawiłem kilka rysunków. Pozornie wszystko jest w porządku. Wewnątrz próchno.

Od kilku dni mam samodzielny pokój. Brak rezultatów. Ciężki kac moralny.

16 XII 1985 r. - poniedziałek - godz. 6.00

Napisałem taki wiersz po przebudzeniu:

Ukrzyżowani życiem
umieramy spragnieni w labiryncie siebie
Światła Miłości

* * *

Ukrzyżowani życiem
spragnieni
Umieramy w labiryncie siebie
spragnieni światła
Miłości

* * *

Ukrzyżowani życiem
Umieramy w labiryncie siebie
Spragnieni światła
Miłości

* * *

Ukrzyżowani życiem
Umieramy z zaciśniętą dłonią w labiryncie siebie
Spragnieni światła
Miłości

Jest już kwadrans po pierwszej, 17 grudnia – nie czuję potrzeby snu. Wręcz przeciwnie, chęć działania, chęć pisania. Wyrażenia tego co czuję, co myślę. Wydaje mi się, wprowadzając dygresję, że zbyt wiele życia spędziłem tłumiąc naturalne instynkty życia. To, co było naturalne w mojej osobowości, w sposób niesłychanie brutalny, dramatyczny zostało w dużym stopniu ograniczone, wypaczone, zepchnięte w głąbię utajonego życia. Co było dalej?

Jeszcze raz użyję tego słowa (wydaje mi się), że to, przeciwko czemu tak silnie protestowałem, stało się powoli w pewnym stopniu moim wewnętrznym drogowskazem lub poprawniej – stale włączonym hamulcem.

Wyżej cenilem prawdę od prawdy.

Chyba nadal tak jest, bo tego nie można tak szybko się pozbyć, tylko przez stwierdzenie własnej ułomności.

Dałem sobie narzucić reguły według których nie potrafiłem żyć. Formułka człowieka przyzwoitego, nieskazitelnego, oto taki jakiś obrazek według miary na własne potrzeby. Szczególnie przyzwoitość mnie interesowała. Wynikała ona z formy wychodzenia z jednej strony pruderyjnego, z drugiej brutalnego i rozpustnego. Nie było prawdy – były półprawdy, które zmuszony byłem przyjmować jako pełne prawdy. Kłamstwo królowało. Nienawidziłem kłamstwa, ale czy nie kłamałem. Kłamałem wobec siebie, a raczej wobec otoczenia, tworząc fałszywy obraz siebie. Może to nawet nie było już kłamstwo. Wydaje mi się, że ja naprawdę zaakceptowałem taki obraz siebie. Starłem się zmusić do takiego stanu jako jedynego.

Człowiek składa się z barw ciemnych i jasnych. Nie ma człowieka w jednym kolorze. To ciemne często jest bardzo skrywane i przez to straszne. Rozmyślałem teraz nad tym, co napisałem i trochę przyznam się, że się przestraszyłem. Pomyślałem sobie o tych wszystkich zbrodniach świata: De Sadzie, Hitlerze, Stalinie i innych Kaligulach, którzy „prawdziwie” potwierdzili „wolność życia w prawdzie natury”. A więc przyjrzyjmy się temu. Czy rzeczywiście ludzie ci (pomijając ocenę moralną ich czynów), żyli w „prawdzie natury”? Użyłem tu tego określenia w formie cytatu, lecz jest to rodzaj zaakcentowania treści w postaci krótkiego hasła,

a więc czy ludzie ci byli prawdziwymi symbolami życia w wolności i życia w wolności natury. W żadnym wypadku nie! Spróbuję określić kryteria natury moje i ich. Według ich kryteriów, mam wrażenie, że byli zgodni z nimi, lecz według moich, natura to nie przyroda i jej prawa. Natura to o wiele więcej i coś więcej. To najkrócej mówiąc upostaciowienie Boga. Bóg upostaciowany jest we wszystkim co istnieje. We wszystkim. W każdej z tych rzeczy istnieje inaczej – w różnym stopniu jest nam dane to upostaciowienie i przejaw Boga identyfikować. Np. jest bogatą tradycją kultury, w monumentalnych formach natury widzieć oblicze boskie. Np. Karłowicza *Pieśni Odwieczne* (o Tatrach). Tymczasem we wszystkim jest jak mówiłem, Bóg. W tym zwykłym, polnym kamieniu także. Trudniej go tam tylko zobaczyć. Pytanie można postawić następujące: co wobec tego z siłami, które zwą się szatańskimi. Co jest ze Złem, które w życiu dostrzegamy ale nie umiemy powiedzieć czy obiektywnie istnieje, tzn. czy istnieje niezależnie od człowieka.

Stale przerywam pisanie – bo palę w piecu – jest godzina 2.00 w nocy. Sam smak życia!

Odpowiem na to w ten sposób. Nie wyobrażam sobie świata, w którym w nieskończoności Istnienia, miałyby istnieć Zło obok Dobra. Według mnie zło jest jakby niedoskonałością dobra. Każda postać zła jest (tak mierniam) zgubieniem, nieodnalezieniem tropu dobra. Nie jest odrzucaniem Dobra. Dobra nie można odrzucić, bo każda istota, która zaznała dobra, tym samym przeistoczyła się w tym dobru. Zakochując się stajemy się przeistoczeni tą miłością. Odrzucając miłość, odrzucamy w istocie nie prawdziwą miłość, lecz wyobrażenie o miłości.

W „Przygodach Człowieka Myślącego” jest taki mądry fragment. Córka zwierza się matce, że bardzo kochała, ale z jakichś tam powodów musiała z tej miłości zrezygnować. Na co pada odpowiedź ogromnie zaskakująca i mądra, że widocznie prawdziwie nie kochała, skoro mogła zrezygnować. Tyle mam do powiedzenia na temat zła.

Mogę sobie postawić pytanie: jak to, mówisz, że wierzysz, czytasz Pismo Święte, a w Nim, że Chrystus był kuszony przez Szatana, a ty stwarzasz obraz, w którym ten szatan zaczyna być niewidoczny. Andrzej Pisowicz mówi: „Jemu o to chodzi, żeby ludzie nie traktowali go poważnie”. Może ma rację? Może zło istnieje obiektywnie? Jako wieczne zło. Trochę to jest koszarne pojęcie – muszę przyznać.

Chciałbym napisać coś najważniejszego o moim nowym widzeniu Miłości, ale zagubiłem główną myśl w dygresjach. Jutro dokończę. Jest godz. 2.30 w nocy. Padał deszcz – jest na dworze ciepło, czego nie da się zupełnie powiedzieć o pokoju. Dzięki Ci Boże!

Porównanie z Tajemniczym Ogrodem.

Porównanie z Cudowną, Drogocenną Skrzyńeczką.

Przypowieść o konieczności wolności wyboru przez porównanie z drogami wędrowców, szlakiem utartym z drogowskazami i ścieżkami własnymi.

18 XII 1985 r. - środa

Wczorajszy dzień obfitował w przeżycia o ogromnej sile, doniosłe dla całego mojego życia. Myśl i decyzja bez których nie mogłem żyć normalnie. Wczoraj i dzisiaj także podczas modlitwy rannej pojawiło

się uczucie gorąca w obu uszach. Było to jakby otwarcie uszu związane z przyjemnym uczuciem ciepła. Poprzedziła to zdarzenie modlitwa długa, serdeczna o bezpośrednie słyszenie Boga. Wczoraj rozmawiałem z Pisowiczem o moich przemyśleniach. Zwierał mi się ze swoich ogromnych kłopotów psychicznych (natręctw lękowych), szczególnie związanych ze stosunkiem do Boga. Jest to stosunek pełen lęków, pełen zależności opartej na strachu. Mówiłem mu, że odrzucam i pragnę się wyzwolić z takiej koncepcji Boga. Pragnę kochać nie z bojaźni Bożej, lecz z prawdziwej, głębokiej Miłości jej istoty. Widzę ją, czuję ją jak kładzie balsam na moją duszę – jak nie mam być jej wdzięcznym? Nie chcę się jej lękać. Chcę ją kochać w całkowitej miłości, tzn. we wzajemnym zaufaniu, że nawet wtedy, gdy idę nie tak jak mówią to przepisy moralne, to nie tracę miłości z oczu.

Można kogoś kochać i w tej miłości wszystko przebiega jak w doskonałym mechanizmie, ale może być też miłość w której jest wiele problemów. (Gdy nie piszę do Królika – czy to oznacza, że przestałem go kochać – może wręcz przeciwnie), czy ilość modlitw dziennie i w nocy wypowiedzianych miała by świadczyć o mojej miłości do Boga?

Teza I: pomiędzy człowiekiem i Bogiem jest granica. Ta granica może być zredukowana, zmniejszona lub powiększona. Pomiedzy Nim a człowiekiem stworzono rodzaj Urzędu Pośrednictwa. Człowiek zaczyna przychodzić do urzędu pośrednictwa i słucha co do niego mówi Bóg. Nie przychodzi mu do głowy, że Bóg jest naprawdę w Nim, że mówi do niego bezpośrednio i że powinien z całej swojej woli starać się go dobrze słuchać. Modlitwa głęboka jest prawdziwym spotkaniem i słuchaniem Jego. Spotkać Go można zawsze,

tam gdzie człowiek nie naruszył poprzedniego porządku. W każdej częstotliwości świata w przyrodzie, i w człowieku każdym, jest Bóg. Nieszczęściem człowieka jest to, że naruszył ten cudowny, delikatny system nie do poznania. Czy Boga można słuchać w lęku? Nie. Lęk wyklucza prawdziwy kontakt z Bogiem. Czy można kochać Boga, gdy alternatywą jest szatan. To straszne, że miłość miałaby być obroną przed zagrożeniem.

Modlitwa do Boga w obliczu wszelkich wyobrażeń spraw problemu jest nieautentyczna, jest rozproszona. Nie mogę się modlić do Boga, myśląc równocześnie, że obok czyha na mnie Szatan – że każde moje potknięcie prowadzi mnie w ręce kata.

Albo jest Bóg i człowiek, albo jest Szatan i człowiek.

Może rzeczywiście istnieje obiektywne zło. Ale gdy istnieje Bóg, to zawierając Bogu, nie boję się że spotka mnie szatan, gdy pójdę głosem wewnętrznej prawdy.

Każdy ma prawo i obowiązek sumienia, słuchać siebie, naprawdę siebie. To moje wewnętrzne ja, to nie głos złego, który czyha na moją duszę, ale autentyczny głos Boga. Bo wszystko, co prowadzi do harmonii, do wewnętrznego ładu, jest z Boga. Człowiek stworzył cały abażur pojęć, napisał tysiące książek interpretujących Boga. Czy te książki, te ogromne, wspaniałe gmachy ułatwiają mu kontakt z Bogiem. Wątpię w to bardzo! Czuję (wewnętrznie) znów to odwołanie się do swojego wewnętrznego doświadczenia, że ogromne ilości informacji przesłaniają prawdziwy, spontaniczny odbiór dzieła. W tym wypadku Boga. Obraz Madonny Częstochowskiej był kilkakrotnie odnawiany. Według uczonych, znawców, to co oglądamy jest w małym stopniu podobne do pierwowzoru. Czy w czymś to przeszkadza? Przyjmujemy jako

podstawę, jakiś wyobrażony idealny kształt, który istnieje poza obrazem. A w obrazie istnieje tylko jakaś część tego idealnego. Czytając Pismo Święte mogę je czytać według materii, według ducha. Oto problem.

Teza II: pragnę mieć prawo do błędu. W doświadczeniu wewnętrznym pojawia się moje zrozumienie własnego „ja”. Bez doświadczeń także błędów i porównań z tym, co jest idealne, nie mogę stać się człowiekiem.

Teza III: wszystko co z doświadczenia wewnętrznego przenoszę na papier, jest tego doświadczenia bladym odbiciem, jest całe pokrzywione, jest niepełne.

Wniosek: werbalnie nie da się ująć w pełni tego, co człowiek czuje wewnątrz. Słuchaj wnętrza, usłyszysz Boga (na pewno nie szatana), jeśli można tak dodać.

19 XII 1985 r. - czwartek

Bardzo źle się czuję.

Mój mechanizm jest zupełnie rozregulowany. Strasznie cierpię z powodu braku kobiety. Ta namiętność, którą niechciany muszę znosić, sprawia mi taki ból, tak rozkojarza mój umysł, wprowadza w drżenie całe moje ciało, które staje się słabe, chore, bez odrobiny ulgi. Płonę rozpalonym ogniem (przez kogo i dla jakiego celu? – zadaję sobie to pytanie). Dlaczego muszę tak cierpieć? Nie chcę i nie potrafię Boże! Ulituj się nade mną! Jeśliś jest miłosierny – ulżyj mej męce. Gdy piszę te słowa, słońce weszło przez okno do mej pracowni, ale ja siedzę słaby i złamany. A jednak nie tracę nadziei.

Byłem u lekarki Marty. Rozmowa o moich i jej problemach. Smutna a jednak z jakimś światłem optymizmu. Oboje cierpiący – chcemy sobie pomagać, być dla siebie życzliwymi. Na koniec, gdy podawała mi receptę, spotkały się nasze palce. Przestraszyłem się tego kontaktu, ale się przemogłem i zatrzymałem je na jej dłoni. Pieszczota i tortura zarazem. Na pożegnanie przytuliliśmy się do siebie. Nieszczęśliwi czy zbłąkani, i to i to (ręce mi drżą gdy piszę to wyznanie).

Jakże się cieszę, że mam jakieś schronienie – ten własny kąt do którego mogę wrócić. Mam naprawdę nadzieję, że Bóg mnie nie opuści. Chciałbym napisać do Królika, ale jestem tak słaby... Noc, w czasie której prawie w ogóle nie spałem.

20 XII 1985 r. - piątek – rano

Wstałem w trochę lepszej formie.

Mówisz: „Zawsze podam Ci rękę”. Ale dlaczego choć raz nie dotkniesz mej dłoni.

Jedynym prawem człowieka, które jest wszelkim prawem, jest prawo Miłości.

Pisząc „prawo”, traktuję je w pojęciu zbliżonym bardziej do fizyki, aniżeli do jurysdykcji.

Prawo Miłości nie ma nic wspólnego z obowiązkiem, czyli z „Prawem Miłości”, jakby to napisali złotymi literami juryści sumienia.

Pojedyncza „cegła” nic nie wie o swoim przeznaczeniu. Osadzona w murze świątyni pozostaje nadal tą „cegłą”, lecz zarazem tworzy mur z którego jest zbudowana cała budowla. Dopiero w murze „cegła zna” całą architekturę, cały plan budowli.

„Najlepiej myśli mi się przy sprzątanu” - to taka myśl z perskim okiem.

Oto jej plon (cholera – zapomniałem). Może tak:

Miłość najgłębsza, najprawdziwsza jest bliska pojęciu Nieskończoności, więc może kojarzyć się tylko z Bogiem. Tak by to było gdy na to spojrzeć z rozumowego punktu widzenia. Miłość jest jednak nawet nie uczuciem. Jest stanem Mistycznym, lub bliskim jemu. Miłości nie da się zwerbalizować. Słowo nie jest Miłością. Miłość jest stanem mistycznym (jeśli cokolwiek mogłoby to określenie wyjaśnić). Dlatego nie możemy się odwoływać w naszym myśleniu, w naszym porozumiewaniu się ze sobą oraz z innymi, do pojęć jako do pewnych faktów: słowa to już nawet nie atrapy, rzeczy, nawet nie modele tych rzeczy, to pewne czysto zastępcze sygnały, których treść może ewentualnie zbliżać się do naszego doświadczenia wewnętrznego. Wydaje mi się, że zbyt długo słowo utożsamiano z Prawdą. Prawda (jeśli da się to tak wyrazić) jest tożsama tylko z naszym doświadczeniem wewnętrznym. Przez doświadczenie wewnętrzne rozumiem PROCES, czyli stan nieustannego, coraz bardziej głębokiego absolutnego integrowania naszej osobowości w kontemplacji w stan mistyczny. Czyli jednocześnie tego rozdzielenia w jedno.

Teza II: przez kontemplację, przez mistycyzm zbliżamy się do Prawdy Absolutnej, do Prawdy Miłości, do Miłości.

Wszelkie polemiki, wszelkie rozmowy są zaprzeczeniem możliwości dojścia do prawdy. Prawda leży tylko w nas, a nie w słowach, które je opisują. Zwycięstwa na argumenty są zwycięstwami na słowa, na pojęcia, na modele, nie na fakty transcendentne.

Dochodzenie do Miłości musi odbywać się poza wszelkimi faktami,

pojęciami, ograniczeniami. Musi odbywać się w absolutnej, niezakłóconej wolności, nawet poza wolnością, która także jest pojęciem.

Odrzucam pojęcia jako kryterium prawdy. Odrzucam filozofię jako kryterium prawdy. Odrzucam tzw. Słowo Boże jako kryterium Prawdy Absolutnej. (Bóg przemawia do nas w sposób bezpośredni, osobisty w głębi naszego istnienia, w głębi oblicza świata. „Słowo” jest werbalnym obrazem tego komunikowania się z nami i zupełnie zniekształca cały, intymny przekaz treści Bożej).

Szukać Boga można wszędzie, ale znaleźć Go można tylko w swoim najgłębszym „ja” albo inaczej we Wszech Naturze, bo Bóg jest absolutnie wszędzie. Tylko, że nie umiemy go zobaczyć, bo widzimy pojedyncze oderwane od siebie fragmenty. Niekoherentne zjawiska i przedmioty.

Teza III: jeśli chcemy żyć w Miłości, (to tak nawiasem) musi być to poza wszelkimi słowami. Pozostają tylko czyny. „Prawdziwa rozmowa odbywa się bez słów”, to dawno stwierdzone ciekawe spostrzeżenie.

Teza IV: może modlitwa powinna być wobec tego także poza słowami? Chyba tak.

Teza V: Wszech Miłość – czyli Bóg, objawia się w prawach Natury. Miłość erotyczna jest częścią prawa miłości.

Miłość erotyczna prowadzi do orgazmu – szczytu rozkoszy – ale zwróćcie uwagę – orgazm, nie jest jeszcze, ale może być stanem ekstazy – ale stan ekstazy, nie jest jeszcze, ale może być stanem mistycznym. Miłość jest to budowla, na którą wchodzi się stopień po stopniu. Można zaczynać z każdej strony i korzystać z najróżniejszych dróg.

Ważne: by nigdy nie zatrzymywać się na tym nawet najwyższym punkcie, ale iść stale dalej.

Teza VI: miłość – a cóż dopiero Wszech Miłość niczego nie przekreśla, niczego nie odrzuca. Miłość powinna naśladować Wszech Miłość, która jest Absolutnym Wszystkim. Umysł podzielił i nadal dzieli. Serce, albo miłość, stara się to co podzielone znów połączyć. Miłość łączy ze sobą rzeczy zupełnie sobie nawet przeciwstawne. Z rozumowego punktu widzenia jest to niemożliwe. Ale czy katedra nie jest zbudowana z wody i piasku, z ognia i z wody, z kamienia i z powietrza, ze światła i z cienia, z myśli i z tworzywa. Katedra jest genialnym przykładem istnienia tego, co nie może przecież istnieć – a przecież istnieje. Istnieje zbudowana z pełnych sobie przeciwstawieństw.

Tam, gdzie przeciwieństwa złączone są w Prawdzie – w Katedrze, tam istnieje prawdziwa harmonia.

Uwagi o prezentacji tekstu:

1. Porządkowanie.
2. Tekst nie podany w całości (hierarchicznie), lecz jako pojedyncze fragmenty całości „cegły”.
3. Każdy z czytelników musi zbudować sobie „Katedrę” według własnego planu, który będzie nieustannie tworzył (także po skończeniu lektury – prelekcji).
4. Impreza „Lektorium” – tekst nazywa się „Katedra”.
5. Czytanie „Katedry” poprzedza wstęp mówiący o „cegłe”, oraz uwagę od autora by czytelnicy nie czytali tekstu, lecz szukali ducha treści. Jednym słowem by nie porównywali ze swoimi pojęciami – nie dzielili, lecz łączyli samodzielnie w całość (Budowali Katedrę).

6. Jak powiedziałem tekst będzie składał się z pojedynczych fragmentów. Zupełnie nieistotne, który fragment jest czytany, bowiem w każdym fragmencie jest zawarty plan budowli, tak jak w każdej cegle, jeśli znajdzie się w murze – zawarty jest plan Katedry.
 7. Czytaniu towarzyszy dyskretna muzyka.
 8. W lektorium zapalone zostają świece – kontemplacja w atmosferze muzyki (muzyka jest obrazem rzeczy poza słowem).
 9. Cichnie muzyka – trwa nadal kontemplacja światła.
 10. Zakończenie.
-

Wieczorem:

Dzisiaj dostałem paczkę od Królika – cudowna – pełna ciepła. Dobry Królik. Słoneczko. 18 bm. napisałem do Małgorzaty list – erotyk, o treści tak śmiałej, że nie wiem jak mogłem się na to zdobyć. „Odpis” poszerzony, pozostał.

21 XII 1985 r. - wieczorem

Bardzo – bardzo złe samopoczucie. Cholerna samotność. Szukam ratunku wśród tak wielu ludzi, wśród tak wielu spraw.

Napisałem list – SOS do M. Chodkiewicz. Po co? Nie wiem. Coś powiedzieć o sobie. Wyrzucić to z siebie. Nie chcę Króla martwić, ma swoje zmartwienia.

Godz. 1.00 w nocy.

Jestem w taki stanie, że bym „to” zrobił, gdyby nie niewiadoma „co dalej”.

22 XII 1985 r. - niedziela

Piękna, słoneczna – południe – plama słońca na podłodze, dotykam rzeczy bezsilnie starając się wprowadzić jakiś ład. Chwytam jakieś nowe koncepcje życia, by stworzyć jakiś ład w sobie. Wszystko na próżno. To się tak dobrze pisze – te słowa właściwie nic nie oddają. Nie oddają tego uczucia zagubienia, bezradności, pragnienia wyzwolenia się i popadania w niewolę. A jednak ufam Mu mimo tego, że krąży już koło mnie myśl o pożegnaniu życia. Powiniennem pójść do kościoła.

Wieczór:

Byłem u M. Góreckiej. Serdeczny człowiek. Trochę się rozkleiłem. Byłem u Wojtka i Lidki. Jak zwykle rozmowa potem o problemie „jak żyć?”. Kościół. Jutro powiniennem pojechać.

Czuję się lepiej. Napięcie zmalowało.

23 XII 1985 r.

Zbudziłem się w takim stanie, że zapragnąłem jak najprędzej zasnąć. Drugi raz zbudziłem się wypoczęty i w lepszym nastroju. Sen leczy. Mam jechać do Wrocławia. Nie czuję się na siłach do takiej podróży. Był u mnie Andrzej G. i Pisowicz. Andrzej jak zwykle wyszedł z pozostawioną instrukcją. Z niczego nie zdają sobie tacy ludzie sprawy.

Doświadczenia drugiego człowieka są mało przydatne, jeśli nie spotykają się z osobistym przykładem. Wracając wczoraj od Wojtka pomyślałem, że między ludźmi odbywa się jakaś nieuświadomiona wojna na poglądy, w której właściwego zwycięstwa nie ma. Nie można zwyciężyć w głębi drugiego człowieka. Można tworzyć chaos w jego poglądach, ale zbudować coś sensownego,

to niemożliwe do zrealizowania działania. Lepiej by człowiek wierzył nawet w kółek, ale żeby jakoś mógł żyć.

Zabieramy ludziom ich poglądy, rozbijamy ich życie, zostawiamy instrukcje i po powrocie stwierdzamy, że wszystko jest w rozsypce. Czy o to chodzi?

24 XII 1985 r.

Jestem we Wrocławiu pierwszy dzień. Psychika wydaje się być w formie. Mam do załatwienia... (...)

30 XII 1985 r.

Wróciłem. Z całej wizyty prawdziwy plon, który może się zrodzić, widzę w chęci pisania poezji. Stworzyło tę chęć wysłuchanie nagrania pewnego nieznanego poety i pieśniarza, w którego pieśni pt. Willi – zakochałem się. Na razie spróbuję stworzyć coś, co będzie czerpać z tej inspiracji, jestem ciekaw jak mi to wyjdzie.

Wizyta u Krzysia trudna. Brak mi tam tego prawdziwie rodzinnego ciepła. Przyznaję – oboje z Bogdą są serdeczni, ale w taki sposób, że człowiek zastanawia się czy nie jest tam intruzem, mimo zapewnień żeby częściej przyjeżdżał.

Wrocław jest ponury. Z wujem jest bardzo trudny kontakt. Bardzo cierpi na samotność. Wybiera wizytę na cmentarzu od kościoła. Jak bardzo jest to ludzkie. Ale przecież potępiłem to.

Byłem u Basi Loli. Wyjechała do Paryża.

Nie mam nic istotnego do zanotowania z tej podróży. Byłem w kilku galeriach. Złożyłem oferty wystawy, które zostały przyjęte. Najwcześniej w galerii Dworakowskich w październiku 1986 – a potem na placu Solnym. Będą katalogi.

Były kartki i listy. Także list od Anki Soborskiej. Odpisałem i wysłałem rysunek. U Krzysia trochę rysowałem. Powstało kilka rysunków. Może coś zapowiadają. Krzys nieustannie tylko narzeka. Słucham w myśli, szukam ratunku przeciwko takiej truciznie. Brakowało mi tam obok ciepła dużo naturalnego ruchu i prawdziwej wolności. Mając tyle wygod byłem jak sparaliżowany. Najgorsze to ten wieczorny rytuał telewizji. Nie ma czasu na lekturę, na mądrą rozmowę. Zgroza!

Byłem u Marysi Góreckiej. Jestem umówiony z Adamem, i jeszcze jedną panią... Z Sylwestra u Leśniaczków zdaje mi się nici. Nie przyjechali jeszcze.

ps. A jednak Krzysiu jest pełen dowcipu i chce być serdeczny. Muszę to docenić. Jak wiele robi.

31 XII 1985 r. – 1 I 1986 r.

Już nowy rok (N.R.) 1986. Cieszyć się czy smucić? Wieczór sylwestrowy spędziłem niespodzianie u p. Wandy Sykut, miło i serdecznie. Szkoda, że telewizja była głównym fragmentem programu. Poznałem p. Teresę. Intryga matrymonialna. Dziewczyna rzekomo nic o tym nie wie. Obie z siostrą kują jednak żelazo póki gorące. Przykład dla mnie jak się działa. A jednak mnie razi ten pośpiech, ten zdawkowy stosunek do sztuki. Może jestem przeczulony, jak zwykle. Dziewczyna niezbyt mi się podoba. Ale gdy pomyślę, jak ona mnie odbiera, szybko muszę powściągnąć moje pragnienia.

1 I / 2 I 1986 r. - noc

Nie byłem w kościele. Za to wczoraj byłem na długiej mszy. Czy mam grzech? Widziałem się wczoraj z Adamem Macedońskim. Ogromnie go lubię. Umówiłem się na dzisiejsze spotkanie i zapomniałem go zawiadomić, że nie mogę być. Głupiec ze mnie. Zostawił mi ciężką jak cholera paczkę z ziemniakami i kartkę. Poszedłem na dworzec pożegnać p. Teresę. To bardzo trudne co mnie czeka. Na dworcu jej nie poznałem. Stałem przed nią, przyglądałem się jej i zastanawiałem się przez dłuższą chwilę czy to ona. Ona chyba również nie była pewna kto zacz. Pożegnawszy ją pojechałem do Andrzeja. Wynikła rozmowa, w której zacząłem opowiadać swoje przeżycia. Rzecz cała była okropna, ale zło jest w jakiś niezrozumiały, ohydny sposób fascynujące. Jeśli to nie przesadne stwierdzenie, to była w tych zwierzeniach jakaś cząstka teatru okrucieństwa.

Pożegnałem ich (Irenę, Andrzeja, i jego mamę) bez większej ulgi. Nie było to katharsis. Wracając z powrotem rozmyślałem o wszystkim i postanowiłem, że zacznę pisać pamiętnik. Muszę widocznie zrobić spowiedź swojego życia. Jeśli tak długo te wszystkie udręki tak we mnie siedzą. Otworzyłem dzisiaj pierwszą stronę. W imię Boże!

Rano po przebudzeniu i modlitwie zasnąłem powtórnie. Później około 10.00 wstałem i zacząłem pisać list do Królika. Zażęknąłem za nim bardzo. Potem pisałem wiersz, który wczoraj zacząłem. Wysłałem go do Królika. Wiersz o poszukiwaniu Chrystusa.

2 I 1986 r.

Dzień, w którym moje samopoczucie mogę uznać za dobre. Zabrałem się do pracy. Rano gimnastyka.

Dostałem listy: od Andrzeja Soborskiego, od Basi Deroń i od Agnieszki. Odpisałem długim listem Basi. Byłem w pracy. Przypomniałem się Marcie. Biedne dziecko. Czuję się być potrzebnym.

3 I 1986 r.

Byłem na filmie „Dreszcze” Marczewskiego w „Kulturze”. Wstrząsający. Ta idiotka, Bożena Syczyńska zadawała przez cały film idiotyczne pytania, a komentarze po zakończeniu były przerażające. Równe głupocie, ciemnocie tych, których ten film oskarża. Zaproponowała mi wspólne spędzanie czasu na balu lata 1956. Piwnica pod Baranami. Po tej dawce jej inteligencji mam zupełnie dość jej towarzystwa. Byłem pierwszy raz w pracy – martwa natura.

Dostałem list od Maryli Chodkiewicz. Powstrzymuje mnie od samobójstwa. Widocznie jakieś straszne rzeczy jej ponawypisywałem. Sam nawet nie wiem co, w jakim byłem napięciu. Cytat z listu:

„Płacząc całowałam Twój list...”

Tak mnie to podnieciło, że nie mogłem czytać dalej. Miłość – erotyzm – seks. Wszystko to zbawienie i udręka. Straszna udręka. Napisałem długi list do Andrzeja Soborskiego. Korespondencja z M. Chod. przybiera niebezpieczne odcienie zbliżenia. M. proponuje telefoniczne rozmowy. Nie mogę jej pozwolić na jakikolwiek rozłam w małżeństwie. Czy uczciwie czuję to co napisałem?

Myślę o Dekalogu i myślę o niej, czasem jako o kobiecie. Wynika to może z moich potrzeb a nie z zainteresowania jej kobiecością. Znowu mam powód do zmartwień. Chętnie ten cały kram oddałbym psychologowi i księdzu, i powiedział bym do nich: „Dajcież mi wreszcie święty spokój”.

6 I 1986 r.

Wielkim szczęściem jest być kochanym, ale może jest jeszcze większym – kochać. Piękna, nastrojowa muzyka przypomina mi uczucia, o których znaczeniu i stanie dopiero teraz się dowiaduję. Widzę i czuję obecność Ani.

Dzisiaj się odbyła msza ormiańska. Do mszy służył księdzu Kowalczykowi wywiadowca SBek. Kapitalne! Na opłatku u Dominikanów, gdy ksiądz mówił o Białym i Czerwonym Carze – notował skwapliwie. Specjalnie mu się dyskretnie przyglądałem, ponieważ go rozpoznałem.

Do trzeciej w nocy czytałem "Iwa Zielona" Sikorskiego o polskiej obronie rubieży wschodniej w czasie II wojny światowej. Straszne opisy mordów ukraińskich. Gdy czytałem to myślałem o Marysi. Nigdy nie słyszałem z jej ust słów potępienia dla tych zbrodni, czy to nie symptomatyczne, że kto choć trochę czuje się Ukraińcem jest pozbawiony zdolności oceny moralnej tych strasznych zachowań. Dlaczego? Czy to solidarność i patriotyzm uniemożliwia znalezienie słów potępienia dla tych potwornych okrucieństw. Świat naprawdę jest czasem tylko – chciałem napisać czarno białe – ale się zawahałem. Nie wiem jaki jest. Ale jest okrucieństwo i zarazem miłość. Dlaczego Boże to wszystko jest tak bardzo wymieszane.

7 I 1986 r.

Miałem rano sen. Śniło mi się, że dostałem biały samochód. Jakby dla próby, pchnąłem go na szosie i gdy zaczął się toczyć przyglądałem się jak jedzie. W pewnym momencie szybkość wzrosła i zaczął się oddalać. Zorientowałem się, że już nie dobiegnę do niego. Rozglądałem się za jakąś pomocą, ale nagle pociemniało i tylko jakiś chłopiec z rowerem się nawinął, a samochód na szosie był już coraz mniejszy. Gdy gorączkowo dalej szukałem jakiegoś pojazdu, zobaczyłem, że przede mną jest ogromna przeszkoda nie do pokonania, wielka góra zwalonego kamienia łupkowego, takiego jaki spotykamy w węglu kamiennym. Stałem pod tą górą bezradny. Zbudziłem się o 10.00. Modlitwa do Boga. W czasie snu męczyła mnie taka myśl: „To już jest twój trzeci samochód i z powodu twojej opieszałości go utraciłeś”.

Wczoraj otrzymałem list od cioci Reni z Warszawy oraz od Anki Kowalskiej. Prosi o długi list. Wyczuwam jak gdyby żal. Może to nieprawda?

Kiedyś przeczytałem, że odbyła się wraz z pokazem filmów Wajdy jego wystawa obrazów – studiował w Krakowie na ASP. Tytuł jednego z obrazów „Molo w Sopocie”, zapamiętałem szczególnie i w jakiś sposób tworzył niejasną wizję, która mnie fascynowała. Postanowiłem spojrzeć na swoją twórczość pod kątem tego zdarzenia.

Oto przemyślenia: obraz powinien zaczynać się w konkretnej rzeczywistości, np. molo w Sopocie, stara fabryka, zmierzch w górach.

Obraz, ten rzeczywisty musi być przetworzony w kompozycję, w której jest zawarta poszerzona o przeżycie synteza tego obrazu

rzeczywistości. Wszystkie środki jak kompozycja światła, cieni, ciepłego, zimnego, przestrzeni, ruchu jest podporządkowana wyrazowi. np. Mglisty dzień.

Rodziny nie są systemem fortec oddzielonych od społeczeństwa, na których spoczywa obrona wartości. Wychowuje rodzina, ale wychowuje także lub deprawuje społeczeństwo. /z rozmowy radiowej nt. wychowania/.

Wieczorem wyszedłem spotkać dziewczynę, która zapraszała mnie do klubu. Odwiedziłem kolejno kilka, nigdzie nie trafiając na właściwy grunt. Samotność jest wtedy uczuciem konkretnym, jak szare pnie w szarym tle parku (temat jednej z prac rysunkowych – którą dzisiaj zacząłem). Uczucie samotności jest moją trucizną. Problem jest taki: podobają mi się te, które mnie nie chcą. Znacznie mniej podobają mi się te, które mnie chcą. Jak. np. Ewa Krzysztof. (z jej ust padła propozycja matrymonialna).

Coś weselszego: spadł cudowny śnieg. Kraków wieczorem stał się bajkowo piękny. Gdybyż taka była zima w mieście. Rysowałem jak wspomniałem „Zimę w parku” według nowej koncepcji, która nowa wcale nie jest. Nie szkodzi, jest mi trochę przyjemnie odczuwać wyraźną konkretność postawionego problemu do którego dążę.

Bardzo tęsknię do Królika. Tak bardzo bym chciał z nim porozmawiać. Byłem u Marty – dr. med. Przywitała mnie od progu: Ty (nigdy nie byliśmy na ty), nie wiesz jakie miałam problemy przez Twój wiersz (który znalazł podobno w jej torebce jej mąż). Treść zupełnie nie erotyczna, więc nie mogę powiedzieć,

żebym działaniem swoim mógł spowodować jakieś komplikacje w ich małżeństwie. Jestem jak najdalej od tego. Ona jak sądzę też.

Jutro muszę napisać do Króla i do Maryli Chodk. Podała telefon, może zadzwonić? Nie lubię tego. Cała ta sprawa jest bardzo dla mnie kłopotliwa.

Śpię dobrze. Biorę wprawdzie proszki. Boli mnie ostatnio bardzo kręgosłup i także kolano, prawe. Zwłaszcza jak jest zgięte (jak teraz). Dziękuję Bogu za dzień. Choć spędzony w smutku – zawsze może być gorszy.

9 I 1986 r.

Jak mogłem przewidzieć, dzień zacząłem dopiero ok. 9.30. Do pracy zasiadłem zaś ok. 12.00. Mało wyników. Pracowałem nad kompozycją „Park w zimie” według pewnych sugestii poprzednio opisanych.

Popołudniu odwiedziła mnie Basia Krajewska. Rozmawiałem długo. Oglądała prace. Dość surowo – trzeba powiedzieć – oceniała. Podarowałem jej mój olejny obraz na tekturze. Martwa natura z butelką (i czerwonymi garnkami). Wieczorem poszedłem odwiedzić moje znajome, których nie zastałem. Samotność ścisza serce jak w imadle. Spotkałem Klemensa Baranowskiego. Sprzedałem mu narty i kijki. Też samotny, choć może nie skarży się tak jak ja.

Dzisiaj jest wyjątkowo zimno. Piękny słoneczny dzień. Boże, pomóż żebym jutro spędził ten dzień dobrze i pracowicie. Rano czytałem „Złotą nić”. Samotność gryzie. Wczoraj było u mnie trochę gości. Spoglądałem w twarz Ireny z kursu. Sylwetką i urodą przypominała mi Alę w doskonalszym wydaniu. Jak bardzo tęskniłem. Zdaję sobie sprawę z jałowości takiego wypisywania

i wspominkowania, ale cóż ja poradzę.

Jeśli człowiek jest wolny, ma wolną wolę, tzn. „działa w wolności wyboru”, to jak wyglądać może stan braku tej wolności. Trudno mi to sobie wyobrazić. Bo mój stan wewnętrzny trudno nazwać stanem wolnym.

10 I 1986 r.

Dzisiaj był mój benefis u Leśniaczków. Wieczór poezji Tadeusza Łukasiewicza spodobał się zebranych. Mam nadzieję, że nie była to tylko kurtuazja. Bawiliśmy się potem wesoło i śmialiśmy się. Śpiewaliśmy kolędy, a Christine śpiewała „Summertime”, tak jak nie śpiewa nawet Billie Holiday. Na nocleg przyjechał Klemens Baranowski.

Spadł dzisiaj duży śnieg, niestety już stracił zupełnie swą świeżość. Odwilż.

Przyjechała Anka Kowalska z Gdyni we wspaniałej kreacji – kurtka à la Szach Perski, z własnych skrawków materiału i według własnego pomysłu. Anka to zupełnie wspaniały człowiek.

12 I 1986 r. - niedziela

Byłem na nartach – poczułem się zdrowszy. Wieczorem odwiedził mnie Adam Macedoński – czekał na Ankę K. Postanowiłem mu ofiarować jeden z moich rysunków. Pozwoliłem wybrać dowolny z całej teczki. To co mnie spotkało jest jakąś nauczką. Oglądał te rysunki – tak, że niektórych nie chciało mu się nawet odwrócić. Myślałem, że mnie jasna krew zaleje. Wybrał jeden z pejzaży znad Rożnowa. Lepiej szybko zapomnieć o obrzydliwym fakcie. Nie będę

się śpieszył z takimi darami już więcej. Anka wczoraj też tak oglądała, że wiele prac było po prostu pominiętych. Nie do wiary – jak lekceważący i niechlujny jest stosunek nasz do cudzej pracy. Wyprowadziłem z tego zdarzenia pewien wniosek, z którego to powodu tylko chciałem ten incydent opisać. Otóż wydaje mi się, że wszelkie idee, teorie, dobra, etc., sprawdza się jak papierkiem lakmusowym w jego stosunku do drugiego człowieka, i w jego poszanowaniu wartości duchowych lub braku tego poszanowania.

13 I 1986 r. - poniedziałek

Dzisiaj przyjechała ciocia. Byłem na dworcu, gdzie pomogłem jej w przyjeździe.

Pisałem kilka tekstów w notatkach na temat opery.

Byłem na zajęciach z kołem plastyczek – amateerek. Ustalony został program zajęć.

Byłem u Andrzeja Bohosiewicza. Rozmowa głównie na tematy seksualno-erotyczne. Wspomnieniowe opowieści. Wypytują mnie stale o kobietę.

Dostałem list od Anki Soborskiej. Bardzo opisowy i „nieprzemakalny”. Brak jakiegokolwiek informacji od Króliczka.

15 I 1986 r. - środa

Poznałem wczoraj Elżbietkę – dziewczynę z Jacht Clubu i jakbym się w niej zakochał. Staram się nie myśleć o jej wzajemności uczuć – może ważne jest naprawdę to, że to ja poczułem w sobie to uczucie do niej i abym go nie stracił. Jakiż to wspaniały dar niebios dla człowieka, miłość. Ona go zmienia – przeobraża w ludzi, którzy zaczynają pełniej żyć. Zdaję sobie dobrze sprawę z naszej

dysproporcji wiekowej, ale to nie jest istotne dla człowieka, który prawdziwie kocha. Trudno mi powiedzieć o sobie, czy prawdziwie kocham. To byłoby śmieszne spotkać kogoś i nieomal od pierwszego wrażenia się w kimś zadurzyć. To raczej na przygotowany stan wewnętrzny odpowiedziała nieśmiało owa młodzieńca dziewczyna (III lub IV rok studiów). Elżbietka ma piękne szare oczy, i olśniewająco białe zęby – jest bardzo szczupła i ogromnie miła. Zaprasza mnie na bal żeglarza do Wielkich Salin. Bilety wykupione, ale twierdzi, że jakoś bym się przeszmygłował. Nie bardzo mam ochotę na ten bal – po pierwsze, że w piątek, po drugie – pracuję do późna, po trzecie, Saliny – a więc daleko. Jak na zakochanego zbyt wiele mam starokawalerskich przywyczajeń. Elżbietka jest spod znaku Skorpiona. Spytałem czy odpowiada horoskop jej wewnętrznemu charakterowi – twierdzi, że tak. Anioł z takim znakiem?

Odwiedza mnie Anka Kowalska.

Była po wielu miesiącach nieobecności Basia Wróblewska. Rozwodzi się.

Odwiedziłem H. Bachnacką.

Piszę rock operę o miłości. Zacząłem od układania treści piosenek. Dostałem książkę od Basi Wróblewskiej „Buszujący w zbożu”. To nadzwyczajna intuicja, bo właśnie myślałem o tej książce.

Dzisiaj od południa było piękne słońce. Umyłem oba okna i posprzątałem łazienkę. Tak robi człowiek zakochany, który otrzymuje ogromny zapas optymizmu i energii.

Przeczytałem przed chwilą kilka swoich notatek – wydają mi się interesujące i możliwe do zastosowania w mojej operze.

Z Anką Kow. byłem na kawie, ma jutro wpaść. Wieczorem mam mieć randkę. Wcześniej do cioci – kiedy ja będę pracował?

16 I 1986 r. - czwartek

Rano jak zwykle: sprzątanie, mycie podłogi, gimnastyka. Miałem na mieście załatwić swoje sprawy, ale Anka zapewniała, że będzie u mnie, więc czekałem. Była dwa razy. Ogromnie sympatyczna osoba.

Wpadła do mnie Iwona Piotrowska. Opowiadała dużo o swoich problemach życiowych. Ma dziecko z Libijczykiem. Kto by nie miał w takich warunkach kłopotów. Dziewczyna jest bardzo sympatyczna. Dzień wczorajszy był pod znakiem deszczu. Od ranka, ok. 10.00 śnieg. Byłem na nartach.

Wpadłem zobaczyć się z Elżbietką. Wyrolowała mnie. Fakt. Poszła z jakimś brodatym facetem. Zabrałem jej koleżankę do siebie. O kształtach do których aż się ręce wyciągają. Gadałem głupstwa zamiast babkę zabawić. Idiota.

Czytam Salinger. Zupełnie inaczej ta książka mi brzmi. Mniej przenika mnie jej atmosfera. Pustka, smutek. To były te dawne wrażenia. Długi i drugi list od Adasia z wojska. Od Królka ani słowa – szkoda. Pewnie jest w szpitalu. Nic nie wiem, co się tam dzieje!!!

17 I 1986 r. - piątek

Pracuję w domu. Porządkuję go. Mam czysto – przyjemnie. Piękny śnieg pada za oknem. Tylko człowieka brak i dlatego smutek nagle tak gwałtowny, tak ciężki, że wykrzywia mi twarz grymasem bólu. Jedynym moim ratunkiem modlitwa. Za chwilę muszę wyjść do pracy, a dopiero co wróciłem. Piękny dzień. Tyle śniegu.

Słońce, gdy zachodziło, nie było nigdy piękniejsze. Park Jordana wydawał się jak z jakiejś cudownej bajki. Mnie tak smutno, że aż źle bardzo.

(Opisać epizod z eklerkiem).

18 I 1986 r. - sobota

W znalezieniu jakiej takiej równowagi pomaga mi moja praca nauczycielska. Wyszedłem wczoraj zgnębiony z domu – trafiłem na wiele zadań i wróciłem odprężony. Miałem dzisiaj gości. Uczniowie. Pokazywałem prace. Sądzę że niezbyt im przypadły do gustu – choć chwalili. Może zbyt trudne dla ich percepcji, choć to co najlepsze (kompozycja z przedmiotem – czerwona) – umieli rzeczywiście nagrodzić aplauzem.

Ofiarowałem Włodkowi Płanecie bardzo ładny, malutki rysunek. Podobał mu się. Wczoraj Dorocie Geleczyk ofiarowałem jeden z ważnych rysunków, też tylko dlatego, że się jej podobał. Dzisiaj ofiarowałem Ance Kowalskiej rysunek z wystawy pt. „Pejzaż przed burzą”. Powód ten sam. Byłem dzisiaj na spacerze z nią. Opowiadała mi koleje swojego losu. Smutne, trudne. Wartościowy człowiek uwikłany w uczuciach do mężczyzny, który traktuje ją bez prawdziwej miłości.

Spalone rogaliki (opowieść Anki):

Jej przyjaciółka w czasie stanu wojennego urządziła dla dzieci swoich koleżanek kinderbal. Piekła rogaliki. W czasie całego tego zamieszania spaliła je. Zaczęła dzwonić do swoich przyjaciółek z wiadomością: że – spotkanie odwołane – rogaliki spalone”. Po takim kilkakrotnym telefonie byli już szybko u niej ubowcy, siedzieli długo i czekali... Jeszcze jedno podziemie zostało przez

nich wykryte. Brawo!

19 I 1986 r. - niedziela

Wczoraj wieczorem piękny śnieg i zamieć. Rano – kałuże wody, odwilż. Cały dzień drobny kapuśniaczek. Mimo tego czułem się dobrze. Wieczorem byłem u Hasów na imieninach Heni. Moja mama obchodziła imieniny Henryki.

Zaproszona przyjaciółka skontaktowała się w sprawie malowania portretu. Nie wiem jak uda mi się to zrealizować.

Czułem się dzisiaj spokojniejszy. Skończyłem czytać „Buszującego w zbożu”. Książka podobała mi się, choć nie zrobiła już na mnie takiego silnego wrażenia jak 25 lat temu. Była wtedy bestsellerem.

20 I 1986 r. - poniedziałek

Rano przyszła Paganowska Magda. Stara się na studia plastyczne. Byłem z nią na formach przemysłowych. Pokazując jej swoje prace odnalazłem szkic do kompozycji w czerwieni. Bardzo mi się przydał. Zrobiłem następny z natury, bez tych wszystkich etapów wstępnych jak za pierwszym razem. Brakowało mi właśnie takiego podejścia, nie potrafiłem znaleźć klucza. A klucz był dawno zrobiony. Gdy rozmawiałem z Magdą, przyszła Anka – wspólnie poszliśmy na W. F. P. Zabrałem swoje prace do pokazania i do ewentualnej wystawy. Pokazałem je i zrobiły duże wrażenie. Piotr mówił dużo ciepłych słów. Spotkałem Haskę. Ogromnie się postarzał i niestety brzydko pachniało mu z ust. Był uprzejmy.

Byłem z Anką u Marysi. Bardzo chwaliłem jej rękodzieło krawieckie, bo jest ogromnie atrakcyjne. Dziewczyna ma wielki talent do komponowania. Znacznie mniejszy do malowania, choć myśli bardzo

symbolicznie w czym jest podobna do Marysi. Marysi malarstwo bardzo jej się podoba.

Spotkałem w stołowce Elżbietkę z Jacht Clubu. Oberwała pałę z jakiegoś przedmiotu. Była nie w humorze. Zaprasza się sama do obejrzenia malarstwa. Czyżby?

Byłem na zajęciach u nauczycielek. Pogoda zwariowana. W nocy straszny wiatr. Szyby co jakiś czas leciały z okien. Rano padał deszcz i wiał silny wiatr. Potem było nawet słońce. Wieczorem napadało strasznie dużo ciapowatego śniegu z deszczem. Okropność!!!

Jakaś cholerna choroba ścisnęła mi gardło. Trudno mi przełykać. Jutro do lekarza.

21 I 1986 r. - wtorek

Otrzymałem kartkę od Anki Soborskiej. Pisze o wyjeździe do Warszawy, o przygotowaniach do pracy magisterskiej. Dostałem także bardzo długi list od Maryli Chodkiewicz. Smutny, pełen nie wprost wypowiedzianego żalu. Bardzo osobisty – przez kilkakrotne powtarzanie mojego imienia. Słucham radia – muzyka Ellingtona, towarzyszy nastrojowi tego wieczoru. Byłem u ciotki i późno wracając do domu poszedłem na spacer wzdłuż Błoń. Świecił księżyc przymglony – konary drzew majaczyły czarnymi skrętami. Szedłem samotny – w jeszcze jeden dzień mojego życia. Dzisiaj odjechała Anka Kowalska. Pożegnałem się z nią, ale nie na dworcu. Nie lubię odprowadzać. Dzisiaj odwiedziła mnie Elżbietka, śliczne dziewczątko. Twarzyczka aniołka. Dwie godziny gadałem na temat historii rozwoju wojskowości w Polsce (jutro zdaje wojsko). Dziwaczne jak na pierwsze spotkanie.

Rysowałem dzisiaj według dawnej techniki (użycie trzech rozróżnień walorowych na całej płaszczyźnie). Martwi mnie brak wiadomości od Królika. Dlaczego nie pisze?

Dzisiejszy dzień był przepiękny, słoneczny – czyste powietrze. Niestety brak mi czystego sumienia. Nie spędziłem go pracowicie.

22 I 1986 r.

Trochę pracowałem – nie tyle, bym był zadowolony. Wracalem do domu bardzo późno z przedstawienia w teatrze: „Polskie Termopile” Micińskiego. Nie najlepsza sztuka, a grana tak fatalnie, z małymi wyjątkami, że z przedstawieniem szkolnym momentami mi się kojarzyła. Na rysunku oglądałem powtórnie rysunek Haliny Twardosz przedstawiający zwierzęcą czaszkę. Rysunek fenomenalny. Tak dużo wyrazu, że zdumiewające i podziwu godne. Mówiłem jej o tym, i sprawiłem jej wiele radości. Zapomniałem dodać, że zaprosił mnie do teatru w Łodzi Mastaliński, który spotkał mnie przypadkowo na ulicy i zaraz było to dla niego przeznaczeniem. Dobry, poczciwy, ale do wszystkiego przykładą Boga, jak taką formułkę, szablonik... Czy można mu zaprzeczać, nie podobna, więc milczę i słucham co nowego nas czeka, jak bardzo świat jest zepsuty, itd. Same prawdy, same truizmy, lecz nie pożywne jak by powiedział Błoiński – który znał truizmy pożywne. Jest już przed północą. W pokoju smrodek spalonego mleka. Znowu rano zbiegło na kuchenkę. Umrę, a problemu gotowania mleka nie rozwiążę. Jak mówić i czynić mi względem innych?

W teatrze siedząc, nawiedziło mnie nagle, gwałtowne poczucie własnej nicości. Coś jakby na Sądzie Bożym obraz własnej duszy. Przerażające!!!

W nocy miałem sataniczny sen, który przerwałem wołaniem Chrystusa. Złe duchy upostaciowione w jakieś nietoperze kształty, uciekły przed imieniem Jego. Mogę tylko zawołać Go – Boże ratuj. Tak oto bardzo poważnie kończy się ten dzień, apelem: zmień się. Noc jest wspaniała. Względnie ciepło i świeci cudowny księżyc. Może pójde w tę noc na spacer. Jeszcze jeden samotny.

23 I 1986 r. - czwartek

Dzisiaj pokazałem moją teczkę Jerzemu Górowskiemu. Bardzo mu się spodobały prace, te wcześniejsze nasycone przeżyciem zniszczenia konserwy I i II. Rozmyślałem o tej rozmowie w czasie długiego łążenia wśród skałek podkrakowskich. Pamiętam: szedłem drogą do Lidki Pogody (Korzeniowskiego) i w pewnym momencie myśląc o świetnych rysunkach Haliny Twardosz – mojej uczennicy, uzmysłowiłem sobie, że ona nadała tym przedmiotom na rysunkach wyraz egzystencjalny. To wystarczyło do zauważenia, żeby w każdej malowanej rzeczy szukać treści egzystencjalnej i wręcz ją w niej podkreślać bardzo.

Zrozumiałem, że powinienem kierować się tą definicją, że jej bardzo szukałem, że jest to pewien mój własny dobry drogowskaz. Patrzyłem pod tym kątem na pejzaż i wtedy znacznie więcej widziałem w nim, oraz, co także jest ważne, znacznie lepiej wiedziałem jak pokazać pewne zauważone rzeczy. Definicja może brzmieć następująco: Każdy fragment natury, który jest motywem moich obrazów powinien być „zobaczony” w sposób egzystencjalny i wyrażony możliwie najdobitniej w formie kompozycji.

Pozostaje wyjaśnić znaczenie, w moim rozumieniu, terminu egzystencjalny. Otóż każdy szczegół natury, np. drzewa lub fragment drogi mają w swoim kształcie, barwie itd. zapisaną swoją przeżytą egzystencję. Tak zobaczona egzystencja współpobrzmiewa z przeżyciami autora. Wyrażenie tych spostrzeżeń, tych przeżyć, w sposób najczystszy, najdobitniejszy kompozycją, oto program mojej dalszej pracy.

Przyszedłem do domu i ze sporządzonych bardzo ogólnikowych szkiców narysowałem dwa szkice kolorystyczne do większych rysunków. Oba mi się bardzo udały. Co także jest ważne, a może najważniejsze – otrzymałem ogromną szprycę do pracy. Ochota do pracy jest ogromna, bo tyle nagle pojawiło się treści do wyrażenia. Oto powód chęci do pracy. Zastanawiające spostrzeżenie dla mnie, w mojej pracy nauczyciela.

Pominę opis sposobu odnoszenia się do mnie na Formach Wuckowskiego. Niby kieruje galerią, ale okazuje się być zupełnie niekompetentnym. Zmuszony byłem go przymusić do odpowiedzi w sprawie mojej ewentualnej wystawy. „Otręba ma się jeszcze naradzić z malarzami”. Można zwariować. Istny Watykan lub K.C. Niby decyzje zapadają „kolegialnie”. Czuję, że chcą mnie byle jak spławić. Zobaczymy!

Dzień był bardzo piękny – słoneczny i ciepły jak na tę porę roku. Wiał wiatr z południowego wschodu.

Bardzo bolał mnie kręgosłup. W pewnym momencie nie mogłem stać z bólu.

Zobaczyłem z tramwaju Jacka Woźniakowskiego. Marzę by napisał recenzję do mojej wystawy. To byłoby to. Muszę przystąpić do nowej wystawy z nowymi pracami.

MALARSTWO Egzystencjalne. Może, a na pewno inaczej. Po co nazywać!!! Trzeba stanowczo skończyć już z tymi nieustannymi etiudami i zacząć pracować na całego nawet na większych formatach. Przypominam sobie, że to co spaliłem lub pociąłem w dużej mierze miało właśnie taką treść i dobrą formę. Ważne, że wiem o co mi chodzi. Na koniec, to co zapisałem sobie naprędce na kartce, gdy dokonałem tego spostrzeżenia: każdy przedmiot ma swoją egzystencję. Np. „Molo w Sopocie”, pokazać za pomocą form, egzystencję tego obiektu, to jest: jego współżycie z morzem, wichrami, słońcem, słoną wodą, mewami, białymi statkami na horyzoncie i ludźmi na jego pokładach. Pokazać w jednej pięknej, nowej kompozycji.

24 I 1986 r. - piątek

Duże zadowolenie mam w pracy nauczycielskiej. Z Antkiem Wójcikiem rozmawialiśmy długo na temat jego artystycznych możliwości. Jest bardzo zdolny, tylko kompletnie przemęczony pracą. W drugiej grupie zdecydowanie zaczyna się wybijać na czoło Magda Paganowska. Stara się na studia. Jeśli tak dalej będzie pracować powinna się dostać, jeśli tylko pod uwagę będzie się brało stronę artystyczną pracy. Jutro rano ma przyjść na lekcję. Dzisiejsze studium martwej natury było zachwycające. Lekkie, czyste, piękne, wnikliwe, i do tego pełne światła. Znakomita praca. Moje postępy artystyczne może też są zauważalne. Praca poprzez studium formy egzystencjalnej jest bardzo owocna.

Złożenie w jeden kontekst dwóch metod: liniowej (odkrytej w Chełmnie, i stosowanej z dużym powodzeniem), daje rezultaty jeśli chodzi o zachowanie płaszczyzny. Sprowadzenie pracy do problemu

kompozycji. Natomiast w obrębie treści jest to nasycenie obserwacją egzystencji. Należało by to nawet wyrazić przeciwnie, a mianowicie: treść egzystencjalna wyrażona w kompozycji (najkrótsza i najtrafniejsza definicja). Pogoda dzisiaj była kiepska. Ciepło, straszny niż. Wieczorem deszcze ze śniegiem. W nocy źle spałem – kręgosłup boli. Psychiczenie jako tako.

25 I 1986 r. - sobota

Byłem bardzo zmęczony pracą. Rano obecność ludzi i popołudniu praca wyczerpała moje siły. U Marysi Leśniak był wieczór poetycki, na który poszedłem z obowiązku. Zmęczenie minęło i wrażeń wiele, bardzo wiele, po nim.

Wiersze Eliota czytał dobrze Klemens Baranowski. Potem Harasimowicza „Żaglowiec” czytała Marysia. Na końcu poemat „Siedem obrazów” napisany przez siebie czytał Romek Bolesławski. Wiersz bardzo mi się podobał.

Pomyślałem sobie wracając do domu samotnie, że samotność jest nie tylko jakąś wadą, jest także darem. Jak bardzo mogę się skupić na różnych ważnych i mniej ważnych fragmentach całego tego wieczoru, który był udany. Dziękuję Ci Panie!!

26 I 1986 r. - niedziela – godz. 22.00

Martha Argerich gra Szuberta „Arpeggione” (jeśli dobrze usłyszałem). Piękna muzyka. Przed chwilą wysłuchałem audycji, na temat człowieka – jego popędów i skutków tłumienia ich. Połączona z poezją. Bardzo potrzebna, bardzo piękna.

Dzień był dla mnie bardzo dobry. Rankiem przyszli do mnie uczniowie. Pokazywałem im albumy. Darek rysował moimi pastelami rysunek.

Byłem w kościele. Usłyszałem o krucjacie miłości (godzina skupienia i modlitwy dla papieża). Skromne, ale rozwinie się w coś wspaniałego.

Rysowałem temat butelki. Zrobiłem szkic, który jutro wykorzystam. Cieszy mnie ogromnie praca. Nowe pomysły, nowe chęci. Dużo zapachu. Boże pomóż! Dzięki Ci za dzień – dobry dzień!!!

à propos rysunku:

Kompozycja „Park zimą” nasunęła mi takie oto sformułowanie: „z formy wynika treść”, co uzupełniając, można by było powiedzieć, że dawniej (określenie bardzo umowne), do oznaczania malarstwa historyzującego i innego hołdującego fabule, a więc dawniej, forma wynikała z treści, dzisiaj treść wynika z formy. Poprawniej: Z formy wynika treść.

Studiuje Władysława Lama książeczkę pt. „Malarstwo i jego zasady”. Rzecz bardzo głęboka. Lam stanowił dla mnie prawdziwą szkołę, choć nie realizowałem jego nauk w sposób identyczny do tych, które zalecał.

Wydaje mi się, że od strony treści zdaję sobie już dobrze sprawę, co mnie interesuje, mało natomiast od strony formy, to jest to w sferze poczucia wewnętrznego.

Nie potrafiłbym tego jasno zdefiniować. Wiem, że dotyczy to zagadnienia światła – odprzedmiotowania – uprzedmiotowania za pomocą form ogólnych – stworzenie sugestii wyrazowej za pomocą kompozycji.

Rodzaje kompozycji.

27 I 1986 r. - poniedziałek – godz. 23.00

Życie moje, w splotach

dobra i zła

Nie do rozplątania.

Poszedłem na Akademię w sprawie ewentualnej mojej wystawy. Potraktowano tę sprawę w taki sposób, że powiedziałem sobie po wyjściu: „Masz rację unikając tych ludzi”. Tak pokrętne, tak nieszczerze, tak mało dobrego, koleżeńskiego stosunku. Referent Łukasiewicz złożył prace, które oceniono. Może wystawimy, może. Ale wystaw indywidualnych nie przewidujemy. Mam wrażenie, że powinni się cieszyć z mojej propozycji, ale sprawiłem im wiele kłopotu. Dość tej goryczy!

Byłem w Galerii Plastyki. Pokazałem prace, przyjęte pozytywnie. Proponują termin – koniec roku, początek nowego. Prowizoryczna umowa została zawarta.

Po tych wszystkich „przyjemnościach”, byłem tak zmaglowany psychicznie, że czułem się dosłownie okropnie. Wszedłem do parku Jordana. Było biało. Na śniegu tak piękny rysunek gałęzi i pni drzew zachwyił mnie. Spojrzałem na świat i czułem jak powoli, jak pod działaniem cudownego lekarstwa, zacynam znów żyć.

Wieczorem było spotkanie ormiańskie, po którym poszedłem do galerii Gołogórskiego, gdzie odbył się wernisaż wystawy Obrzydowskiego. Jego malarstwo muszę uznać za autentyczne, tzn. prawdziwie zespolone z tym człowiekiem. Od tej strony jest to jakieś kryterium prawdy. Dwie prace na tej wystawie mi się podobały. „Koc” oraz „La guerra continua”. Na wystawie spotkałem Jagiełłów. Zaprosiłem ich do siebie. Pokazywałem prace,

te z wystawy i te co robię aktualnie. Krysia, jego niedoszła, nowa żona była nimi zachwycona. Bardzo spontanicznie reagowała na kolor. Ofiarowałem jej jedną pracę z cyklu samotnego drzewa. Jestem na sobotę zaproszony do Gołogórkich. Prawdę mówiąc zaprosiłem się na ten dzień sam, po ogólnikowym - „kiedy nas odwiedzisz?”

Pracuję nad teoretycznymi przedstawieniami nowego widzenia płaszczyzny od strony rytmów. Palę w piecu. Zaczynam po raz trzeci. Jeszcze nie klnę. Dziękuję Ci Panie za dzień.

28 I 1986 r. - wtorek – godz. 22.30

Jestem bardzo zmęczony. W nocy przeżywałem senne koszmary, z których się stale budziłem i powtórnie zasypiałem do tego samego snu. Śniło mi się, że mnie jacyś młodzi ludzie, jak gdyby koledzy, obezwładnili i cięli moje ciało żyłkami. Czuję jak wraz z upływem krwi uchodzi ze mnie życie. Pamiętam, że we śnie zastanawiałem się co mam uczynić ze swoim cierpieniem. I przyszło mi na myśl, że mogę je ofiarować Bogu. Spałem dzisiaj do godz. 11.00. O 12.00 wyszedłem na spacer, koniecznie potrzebny dla mojej psychiki. Było przepiękne słońce – lekki mroziak, jasny, czysty śnieg i wspaniałe czyste niebo. Po drodze spotkałem Beatę Bielczyk i z nią przewędrowałem cztery godziny marszu do Lasu Wolskiego na Sowiniec i wałami Rudawy z powrotem. Z usposobienia Beata trochę podobna do mnie. Podobny odludek. Wróciłem z przemoczonymi nogami. Skostniały mi zupełnie z zimna. A kręgosłup tak mnie bolał, że musiałem przystawać co jakiś czas, żeby odpocząć w kucki. Wróciłem przed chwilą ze spotkania z parafii. Występowała Marysia Przybylska, chciałem się z nią widzieć. Dała mi znak, a potem nura,

więc jej już nie szukałem.

W pięknie ubranym, uroczym, zespole śpiewaczym, który uroczystość uświetnił, zobaczyłem córkę „pijaka”, młodą Szafraniec. Bardzo się ucieszyłem z tego. Jej ojciec był słynnym awanturnikiem i pijakiem. Umarł, a matka wychowała bardzo porządnie obie córki. Dzięki Ci Panie, za taki Twój dar. Rozmowa z cicią o mojej psychice. Szkoda, że tak mało to może pomóc.

Dzisiaj wydarzyła się tragedia Challengeera. Zginęła siedmioosobowa załoga. Katastrofa widoczna na ekranach telewizorów nastąpiła w dwie minuty po starcie, z powodu eksplozji silników drugiego stopnia. Pojazd dosłownie rozerwało na części. To dziwne oglądać coś na chwilę przed katastrofą. Wiesz, że za chwilę to nastąpi, że lecą ci ludzie zupełnie zdezorientowani. Dziwne – niezrozumiałe – ważne. Boże pomóż!

29 I 1986 r. - środa – godz. 10.30

Zbudziłem się w tak złym nastroju, że zacząłem modlić się z prośbą o ratunek. Zasnąłem drugi raz z tym samym skutkiem. Myślę znów o zniszczeniu swoich prac, o samobójstwie. Zupełnie straciłem chęć do pracy, do działania. Muszę się jakoś z tego podnieść. Boże pomóż! Śniła mi się Maryla – przyszła żeby mi coś dać. Obcy i bezwzględny człowiek.

Przemożne uczucie obrzydzenia.

Dzień jest przepiękny, słoneczny. Wszędzie słychać ludzką krzątanię. Chciałbym jakoś inaczej żyć, żyć pracą. Móc pracować. Dlaczego cierpię? Czy to mojej matki przekleństwo towarzyszy mi i będzie towarzyszyć przez całe życie?

Godz. 23.00

Zasnąłem po raz trzeci i zbudziłem się około godziny 2.00 po południu. Potrzebowałem ratunku. Myślałem o śmierci – wiedziałem, że nie mogę tego robić – ale nie potrafiłem myśleć o niczym innym. Zmusiłem się do wstania. Rozkazałem sobie powtarzać jakieś pozytywne zaklęcia. Wyzbierałem się dzięki ich mocy, i poszedłem na obiad, a potem do pracy. W pracy było już lepiej. Wracając z pracy czułem się okropnie zmaglowany. Poszedłem na kawę i ciasto do Awoorado(?).

Przeczytałem w międzyczasie przerażająco smutny list Anki Kowalskiej z Gdyni. Chciałem iść do Adama Macedońskiego, który mnie zaprosił na swoje urodziny, ale nie czułem się na siłach. Trochę rysowałem i w pewnej chwili odkryłem, to co było takie ważne:

Pokazać poprzez zrytmizowane formy cieni temat światła oraz zobaczyć temat „egzystencjalnie” i pokazać go za pomocą tej oto abstrakcyjnej nieco formy.

Wyszedłem do Adama chory – wróciłem uzdrowiony. Spotkałem bardzo miłe towarzystwo. Śpiewał Adam, śpiewała jego córeczka Lilka, grał pięknie na gitarze i śpiewał delikatnie poezję Andrzej, jego przyjaciel. Śpiewała swoje piosenki Anka, dziewczyna z gór, i śpiewała znakomicie Ewa z PANu z zoologii. Jej śpiew i repertuar mnie zachwylił. Śpiewałem a raczej mruczałem wtórując jej. Ten śpiew, atmosfera, były uzdrawiające. Chcę podziękować Panu za Jego łaskę. Umówiłem się ze wszystkimi, że zaproszę ich po 15 lutego na moje urodziny. Dzień był stracony i był piękny. Jak to wszystko jest ze sobą dziwnie splecione. Słońce dzisiaj wspaniale i chłodny dzień. Śnieżnie.

30 I 1986 r. - czwartek

Dostałem list od Królika. Dostałem dwa listy. Są wspaniałe, czułe. Tak bardzo mi były potrzebne. Odpisałem mu od razu. Byłem na kilka minut u Adama, zatrzymałem się na dwie godziny. Poruszone zostały „moje” problemy. Byłem ogromnie zdenerwowany. Nie mogę się powstrzymać mówić o swoich problemach. To jest denerwujące.

Byłem u lekarki, p. dr. Paszutowej. Stwierdziła, że na zdjęciach nie widać poważniejszego schorzenia kręgosłupa. Osobliwe. Stwierdziła natomiast jakieś upośledzenie ramion, które mam prześwietlić. Rano była u mnie ciocia. Miałem dzisiaj być u niej. Zasiedziałem się u Adasia M. Spałem dzisiaj kilkakrotnie, czując wielkie zmęczenie z byle powodu wyżeżenia emocjonalnego.

31 I 1986 r. - piątek

Byłem zaproszony do Tutajów, Marysi i Edzia. Był Czapkiewicz. Koniak – kawa – ciasteczka – miła atmosfera.

Bardzo dobrze pracuje mi się na kursie. Wyniki – nastrój wspólnoty, tworzy się zainteresowanie sztuką. Rysuje mi się rytмами znacznie bardziej ekspresyjnie. Ogólnie jestem zadowolony z dnia.

2 II 1986 r. - niedziela

Wczoraj byłem u Mariana Gologórskiego na imieniny. Spotkałem i długo rozmawiałem z Lolą Drusą. Był między innymi Staszek Wejman z żoną. Złożył życzenia i wkrótce poszedł Obrzydowski. Czuję, że powinienem postąpić podobnie. Nie czuję się dobrze w liczonym towarzystwie. Mieszkanie Mariana wpędza mnie każdorazowo w kompleksy.

Dzisiaj ogromne zawieje. Śnieg i zimny wiatr z północy.

W domu ciepło, przyjemnie.

3 II 1986 r. - poniedziałek

Wykonałem dzisiaj rysunek (pastel kolorowy) według szkicu nazwanego butelki. Jest to ten nowy typ malarstwa. Pojawiał się on u mnie wcześniej, jednak w tym wypadku składa się na niego więcej czynników, które tę pracę bardziej wyraziście kształtują. Pierwsze zagadnienie to wyraz emocjonalny dzieła odpowiadający jakiejś idei wyrażającej treści ludzkie, takie jak smutek czy radość. Drugie, to problem przetworzenia treści w czystą formę. Mam na myśli układ elementów abstrakcyjnych w dobrze złożoną kompozycję, w której odnajdujemy syntetycznie pokazaną rzeczywistość. Głównym elementem wyrazowym jest tu światło – kolor pokazany w różnego rodzaju rytmach. Oto cała prawie definicja na którą tyle lat pracowałem.

W chałupce ciepło – miło. Na dworze natomiast przenikliwe wiatry ze wschodu. Cały smród z Huty leci na Kraków. Trudno doprawdy wytrzymać.

Dostałem list od Adama Ładonica, czeka mnie pisanie wielu listów. Jak mogę odkładam.

Zacząłem czytać „Historię impresjonizmu” Rewalda.

Samopoczucie względnie dobre, bóle głowy i brak aktywności. Bóle krzyża umiarkowane.

4 II 1986 r. - wtorek – godz. 23.00

Odczuwam duże zadowolenie z pracy, którą dzisiaj wykonywałem. Jestem jeszcze pod wrażeniem rysunku, który prowizorycznie nazwałem „Działki”. Przedstawia byle jaki pejzaż pozamiejski

z budami domków, krzywych, nieładnych, ale w jakiś egzystencjalny sposób ciekawych. Rysunek od strony warsztatowej i także przez to i treściowej, uważam za bardzo udany.

Zacząłem rysować już popołudniu, bo dość długo miałem gości. Przed południem przyszła Dorota (z rysunku), a po chwili Adam Macedoński i Jacek. Długo rozmawiali – przyszli w sprawie ustalenia terminu mojego spotkania urodzinowego – wtorek 18 luty.

Przyszło mi na myśl zorganizować w czymś mieszkaniu wystawę. Następną sprawą jest przyjąć zasadę, że do każdorazowej mojej wystawy prosić kogoś z moich kolegów artystów plastyków o wykonanie plakatu. Projekt wydaje mi się bardzo dobry – wart zrealizowania.

Czuję, że moja moc artystyczna się stale powiększa i dopiero od dzisiejszego lub wczorajszego dnia mogę mówić, że wstąpiła we mnie prawdziwa wena artystyczna. Temat goni temat. To jest bardzo ważne. A więc inspiracja, oraz obok tego pojawia się zamysł artystyczny jak daną pracę wykonać. Dopiero te dwie rzeczy: a więc stałe źródło podniety artystycznej (a polega to na wytworzeniu formy patrzenia na otaczającą rzeczywistość), oraz przeżyte zdarzenie wyrazić w czystej formie plastycznej. Tak zdefiniowanej zasady pracy artystycznej, zdaje mi się, że dopracowałem się po raz pierwszy dopiero teraz. W każdym bądź razie owoce tej idei już się rodzą. To ogromnie zachęca do dalszej pracy.

6 II 1986 r.

Dzień moich urodzin – spędziłem cały czas w domu, rysując i lecząc gardło. Wczoraj nie czułem się dobrze. Wczoraj narysowałem udany (wydaje mi się), rysunek pt. „Stare kąpielisko”.

Dzisiaj próbowałem sił w czystym rysunku czarno białym – tuszem, dopiero po jakimś czasie i po natrafieniu na odpowiedni papier zobaczyłem bardziej zadowolające wyniki. Martwi mnie brak mojej korespondencji – zalegam bardzo. Odkładam to z dnia na dzień. Okropne!!

7 II 1986 r. - piątek

Bardzo silny mróz. W domu ciepło, przyjemnie, przytulnie. U cici wszystko w porządku. W pracy zaledwie kilka osób. Jutro wielki bal Piwnicy pod Baranami. 30 lat jej istnienia. Wspaniała rzecz. Miałem zamiar pójść, ale nie dopisało towarzystwo. A 2,5 tys. wybulić żeby się błąkać samemu nie ma sensu. Zacząłem pisać list do Anki Kowalskiej. Samopoczucie dzięki Bogu dobre. Modłę się za Krucjatę Miłości. Moja nowa modlitwa. Modlitwa o miłość na świecie. Dostałem zawiadomienie z Duszpasterstwa o spotkaniu z kardynałem Macharskim, które się odbyło 28 stycznia. Poczta wyjątkowo się śpieszyła. Z gardłem lepiej. Dzięki Ci Panie.

9 II 1986 r. - niedziela

Wczorajszy dzień cały spędziłem na rysunku tuszem. Dzisiaj byłem na spacerze pod Laskiem Wolskim, po drodze widziałem ciekawy dom. Wart narysowania, ma swoją osobowość. Nazwę go „Czarny dom”. Byłem u Lidki Pogody. Wojtek obiecuje zabrać się do pracy (?). Ja także obiecuję sobie to i owo. Muszę to spokojnie przeprowadzić. Co do rysunku, to moja nowa definicja brzmi (nie pomijając nic z dotychczasowych ustaleń): dążyć do znaku – nie wiem jednak czy to co rozumiem, prawidłowo określiłem, bo znak, jak to co wiem na

jego temat, oznacza skrót rzeczy według formy prawie abstrakcyjnej, mnie zaś chodzi o znak dla pewnej ściśle określonej rzeczywistości, np. tego to a tego pana.

10 II 1986 r. - poniedziałek

Dzień był słoneczny, niezbyt mroźny. Spędziłem go w domu, rysując. Zrobiłem dwa pastele „Czarny dom” i „Zima w parku”. Mam zamiar zmienić nazwę na „Droga w Lesie Wolskim”, mam takie skojarzenia. Oba pastele udane. Zapomniałem zanotować, że w piątek lub sobotę dostałem kartkę od Ani K. - pyta dlaczego nie piszę. Jestem świnia – już zacząłem do niej list i znów przerwałem. Na drugiej stronie szkic do rysunku „Park zimą”.

11 II 1986 r. - wtorek

Byłem dzisiaj na długim spacerze do Lasu Wolskiego. Zszedłem do polany dębów koło Kamedułów, i w prawo ścieżką do drogi koło obserwatorium astronomicznego, a następnie dalej na wprost przez pola i w lewo koło różnych strasznych bud do głównej drogi.

Dużo słońca – piękny spacer. W Lesie straszne spustoszenie uczynił huragan, który szalał kilka tygodni temu. W niektórych miejscach zniszczenia w ok. 10 % drzewostanu. Widziałem trzy sarenki i jednego zająca.

Rano poprawiałem kompozycję z drzewami w lesie. Dostałem list od Anki Soborskiej. Przyjedzie do Krakowa z końcem lutego w towarzystwie rodziców. Ciocia Kamila jest wspaniała!!!

13 II 1986 r. - czwartek

Wczoraj cały dzień w domu, wyszedłem tylko na obiad. Czuję się chory, zaziębienie. Wieczorem i w nocy bardzo silny ból głowy. Złe samopoczucie, nudności, zaburzenia gastryczne. Rysowałem butelki.

Problem rozwiązałem dopiero dzisiaj. Byłem dzisiaj na długim spacerze w Lasku Wolskim – trzy godziny. Jeszcze nie napisałem do Anki K. Dostałem list od p. Zosi ze Starachowic. Bardzo ładny list. Może dokonałem dzisiaj znacznego kroku naprzód w rysunku i w malarstwie. Tyle było tych odkryć – którym potem zaprzeczałem. Pogoda w miarę korzystna. Lekki mróz. Pochmurno.

14 II 1986 r.

Otworzyło się kolejne okienko w mojej główce. Oto pewien rzetelny wniosek:

„Aby otrzymać na poły abstrakcyjną syntezę trzeba zawsze wyjść od rzetelnego studium natury”.

Bez studium natury synteza jest jak organizm bez kośćca. Dzisiejsze studium martwej natury w pracy było bardzo interesujące. Szkoda, że przyszło mało ludzi. Na lekcję przyszedł Wojtek z Lidką. Oboje dobrze pracowali. Bardzo ładne studium zrobił Włodzimierz Płaneta – delikatne światło. Znów zabieram się do dużej pracy. Boże pomóż. Wysłałem nareszcie list do Anki K. Uff!

Dziennik 1987 - 1989 r.

Otworzyłem oto Ewangelię na tych słowach:

„Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie wyszło na jaw, ani nic tajemnego, co by się nie stało wiadome. Dlatego wszystko,

co powiedzieliście w mroku, w świetle będzie słyszane, a coście w izbach szeptali do ucha, głosić będą na dachach.

Lecz mówię wam, przyjacielom moim: nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a potem nic więcej uczynić nie mogą. Pokażę wam, kogo się macie obawiać: bójcie się tego, który po zabiciu ma moc wtrącić do piekła. Tak, mówię wam: tego się bójcie”.

Ewangelia wg św. Łukasza 12, 2 – 5.

Rozdział I

Kim jestem?

Pytanie na pozór dziwne. Czy naprawdę muszę sobie wyjaśniać kim jestem. Czy nie próbuję tak sformułowanym pytaniem stworzyć wrażenia intelektualnej głębi moich rozmyślań o sobie. Pytam się o siebie, może od dawna: o to, co właściwie najbardziej jest moje, w tym znaczeniu, że co najgłębiej, najmocniej tkwi we mnie jako istota moich przeżyć.

Czy nie jest to jedno z pytań pt. Kim jestem? Myślę, że warto byłoby tego rodzaju pytanie zadać wielu ludziom. „Co jest ich najistotniejszym problemem życiowym. Czego najbardziej w swym życiu poszukują, czego pragną, do czego bardzo tęsknią. Gdzie jest ich miejsce, gdzie tkwią swoją osobowością: w przeszłości? W teraźniejszości? A może w przyszłości?”

Odpowiadając na te pytania dać mogę skromną odpowiedź na to kim jestem.

Mam wrażenie, że ten pamiętnik w rodzaju eseju jest także próbą spojrzenia na siebie i wyjaśnienia – przynajmniej taką próbą – wyjaśnienia sobie, kim jestem.

Ta pisanina jest może takim porządkowaniem strychu.

Na strych pakuje się wszystkie stare, nie bardzo potrzebne już przedmioty, którymi kiedyś posługiwaliśmy się. Były nam niezbędne. W trakcie porządkowania trzeba zrobić remanent, zobaczyć co się posiada. Posegregować, opisać i uporządkować według jakiejś zasady. Wyraźnie poczułem potrzebę zrobienia takich porządków wewnątrz siebie. Oto z jakich powodów między innymi powstaje ten pamiętnik.

II obraz muzyczny.

„Moja Ojczyzna Wełtawa” Bedřicha Smetany.

5 V 1987 r. - koncert o 14.00 – Martha Argerich i Misza Majska grają Bacha – jak jazz, wspaniała kameralistyka.

Sat-Okh

„Ziemia słonych skał”

Radij Pogodin „Ból”

John Robinson Jeffers

„Kamieniarze walczący z czasem orężem marmuru”

Wy, z góry pobici szydery niepamięci,

Przejadacie cyniczne zarobki

wiedząc, że pęka skała,

giną zapisy,

Barczyste, rzymskie litery

Łuszczą się w odwilży, zmywa je

deszcz. Poeta podobnie
Drwiąco buduje swój pomnik.
Bo człowiek będzie starty z
powierzchni, umrze wesoła
ziemia, dzielne słońce
zwęglone doszczętnie skona ośleple.
A przecież głązy przetrwały lat
tysiące i myśli udręczone w
starych wierszach
znalazły miodny spokój.

14 V 1987 r.

Wykonałem dwa realistyczne rysunki i oto ponowny problem, który widzę, Natura jako studium, czy Natura jako inspiracja. Wprawdzie oba problemy się uzupełniają, lecz zarazem jest wyraźna różnica w podejściu do pracy.

W studium przeważa relacja okiem, intelektem i umysłem, w interpretacji przeważa wyabstrahowanie z całości zjawisk jednego aspektu i jego uwypuklenie.

Obie metody są nęcące!

Rysując pejzaż za oknem z ogromnym trudem odnajduję powiązanie między formami ciemnymi i jasnymi. Jak trudno wyrazić światło rysując czarne figury, sylwety przedmiotów i rzeczy.

Ważne spostrzeżenie:

Zacząć od przedmiotu najistotniejszego, np. domu, jeśli jest człowiek – od człowieka, i prowadzić resztę form według tej skali; często może być, że formy wyrażają różne skale.

Lonette McKee – amerykańska śpiewaczka jazzowa.
Dayn Riss.

Bardzo dobra autobiografia Petera Ustinova „Mój drogi ja”.

Podział kolorów: wg ich stopnia świetlistości, wg ich stopnia aktywności.

Wielka harmonia:

Yin – kobiecość, księżyc, cień, bierność, woda, sen.

Yang – aktywność, poczucie rzeczywistości, seks.

Yin:

czern (wypełnienie się), cień, błękit, zieleń, brąz, ugier, szarość, fioletowy.

Yang:

biel, żółć, pomarańcz, czerwień, purpura, amarant.

Każdy kolor, poza znakiem jakiemu jest przypisany, występuje w obrazie pod trzema postaciami:

1. Pod względem zdolności wyrażania światła.
2. Pod względem zdolności wyrażania energii.
3. Pod względem różnic asocjacyjno-emocjonalnych.

Uwaga: Pod względem zdolności wyrażania światła, czern może mieć szanse większe od brązu. Wynika z tego wniosek, że o stopniu świetlistości koloru decyduje w dużym stopniu umiejętność artysty, a nie prosty szablon podziału.

Uwaga 2: Jasność wzrasta poprzez kontrast równoczesny.

„Barwa i człowiek” - cytata:

„Efekt wrażenia barwnego zależy więc od przedmiotu, na którym widzimy barwę”. Może podobnie jest z przedmiotem w obrazie (?).

To czy dany kolor wyraża światło bardziej lub mniej możemy tylko (?) stwierdzić przez porównanie z kolorem o tym samym tonie, lecz w innym natężeniu.

Każdy kolor ma swój biegun:

jasności – światła

czerni – ciemności

max natężenia – energii

min działania – bierności

Starogrecki wyraz *dynamis* tłumaczy się jako: "siła, moc, władza".

Wprowadzone pojęcie dynamiczny: pełen wewnętrznej siły, żywotnie czynny, emocjonalny”.

Spostrzeżenie: zmysłowe ogarnięcie rzeczywistości. Łączy wiele wrażeń zmysłowych. W zależności od punktu ciężkości obserwacji, rozróżniamy spostrzeżenia wielkości, kształtu i barwy. Należy pamiętać, że jedna barwa może zmienić ogólne wrażenie obrazu.

Efekty emocjonalno-asocjacyjne. Dokładniej wrażenia optyczne barwy.

Jako szczególne i bezpośrednie oddziaływanie fizjologiczne na całość organizmu, duże znaczenie mają zjawiska wywołane przez barwę czerwoną i niebieską, przede wszystkim przy pełnym nasyceniu.

Barwy: czerwona, żółta, pomarańczowa są barwami działania zewnętrznego. Przeciwnie, grupa barw: niebieska, fioletowa, zielona, oznacza bierne działanie wewnętrzne i bodźce zwrócone do wewnątrz.

Cytat: „Zawód malarza w świecie współczesnym nie jest wypoczynkiem”. L'Express.

W tym co zaczynam, tzn. w malarstwie, powinienem iść aż do samego końca. Każdy niekontynuowany obraz to zmarnowana szansa. Nie mam co do tego wątpliwości, że obraz musi być jednią formą i treścią. Bez emocji, bez wyrazu egzystencjalnego, który jest dla mnie ową treścią, obraz jest tylko dobrym obrazem.

Z kontrastu piękna jakim jest Estetyka i dramatu jakim jest Egzystencja, wyrasta dopiero Wielka Sztuka.

Rysowałem niedawno rysunek pt. „Balkon” (dedykowany Włodkowi), którego formę sprowadziłem do problemu czysto plastycznego. (Nieprawda! Pragnąłem wyrazić w rysunku tę emocję pierwszego przeżycia – tylko w trakcie pracy o tym zapomniałem). Końcowy efekt prawie to czysta abstrakcja. Więc jednak nie styl, ale także jakość emocjonalna, o której nigdy nie powinienem zapominać.

Do intelektualnego podłoża sztuki XIX wieku we Francji, do wolności sztuki XX wieku we Francji i w Europie dołącza dziś Ameryka z ideą i praktyką filozofii dynamizmu życiowego. Centrum sztuki przenosi się za ocean.

Emocjonalizm sztuki.

Egzystencjalizm sztuki.

Dynamizm życiowy.

Emocjonalizm.

Egzystencjalizm (rozumiem jako Jednię z rzeczą, z rzeczywistością świata i obrazu).

Dynamizm.

Odkryłem je jakoś ponownie. Brakowało mi kierunku. Zaczynam go widzieć w tych trzech nazwanych przeze mnie kierunkach.

EMOCJONALIZM – DYNAMIZM – EGZYSTENCJALIZM – JEDNIA

Fantastyczna muzyka – płyta jazzowa Eberharda Webera (RFN) „Horus”, grają Jan Garbarek i Ralf Hübner.

Malując lub rysując powinniśmy szczególnie uwzględnić tytuł. Czasem tytuł, gdy towarzyszy naszej pracy, może pokierować nami w bardzo interesujące strony.

Chanel (cytat za Cocteau) z J. Czapskiego:

„Moda tworzy rzeczy piękne, które z czasem stają się brzydkie, sztuka rzeczy brzydkie, które z czasem stają się piękne”.

Valéry: „Pogoda dzieła nie świadczy bynajmniej o pogodzie twórcy”.
W notatniku Bonnarda: „ptak który śpiewa nie zawsze jest szczęśliwy”.

„Im bardziej genialny artysta zazębia się o swój instynkt, tym jest większy” (Castaing mówiąc o Loutine, cytując Bandlaizela).¹⁰

„Nikt z nich nie byłby zdolny tak ich niszczyć” - Loutine o niszczonych swoich obrazach.

Z przemówień papieża:

„Każdy ma swoje Westerplatte”.

„Chrystus przyszedł nas zbawić od grzechu”.

Czytając opracowanie o Conradzie, w którym obserwator widzi ludzkość jako grzaskie, pełne egoizmu i podłości zbiorowisko indywidualów, zdałem sobie sprawę, że ten trafny osąd jest bardzo nihilistyczny. Jest to nawet prawdziwa ocena, a więc prawda nie jest tą prawdą przy której może człowiek pozostać. „Chrystus przyszedł nas zbawić od grzechu”. Czy nawet nie wierząc w Chrystusa, nie powinniśmy starać się uwalniać i pomagać innym w uwalnianiu się od grzechu. Cóż dopiero dla nas, wyznawców Jego, nie wolno przekreślać człowieka widząc zło, które czyni.

We wczorajszym dzienniku telewizyjnym, jaki oglądałem, ze sfory dworskiej, dziennikarzyna zapluwał się przeciwko Reaganowi. W związku z jego, tzn. Reagana mową przeciwko murowi berlińskiemu. Słuchając tego z obrzydzeniem widziałem w tym

¹⁰ Redakcja nie wie o kim mowa, nie wie jakie naprawdę nazwiska, Autor też nie przypomina sobie o kogo chodzi.

dziennikarzu symbol. Symbol poddaństwa, zaprzaństwa, kłamstwa. Zapomniałem, że jest to człowiek. Człowiek ze swoim grzechem, człowiek, któremu powinno się pomóc. Ja odrzuciłem go ze wstrętem. Chrystus go nie odrzucił. Chrystus przyszedł po to na ziemię by nas zbawić od grzechu.

19 VI 1987 r. - piątek

Wczoraj było Boże Ciało! Wyjątkowe różnice temperatur. Raz nieznośne upały i duszno, zaraz potem zimno przenikliwe. Dziś jest słonecznie i dość ciepło, przyjemny orzeźwiający wiatr. Jadę w Góry Świętokrzyskie, tam gdzie mieszka babcia Włodzia. Wczoraj słuchałem audycji muzycznej - „Portrety muzyczne parków”. Nasunęło mi to na myśl, podobne podejście do tematu: Kraków w czterech porach roku.

Zamiast tego: uczynić tematem rysunków i obrazów poszczególne fragmenty Krakowa, które szczególnie lubię, np. Salwator – Lasek Wolski, Park Jordana, Dębniki; i nie trzymać się sztywnych reguł, pół dnia lub roku.

Następna sprawa to podejście do problemu koloru. Czytając wspaniałą poezję Jeffersa starałem się sobie wyobrazić jak wyrazić podobne obrazy i nie mogłem znaleźć dla nich klucza. Realizm byłby zbyt dosłowny, bardzo umowna forma też byłaby nieodpowiednią. Zacząłem rysować. Zauważyłem, że kolor tworzy szczególny poetycki nastrój.

Może powołać trzeba do życia poetyckie obrazy rzeczywistości i głównym ich twórcą byłby kolor. Kolor jako poetycki wyraz.

Podejmuję prowadzenie dziennika dnia 24 / 26 (?) lipca 1987 r. po bardzo długiej przerwie.

Wiele rzeczy się od tego czasu wydarzyło. Na pewno. Ale na ile to jestem inny ja, trudno mi teraz odpowiedzieć. W każdym bądź razie dużo doświadczeń. Gdybymż był bardziej systematyczny, konsekwentny i skupiony na tym, co zaczynam uważać za rzecz, której warto jest poświęcić swój czas. Jak na razie bardzo dużo czasu mam dla błahostek, gubię swój najcenniejszy kapitał obok jakichś tam możliwości.

Dyscyplina. Czyli skupienie wewnętrzne. Pracować – zwłaszcza tak by rozwijać ten fragment, który uważam za najistotniejszy.

Od pewnego czasu absorbuje mnie znów, jak zorientowałem się z notatnika, problem koloru.

Oto moje spostrzeżenia, które zanotowałem na kartce papieru w czasie malowania.

Kolor – nieznany, tajemniczy instrument.

KOLOR nieznany, nieznany, naprawdę NIEZNANY. TAJEMNICZY tajemniczy, tajemniczy INSTRUMENT.

Kolorem można malować w taki sposób, jak się gra. Grać kolorem. Grać kolorem!!!

Kolor w obrazie musi być rozwiązany muzycznie. W tym znaczeniu, że kolor zdecydowanie powinien zaistnieć samodzielnie od wszelkiej funkcji ilustratorskiej. Kolor jest głosem, instrumentem i może mieć swój głos, swój dźwięk, tylko trzeba mu pozwolić ten głos wydobyć. Po drugie, każdy kolor w swej „muzycznej rzeczywistości dźwięku” powinien być „przeprowadzony” w funkcji z innymi kolorami, tak by powstała pewna całość, której możemy przypisać charakter, wyraz muzyczny.

Kolor – nieznan, tajemniczy instrument. Jeśli poznać go w swojej naturze, a nie w roli, jaką jest zmuszony pełnić. Dać dojść do głosu kolorowi.

On mówi, mówi całą swoją naturą, swoim zdumiewającym jestestwem różnic głosu, głosu różnych nastrojów.

15 I 1989 r. - niedziela

Słońce – wspaniałe przedpołudnie – osłabienie – kawa.

Wędrowanie po pokoju i myśli szukające jakiegoś najgłębszego sensu dla tego, co zamierzam robić w malarstwie. Znaleźć istotność tego, co widzę... Patrząc przez okno – widzę pejzaż – ale to tylko maska. Co jest pod nią? Co oznacza ten widok za oknem? Patrząc na kartki papieru rozrzucone na stole. One także „coś” znaczą, ale co? Coś mówią – ja nie rozumiem ich myśli.

Patrząc przez okno – w gruncie rzeczy nic nie widzę, bo patrzę jakby w głąb siebie. Też płatanina rzeczy, znaków trudnych do uporządkowania, do zrozumienia.

Wniosek I: podobne są pejzaże zewnętrzne i wewnętrzne, jeśli wewnętrzny jest podobny zewnętrznemu.

Wniosek II: szukać istotności, szukać sedna rzeczy. Dotrzeć do jądra rzeczywistości, gdzie zewnętrzne i wewnętrzne w pewnym momencie mogłyby być Jednią.

Wszystko przemienić na kolor – światło.

Interpretacja rzeczywistości poprzez kolor:

Może przebierać od dosłownego odwzorowywania.

Poprzez wyrażenie kolorem nastroju, atmosfery poetyckiej, rzeczywistości.

Przez wyrażanie istoty lub charakteru tej rzeczywistości (przykład – cytryna).

Przez wyrażanie kolorem światła tej rzeczywistości (światła obiektywnego, światła wyobrazonego).

Przez wyrażanie kontrastów kolorystycznych, zawartych fizjologicznie w kolorze.

Kolor w malarstwie (od czego zależy):

Od koloru występującego w naturze. Pora roku oraz rodzaj światła, tzn. pora dnia i stan atmosferyczny.

Od koloru farby, ich jakości, ich prawa kontrastu i harmonii.

Skala barw emocjonalnych i skala barw według klucza pór roku i dnia.

Od koloru według skali ustalanych apriorycznie. Np. według moich skal:

według skali kolorów emocjonalnych.

według skali kolorów oznaczających porę roku i dnia.

Według związku między tematem a kolorem. Kolor, który wyraża (przykład: cytryna, albo pejzaż zimowy).

sugestia

nastrój poetycki

Pytanie „jak malować” wywodzi się z pytania „co malować”

Co malować?

Malować rzeczywistość, ale nie tą którą widzimy w całej swej banalności, ale rzeczywistość poprzez którą wyraża się jakieś znaczenie.

Kolor, forma i motyw składa się na znak lub nie.

Jeśli brak jest znaku, nie ma dobrego obrazu.

Wynika, że malować, tzn. tworzyć znak – absolutny znak rzeczywistości. Znak jest to może szczególnie wzmożona rzeczywistość.



Serdeczne podziękowania
dla Pani Katarzyny Agopsowicz
za skład i współredagowanie ostatnio wydawanych biuletynów

SPIS TREŚCI:

- 3 Anna Olszańska - Wstęp
- 4 Tadeusz Łukasiewicz - Zbiór wierszy i zapiski rozproszone z lat 1965-1985
- 102 Tadeusz Łukasiewicz - Dzienniki od 1968 roku